



Mary Nichols



Sekret lorda Portmana

Rozdział pierwszy

Lato 1761 roku

Rosamunda potoczyła wzrokiem po żałobnikach, stojących z kieliszkami w dłoni lub wolno przechadzających się po salonie jej domu przy Holles Street, i zastanawiała się, po co właściwie przyszli. Przecież nie mogli spodziewać się spadku. Wszyscy doskonale wiedzieli, że sir Joshua przepuścił cały majątek. Może chcieli posłuchać plotek, by później móc się nimi dzielić podczas podwieczorków w gronie przyjaciół?

Śmierć ojca Rosamundy była nagła i tragiczna, a przyczyna czekała na wyjaśnienie, co z pewnością zostawiało pole przykrym domysłom. Znalaziono go bowiem na Tyburn Lane we wczesnych godzinach rannych. Sądzone, że wracał po nocy spędzonej poza domem i został potrącony przez pojazd, który nie zdążył się zatrzymać.

- Pijany w sztok - mówili. - Nie patrzył, dokąd idzie.

Maksymilian, jej brat, siedział zamknięty w bibliotece z adwokatem rodziny już prawie godzinę, więc gościmi panna Chalmers zajmowała się sama. Było kilkoro kuzynostwa, których ledwie znała. Wszyscy należeli do lepszego towarzystwa, więc patrzyli na nią z góry i szeptali między sobą, prawdopodobnie wytykając staropanieństwo i pospolitą urodę. Zapewne wszyscy wyrażali też nadzieję, że nie będą musieli dać jej pokoju w swoim domu. Kilku znajomych ojca przyszło z kondolencjami wyłącznie po to, by przy okazji sprawdzić, czy są jakieś szanse odzyskania pieniędzy, które zmarły był im winien. Nikt oprócz córki tak naprawdę nie żałował tego porywczego człowieka.

Rosamunda prowadziła dom, odkąd jej matka umarła przed siedmioma laty, a ponieważ była przeświadczona, że ojciec jej potrzebuje, nigdy nie wyszła za mąż. Teraz, w wieku dwudziestu sześciu lat, uważała, że jest już za stara, by ktoś ją zechciał.

- Co teraz zamierzasz, Rosie? - wyrwała ją z zadumy ciotka Jessica.

Pani Jessica Bullivant była siostrą ojca. W czarnej jedwabnej sukni żałobnej z poszerzanymi biodrami wydawała się szersza niż wyższa.

- Na razie pozostanę tutaj.

- Tutaj, moje dziecko? Nie możesz mieszkać sama.

- Nie będę sama. Zatrzymam kucharkę i Janet.

- To jest służba. Nie, Rosie. Taki pomysł jest nie do przyjęcia. Znam kogoś, kto mógłby zaproponować ci posadę damy do towarzystwa. Oczywiście dochody nie są duże, ale będziesz miała dach nad głową i pełny talerz, no i niezbyt wiele obowiązków. Po opiece nad Joshuą to będzie jak bułka z masłem.

- Dama do towarzystwa! - wykrzyknęła Rosamunda ze zgrozą. Lubiła mówić to, co myśli, i zwykła korzystać ze swojej wolności, tymczasem trudno było sobie wyobrazić mniej niezależną osobę niż płatna towarzyszka, zobowiązana stawiać się o dowolnej porze na każde wezwanie chlebodawczyni. - Serdecznie dziękuję, ciociu, ale nie. Jestem pewna, że tata coś mi zapisał. Wystarczy, żebym mogła wieść oszczędne życie i nie musiała szukać płatnej posady.

- Wątpię. Wszyscy wiedzą, że mój brat był utracjuszem. Czy dał ci kiedyś cokolwiek oprócz kieszonkowego?

- Niczego nie potrzebowałam.

Ciotka parsknęła na ten nieuzasadniony przejaw lojalności.

- Lepiej zostać damą do towarzystwa w eleganckim domu niż nieopłacaną służącą, jaką byłaś przez ostatnie siedem lat.

- Każda szanująca się córka zrobiłaby na moim miejscu to samo.

- Tymczasem dawno przekroczyłaś wiek, w którym wychodzi się za mąż.

- Wiem, ciociu. Nie mam żadnych oczekiwań pod tym względem. Zajmę się dobroczynnością.

Ciotka roześmiała się na te słowa, co sprawiło, że w pokoju nagle przerwano rozmowy i wszyscy zwrócili się w ich stronę. Dama natychmiast spoważniała i przybrała żałobny wyraz twarzy.

- Gdybym nie miała do towarzystwa mojej drogiej panny Davies, wzięłabym cię sama, ale za nic nie chciałabym urazić jej uczuć. Zresztą mój skromny dom przy Chandos Street byłby za mały, by nas pomieścić.

- Wiem, ciociu, ale mimo to bardzo dziękuję za troskę. Dam sobie radę. - Za nic nie chciałaby przeprowadzić się do swojej władczej krewnej.

W tym momencie drzwi biblioteki otworzyły się. Rosamunda zobaczyła adwokata ojca, który szybkim krokiem ruszył ku wyjściu. Zaniepokojona, pośpieszyła zobaczyć się z bratem. Maksymilian siedział przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Stary głupiec! - powiedział, usłyszawszy kroki siostry.

- Masz na myśli pana Tetleya?

- Nie, naszego ojca. Nie zostawił nam niczego, Rosie, niczego z wyjątkiem długów. Jak człowiek może być tak naiwny? Ulegał namowom na bezwartościowe inwestycje, nie chciał słuchać rozsądnych rad i wszystko stracił.

Roześmiał się ponuro i wziął do ręki płócienny woreczek, który przy poruszeniu pobrząkiwał.

- Wszystko, z wyjątkiem tego - powiedział, rzucając przedmiot do stóp Rosamundy.

- Co to? - Pochyliła się, by rozwiązać troczek, i zobaczyła garść złotych monet. - Przecież to majątek!

- Nie. Wszystkie co do jednej są fałszywe. Tetley powiedział, że należy je przekazać sędziemu.

- Wielkie nieba, jak pan Tetley poznał się na fałszerstwie? - Wzięła do ręki gwineę i zaczęła ją oglądać. - Mnie się ona wydaje całkiem zwyczajna.

- Została spiłowana. - Wsunął rękę do kieszeni i wyjął autentyczną monetę. - Widzisz? Przyłóż jedną do drugiej, a okaże się, że spiłowana moneta jest mniejsza, bok monety jest mniej zniszczony niż reszta, a rant jest ostrzejszy.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie rozumiałem, ale Tetley mi sprawę wyjaśnił. Fałszerze przycinają albo spiłowują boki prawdziwych monet i wykonują nowy rant. Takie zmniejszone monety ponownie wprowadzają do obiegu, a zdobyte złoto przetapiają i wykorzystują na nowe monety albo po prostu do pokrycia tańszego metalu warstwą złota. Wybijają awers, rewers i robią rant. O, tak jak tutaj. - Wsadził rękę do kieszeni i wyjął jeszcze jedną monetę. - Przedsięwzięcie wydaje się bardzo dochodowe. Naturalnie dopóki nie pozwolisz się złapać - dodał i parsknął gorzkim śmiechem.

- Skąd tata miał te monety?

- Oboje wiemy tyle samo. Chciałbym wierzyć, że coś sprzedał i nieświadomie przyjął zapłatę fałszywkami, ale mógł też mieć świadomość tego, co bierze, i myśleć o ich rozproszaniu...

- Nie, nie zrobiłby tego - sprzeciwiła się Rosamunda. - Był naiwny, trudny w rozmowie, czasem uparty, ale w jego nieuczciwość nie uwierzę!

- Chyba nigdy się tego nie dowiemy. Musimy jednak podjąć decyzję, co teraz zrobić.

- Zanieś monety do sędziego, tak jak powiedział pan Tetley.

- Mam się narazić na szczegółowe wypytywanie o okoliczności, w jakich wpadły nam w ręce? Nikt nie uwierzy w naszą niewinność. I fałszowanie, i rozprowadzanie fałszywych monet są uznawane za zdradę stanu. Moglibyśmy za to nawet zawisnąć. Na razie schowam to znalezisko, póki nie zdecyduję, co najlepiej z nim zrobić. - Wziął spiżowaną monetę, wrzucił do woreczka i mocno zawiązał troczek. - Jedno jest pewne. Nie możemy tymi pieniędzmi spłacić długów ojca.

- To zrozumiałe.

- Kolejna sprawa. Masz dwa tygodnie na opuszczenie domu...

- Opuszczenie domu? - powtórzyła wstrząśnięta.

- Tak. Ojciec go zastawił i wierzyciele wystąpili o przejęcie. Możemy sprzedać meble, żeby spłacić najpilniejsze długi, ale to wszystko.

- Chcesz powiedzieć, że straciłam dach nad głową?

Nie mogła uwierzyć, że ojciec, którego kochała, zostawił ją bez pensa przy duszy. Inna sprawa, że jego śmierć przyszła niespodziewanie, a on bez wątplenia wierzył, że zdoła odwrócić niepomyślny los.

- Mniej więcej.

Rosamunda przez chwilę próbowała przyzwyczaić się do nowej myśli.

- To zapewne oznacza, że muszę zamieszkać u ciebie? Taka perspektywa nie była zachęcająca. Maks ma wymagającą żonę i szóstkę dzieci, z których żadne nie jest grzeczne.

Oczami duszy widziała, jak staje się bezpłatną opiekunką. Nawet los damy do towarzystwa wydawał jej się w tej sytuacji lepszy.

- Mogłabyś znaleźć sobie męża.

- Maks, a kto mnie poślubi? Mam dwadzieścia sześć lat i nie pociągam ani urodę, ani majątkiem. Nie myślisz trzeźwo.

- Ktoś na pewno będzie chciał cię wziąć. Może jakiś wdowiec, który potrzebuje matki dla swoich dzieci? Takich jest mnóstwo.

- A co z miłością?

- Miłość? Rosie, czy stać cię na miłość?

Pytanie było brutalne, ale Maks nigdy nie oszczędzał jej uczuć, a prawdę mówiąc, miał rację.

- Nie, ale znalezienie męża w dwa tygodnie wydaje się całkiem nierealne.

- Może udałoby mi się wskrobać jakiś skromny posag.

- Jeśli możesz znaleźć pieniądze na posag, to lepiej daj je mnie, mądrze je zainwestuję.

- I kto tu nie myśli trzeźwo? Co ty wiesz o inwestowaniu? Potrafisz tylko prowadzić dom. - Wstał i podszedł do lustra, żeby poprawić perukę i czarny jedwabny halsztuk. - Kłopot w tym, że czas działa na twoją niekorzyść. Zostaw jednak tę sprawę mnie. Może jeszcze coś wymyślę.

Z tymi słowami opuścił pokój i wrócił do żałobników, a zrozpaczona Rosamunda podążyła za nim.

Była zbyt otumaniona tym, co powiedział jej brat, by dalej we właściwy sposób zajmować się gośćmi. Na szczęście Maks sprawnie ją zastąpił, proponując napoje i przekąski i prowadząc konwersację o zmarłym. Opowiadał różne epizody z życia ojca i słuchał historii przybyłych gości. W końcu wszyscy uznali, że nie sposób niczego więcej się dowiedzieć, i poszli.

Rosamunda pozostała pośród resztek stypy: talerzy, filiżanek, szklanek, połowicznie opróżnionych butelek wina, resztek herbaty i okruchów. Maks także pożegnał się i skierował ku drzwiom razem ze swoją żoną i hałaśliwymi dziećmi, którym normalnie nie pozwolono by przyjść, ale ponieważ te były rozpuszczone ponad wszelką miarę, postawiły na swoim odpowiednio długim i głośnym krzykiem. Odejścia rodziny

Rosamunda nawet nie zauważyła. Siedziała ogarnięta bezsilnością i nawet nie była w stanie pomóc Janet, która przyszła pozbierać zastawę i posprzątać pokój.

Czuła żal po śmierci ojca, ale bardziej była na niego zła, że okazał się takim naiwnym głupcem i zaufał rzekomym wspólnikom, którzy sprzedali mu bezwartościowe akcje i zrujnowali go. Jednak kto mu dał te sfalszowane monety, pozostawało dla Rosamundy tajemnicą. Dlaczego ojciec je zatrzymał, zamiast oddać przestępców w ręce sprawiedliwości? Musiał przecież wiedzieć, że monety są fałszywe, bo inaczej spłaciłby nimi długi i nieco poprawił sytuację rodziny. A jeśli część monet już wydał? Czy należało się wkrótce spodziewać wizyt rozwścieczonych kupców, żądających rekompensaty? A może będzie jeszcze gorzej i przyjdzie konstabl albo detektyw z Bow Street z nakazem aresztowania? Czy utrzymywanie, że była niczego nieświadoma, wystarczy, by się ocalić? Maks nie zamierzał niczego w tej sprawie zrobić.

Musi się wszystkiego dowiedzieć, postanowiła w duchu i pomodliła się, żeby ojciec okazał się niewinny.

Jedyną osobą, która mogła jej pomóc, był pan Tetley, więc następnego dnia wybrała się prosto do niego.

- Moja droga panno Chalmers - powiedział, gdy zajęła miejsce w jego gabinecie. - Proszę pozwolić, że złożę jej kondolencje z powodu straty. Nie miałem okazji zrobić tego wczoraj, ponieważ przeszkodziły mi obowiązki zawodowe, a pani była zajęta krewnymi. Bez wątplenia jednak brat przedstawił jej stan rzeczy.

- Tak, ale chciałabym usłyszeć to od pana.

Pan Tetley westchnął, mimo to cierpliwie wyłuszczył wszystko od początku, dokładnie tak samo jak Maks.

- Jest mi niezwykle przykro, że nie może pani dostać więcej czasu na uporządkowanie swoich spraw, ale niestety nie udało mi się przekonać nowych właścicieli do okresu dłuższego niż dwa tygodnie. Sir Maksymilian bez wątplenia weźmie panią pod swoją opiekę.

Słyszając, jak prawnik mówi o jej bracie, Rosamunda odczuła swoją stratę tym bardziej namacalnie. Omal nie wybuchnęła płaczem, ale nie mogła pozwolić sobie na łzy w takiej sytuacji.

- Dziękuję, panie Tetley - odparła, z trudem się opanowując. - Jestem bardzo zaskoczona złotymi monetami, które pokazał mi brat. Skąd mój ojciec je wziął?

- Nie mam pojęcia. Niczego na ten temat nie wiem. Pani brat znalazł je zamknięte w kredensie, w gabinecie sir Joshui. Niestety, wydawał się bardzo zły i rozczarowany, gdy zwróciłem mu uwagę, że wszystkie są fałszywe.

- I nic więcej o tej sprawie pan nie wie?

- Nie. Mogę tylko przypuszczać, że pani zmarły ojciec sprzedał jakiś przedmiot, na przykład obraz albo klejnoty, i dostał te pieniądze jako zapłatę.

- Wobec tego sprawcy powinni zostać pociągnięci do odpowiedzialności i zmuszeni do wypłacenia należnej sumy prawdziwymi pieniędzmi.

- Nie mamy pojęcia, od kogo należy się tego domagać. Poza tym nie chciałbym stanąć oko w oko z tymi ludźmi. Nie, moja droga panno Chalmers. Radzę zostawić tę sprawę w spokoju. Proszę zanieść woreczek z pieniędzmi do sędziego, powiedzieć, że go pani znalazła, i umyć od tego ręce.

- Pieniądze ma mój brat i na pewno zrobi z nimi to, co konieczne. Czy jednak może mi pan coś powiedzieć o tych bezwartościowych akcjach kupionych przez tatę?

- Na to nie ma rady, jeśli zostały sprzedane i kupione w dobrej wierze. Gra na giełdzie jest jak hazard.

- Czy te dwie sprawy mogą być powiązane? Mam na myśli kupno akcji i uszkodzone monety.

- Wątpię.

- Musi pan jednak znać nazwiska ludzi, którzy sprzedali ojcu akcje. Przecież był pan jego doradcą.

Pan Tetley parsknął.

- Tylko wtedy, kiedy był skłonny słuchać rad, najczęściej jednak je ignorował, tak jak w tym przypadku. - Otworzył szufladę, wyciągnął z niej teczkę i rozwiązał opasującą ją czerwoną wstążkę. - Ta spółka nazywa się Barnstaple Mining.

Rosamunda uśmiechnęła się żałośnie.

- Podejrzewam, że zajmuje się wydobywaniem złota. Kto podpisał dokument?

Adwokat spojrział na kartkę.

- Michael O'Keefe.

- Nazwisko wskazuje na Irlandczyka. Czy pan coś o nim wie?

- Zupełnie nic, droga panno Chalmers. On może nawet zupełnie inaczej się nazywać.

- A gdzie znajduje się siedziba spółki?

- Jedyne adres w dokumencie to karczma Nag's Head w Covent Garden. Nie wydaje mi się, żeby był prawdziwy. Odradzałem sir Joshui tę inwestycję, ale on nie chciał mnie słuchać.

- Nie mogę uwierzyć w aż taką naiwność ojca. Cała ta sprawa wydaje mi się bardzo podejrzana.

- To samo mu powiedziałem. - Zamilkł, by po chwili spytać: - Co pani zamierza uczynić, panno Chalmers?

- Jeszcze nie wiem.

- Błagam, proszę dać spokój interesom ojca. Z pewnością i bez tego ma pani dość spraw na głowie przed przeprowadzką.

Spotkanie Klubu Dżentelmenów z Piccadilly w londyńskim domu lorda Trenthama zbliżało się do końca. Nie był to zwykły klub, w którym oddawano się hazardowi. Tutaj zajmowano się wyłącznie tropieniem przestępców i oddawaniem ich w ręce sprawiedliwości. Oficjalnie jego nazwa brzmiała Towarzystwo na rzecz Ujawniania i Ujmowania Przestępców. Członkowie byli wystarczająco dobrze sytuowani, by nie domagać się zapłaty za swoje usługi. Nie brali też łapówek, z czego słynęli płatni łowcy głów. Robili swoje z upodobania do przygód i z poczucia sprawiedliwości.

Dziesięć lat temu towarzystwo założył lord Drymore, wówczas będący jeszcze zwykłym wojskowym w stopniu kapitana. Pozostałymi członkami byli: wicehrabia Jonathan Leinster, Harry, lord Portman, sir Ashley Saunders, kapitan Aleksander Carstairs i Sam Roker, służący i przyjaciel Jamesa Drymore'a. Każdy z nich miał swoją specjalność, tego roku jednak wszyscy szczególnie troszczyli się o to, by zapobiec większej niż zwykle aktywności przestępców w czasie przygotowań do ślubu Jerzego III z Charlottą Mecklenburg-Strelitz i koronacji dwa tygodnie później. Tropili kieszon-

kowców i innych złoczyńców, którzy chcieliby skorzystać na obecności tłumów przybywających, by wziąć udział w uroczystościach.

Harry zajmował się przede wszystkim fałszerstwem pieniędzy, odegrał więc zasadniczą rolę w postawieniu przed sądem kilku zajmujących się tym szajek. Zawsze jednak okazywało się, że miejsce ujętych przestępców szybko zajmują następni, a teraz w dodatku wprowadzaniu fałszywek do obiegu sprzyja czas uroczystości i tłumy przyjezdnych. Harry niestrudzenie i skutecznie walczył z plagą oszustów, choć nawet najbardziej przenikliwy obserwator, patrząc na niego, z trudem by się tego domyślił. Harry nosił długi szustokor z bursztynowego jedwabiu, haftowany złotą nicią. Koronki zdobiące szerokie mankiety stroju opadały mu na dłonie. Haftowana kamizelka miała długi rząd perłowych guzików od szyi aż po kolana, chociaż tylko połowę z nich należało zapinać. Halsztuk był wykrochmalony niemal do granic możliwości, a spodnie były w oczy nieskazitelną bielą, podobnie jak pończochy, obwiązane poniżej kolana żółtymi tasiemkami. Harry siedział w swobodnej pozie, opierając na stole lewą rękę, której długie palce były ciężkie od sygnetów. Drugą skubał monokl zwisający na tasiemce z szyi. Każdy, kto go nie znał, zobaczyłby w nim fircyka pierwszej wody.

- Jadę do Old Bailey - powiedział, gdy wyczerpali porządek dnia i wszyscy przygotowywali się do wyjścia. - Sądzą dzisiaj bandę Dustina, chciałbym zobaczyć, czym to się skończy.

Wziął cylinder i wstał. Czerwone obcasy jego trzewików i wielka biała peruka podwyższały go o przynajmniej piętnaście centymetrów, choć przy jego metrze osiemdziesięciu wzrostu i tak nikt nie nazwałby go niskim. Większość jego znajomych goliła głowy, żeby noszenie peruki sprawiało mniej kłopotów, ponieważ jednak Harry często potrzebował swoich prawdziwych włosów, przyjmował pozę fircyka, narażając się na złośliwości. Prawdziwego Harry'ego Portmana znało jednak bardzo niewiele ludzi.

- Będiesz zeznawał? - spytał Jonathan.

- Nie, nie chcę zdradzić swojego incognito. Pójdiesz ze mną?

- Nie, w domu czeka na mnie Louise.

- Ja pójdę - zaofiarował się sir Ashley.

Wyszli razem. Trudno byłoby o większy kontrast między ludźmi. Sir Ashley nosił stonowane kolorystycznie stroje, choć zawsze nienagannie skrojone. Ciemne włosy nosił splecione w harcap. W odróżnieniu od Harry'ego, który pudrował twarz i zdobił ją pieprzykami, Ashley robił wrażenie opalenizną i surowymi rysami. Pozory jednak mylą, obu bowiem można było w równym stopniu pozazdrościć sprawności fizycznej, spostrzegawczości i błyskotliwości. Obaj też potrafili szybko reagować w każdej sytuacji. Tyle tylko że Harry'ego bawiło udawanie kogo innego.

Początkowo jego maniery fircyka były zwykłą maską mającą przesłonić głęboką urazę i poczucie winy, które pozostały mu po śmierci żony przed sześcioma laty, potem jednak zorientował się, że może z tego czerpać korzyści, ścigając przestępców. Widząc go w wysmakowanym stroju, różne draby uznawały go natychmiast za głupca, a on nie wyprowadzał ich z błędu. Naturalnie członkowie Klubu Dżentelmenów z Piccadilly znali prawdę.

- Jak wsadziłeś szajkę Dustina za kratki? - spytał Ash, gdy wyszli na ulicę i zaczęli się rozglądać za lektykami.

Ruch był duży, ale wolnych lektyk nie zauważyli, więc poszli piechotą, przy czym Ash szedł normalnie, a Harry zręcznie unikał błota i kałuż.

- Stając się jednym z nich.

- Ty!?! - zaśmiał się sir Ashley. - Wyróżniałbyś się na milę. Nie uwierzę, że dali się nabrać.

- Wyobraź sobie, Ash, że potrafię być bardzo niedomyty, kiedy zachodzi taka potrzeba.

- Nawet ci wierzę, choć dla wielu byłoby to zupełnie nieprawdopodobne.

- O to mi chodzi. Długo flirtowałem z teatrem, więc potrafię nosić przebranie i grać różne role. Sądzę, że gdybym został na scenie, doszedłbym do podobnej sławy, jak David Garrick.

- Czemu więc zrezygnowałeś?

- Obowiązki wobec majątku, drogi chłopcze. Odziedziczyłem rodzinne dobra, kiedy mój ojciec zmarł w pięćdziesiątym trzecim, wypadało mi więc ożenić się i ustakować, żeby wydać na świat następne pokolenie Portmanów.

- Nie wiedziałem, że byłeś żonaty i miałeś rodzinę.
- Żonaty byłem niecały rok. Żona umarła, rodząc córkę.
- Przykro mi, Harry. Nie chciałem być wścibski. Zawsze zakładałem, że jesteś zaprzysięgłym kawalerem, tak samo jak ja.

- To nie tajemnica, po prostu o tym nie mówię. Beth była za młoda, miała zaledwie siedemnaście lat. Nikt jej nie powiedział, czego się spodziewać, a ona nie rozumiała, co się dzieje, kiedy zaczęły się bóle.

Urwał, znów bowiem usłyszał w głowie jej niekończące się krzyki, gdy go przeklinała. Czuł się wówczas kompletnie bezradny, w końcu nie mógł już tego znieść i wyszedł na spacer do ogrodu, by tam poczekać, aż będzie po wszystkim. Powinien był z nią zostać, dodawać jej otuchy, ale przecież żadnego mężczyzny nie dopuszczano do rodzącej kobiety. Nawet gdyby próbował tam wejść, z pewnością zostałby wyrzucony. Dlaczego jednak nie nalegał?

Wezwano go dużo później, by popatrzył na jej blade, martwe ciało. Krew już zmyto, ale kłęb prześcieradeł, ciśnięty w kąt pokoju, był cały czerwony. Mimo woli wciąż na niego zerkał, przejęty trwogą. Córki nie chciał widzieć, najpierw więc umieścił ją u mamki, a potem znalazł jej przybranych rodziców. Nie brakowało jej niczego, to jednak wcale nie zmniejszyło poczucia winy.

- Od żadnej kobiety, tym bardziej takiej młodej, nie powinno się żądać poświęcenia życia po to, by zaspokoić męską potrzebę posiadania dziedzica - powiedział do Asha.

- Jesteś dla siebie zbyt surowy, Harry. Nie mogłeś przewidzieć, co się stanie, a następnym razem wszystko dobrze się skończy.

- Nie będzie następnego razu. Jak mógłbym poddać kogoś takiej torturze, a zwłaszcza kobietę, którą darzę szczerym uczuciem?

- Kobiety mają wybór, przyjacielu. Większość, jeśli je spytać, mówi, że chce wyjść za mąż i mieć dzieci. Taki ich los i one doskonale o tym wiedzą.

- Dobrze ci tak mówić - mruknął Harry. - Jesteś kawalerem i masz... ile lat?

- Trzydzieści dwa. Porzuciłem już nadzieję, że spotkam damę, którą chciałbym uczynić towarzyszką życia. Mam za wiele złych nawyków. Irytowalibyśmy się

wzajemnie ponad wszelką miarę, a ponieważ nie mam wielkiego majątku do przekazania, nie czuję brzemienia obowiązku.

- Ale kochanki miewasz?

- Naturalnie. Istnieją jednak sposoby, żeby zapobiec poczęciu.

- Co z tego za pożytek dla człowieka, który potrzebuje prawowitego dziedzica?

- Na pewno jakiegoś masz - powiedział Ash.

- No, mam. Kuzyna wymoczka, którego nie obchodzi ani ziemia, ani mieszkający na niej ludzie. On w rok przegrałby cały spadek w karty.

- Musisz więc temu zapobiec i ponownie się ożenić.

- Nie planuję swojej śmierci w najbliższej przyszłości.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, ale nigdy nie wiadomo...

- Mhm.

Harry miał dość. Na szczęście wypatrzył i przywołał dwie wolne lektyki, co ostatecznie zakończyło rozmowę. Zaniesiono ich pod Old Bailey.

Sala była już pełna. Część publiczności z różnych powodów interesowała się procesem, przyszło jednak wielu gapiów. Póki nie pojawili się urzędnicy, ludzie, jedząc pasztety i owoce, głośno spekulowali na temat przewidywanego wyroku.

Na ławie oskarżonych siedziała szajka Dustina: Alfred Dustin, jego żona Meg, ich dwudziestoczteroletnia córka Matilda i jej mąż Bernard Watson. Wszystkich oskarżono o to, że: „nie będąc zatrudnionymi w Mennicy Królewskiej w Tower ani nie dysponując wymaganymi przez prawo upoważnieniami od lorda wielkiego skarbnika, co więcej, Boga przed oczami nie mając i lekceważąc wagę obowiązku lojalności wobec swojego pana, Jego Królewskiej Mości, oraz jego ludu, w okresie od pierwszego do dziesiątego maja roku Pańskiego tysiąc siedemset sześćdziesiątego pierwszego, działając przestępczo i zdradziecko, wybili czterdzieści fałszywych monet ze srebra na podobieństwo srebrnych szylingów i sześciopensówek". Żadne z oskarżonych nie przyznało się do winy.

Pierwszym świadkiem była gospodyni, która pod ich nieobecność przysłała posprzątać mieszkanie i znalazła formę wypełnioną kredą, tygiel, bardzo już zużyty, oraz dwie sześciopensówki ze wzorem po jednej stronie i całkiem płaskie po drugiej. Kiedy

Bernard Watson wrócił do domu, gospodyni powiedziała mu o tym, co znalazła, a on przyznał się przed nią, że fałszuje monety, i pokazał, w jaki sposób to robi.

- Miał formę - powiedziała. - Była w niej odcisnięta sześciopensówka, a w środku pełno było proszku kredowego. Wlewał do formy cynę, podgrzaną wcześniej w tyglu nad ogniem. Twierdził, że najlepsza jest cyna dobrej jakości, więc aby ją uzyskać, pociął kufel. Monetę wyjętą z formy nacinał po bokach pilnikiem i szlifował piaskiem, żeby błyszczała. W końcu wkładał ją do garnka wody gotowanej z jakimś proszkiem, nazywanym przez niego tartarusem, żeby błyszczała jak srebro.

- Co na to powiedzieliście? - zwrócił się do gospodyni sędzia.

- Powiedziałam mu, że nie chcę z tym mieć nic wspólnego i muszą sobie znaleźć inne mieszkanie.

- Kłamiesz, kobieto - krzyknął Bernard Watson. - Nigdy w życiu nie zrobiłem fałszywej monety.

Kobieta zwróciła się do sędziego:

- Wysoki Sądzie, Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę.

- Co stało się potem? - popędził ją prokurator.

- Powiedział, że dobrze mi zapłaci, jeśli wydam te monety, robiąc zakupy, ale odmówiłam i kazałam im wszystkim się wynieść.

- Czy tak zrobili?

- Wyszłam z domu, żeby sprowadzić konstabla. Kiedy z nim wróciłam, po nich nie było już śladu. Zabrali wszystkie swoje rzeczy, także te sześciopensówki.

Następnie wezwano konstabla, który powiedział sądowi, że na miejscu nie znalazł niczego oprócz zniszczonego cynowego kubka i tygla z cynowym osadem w środku. Sfalszowanych monet nie widział.

- Boże, tym łotrom się upiecze - szepnął Ash.

- Cierpliwości - odszepnął Harry, strzepując niewidzialny pyłek z rękawa.

- Dokąd oskarżeni się udali? - spytał świadka prokurator.

- Do domu na White Lion Street. Dostałem adres od człowieka w karczmie Nag's Head, który słyszał ich rozmowę. Poszedłem tam razem z konstablem Buntingiem, wylamaliśmy drzwi i zastaliśmy wszystkich razem zajętych wybijaniem monet.

- Podejrzewam, że wiem, kto był tym człowiekiem z Nag's Head - szepnął znowu Ash.

- Pst - uciszył go Harry z uśmiechem.

Wezwano innych świadków, aby potwierdzili zeznania. Obrona oskarżonych, którzy twierdzili, że robili guziki i klamry, sprzedawane potem na targowisku, została odrzucona. Alfreda, Meg i Bernarda skazano na powieszenie, przyjęto tylko obronę Matildy utrzymującej, że nie była świadoma czynów swoich rodziców i męża, i ją jedną uwolniono. Opuściła sąd, przysięgając zemstę donosicielowi.

Harry i Ash, nie czekając na następny proces, wyszli na ulicę, gdzie powietrze było wyraźnie świeższe.

- Nie wiedziałem, że tak łatwo wyrabia się fałszywe monety - powiedział Ash. - Wydaje się jednak, że zyski są minimalne.

- Większe, jeśli wybijesz tych monet odpowiednio dużo. Zanieś fałszywego szylinga albo choćby sześciopensówkę do sklepu i kup coś za pensa albo pół pensa. Resztę dostajesz w prawdziwych monetach i wkrótce masz całkiem niezłą sumkę. Fałszerze zwykle zatrudniają paserów, którzy jeżdżą po kraju z zapasem podrobionych monet i kupują za nie różne tanie towary.

- Gra niewarta świeczki - ocenił Ash.

- Dla takich jak my niewarta, ale dla niżej urodzonych ludzi to dobre uzupełnienie marnych zarobków, a jeśli ktoś w ogóle nie pracuje, lepsze to niż głodowanie.

- Ta młoda kobieta była wściekła. Myślisz, że spróbuje urzeczywistnić groźbę?

- Ona nie ma pojęcia, kto ich wydał. - Harry zamilkł na chwilę. - To były tylko płotki. Naprawdę duże zyski są ze spiłowywania monet ze złota, ale do tego trzeba mieć najpierw dużo prawdziwych złotych monet, więc to zajęcie dla zupełnie innych ludzi. Właśnie teraz tym się zajmuję.

- Co odkryłeś?

Na razie niewiele, ale niedawno dostałem spiłowaną gwineę od kupca winnego. Niestety, kupiec nie pamiętał, kto nią zapłacił za wino. Obiecał jednak, że da mi znać, jeśli zauważy drugą podobną.

- Przecież nie dadzą fałszywej monety więcej niż raz w jednym sklepie - powiedział Ash.

- To zależy od spostrzegawczości sklepikarza. A jeśli łotrzykowi się udało, może mieć pokusę, żeby spróbować ponownie.

Doszli do klubu White'a, więc wkrótce rozmowy o fałszerzach i monetach zostały zapomniane, obaj bowiem zgodnie zajęli się grą w karty. Harry pił i grał z umiarem, za to pilnie obserwował. Dawno już zauważył, że ludziom, którzy mają w czubie, rozwiązują się języki. Zdobył dzięki temu niejedną informację przydatną w działalności dżentelmenów z Piccadilly. Zresztą do domu właściwie nie miał po co wracać.

Oprócz niego i Asha czwórkę tworzyli tego wieczoru Benedict Stafford i sir Maks Chalmers. Benedict był pryszczatym młodzieńcem najwyżej dwudziestoletnim, dziedzicem tytułu wicehrabiowskiego. Tajemnicą poliszynela było, że tatuś trzyma go na krótkiej smyczy. Sir Maks, którego Harry spotkał pierwszy raz, nosił porządny czarny strój urozmaicony jedynie srebrnym haftem i białym halsztukiem z koronki wylewającej mu się również spod mankietów wierzchniego okrycia. Maks miał spiczasty nos, ostry podbródek i chude nogi, dlatego przypominał Harry'emu srokę.

- Ma pan diabelne szczęście - narzekał Stafford kilka godzin później, gdy Harry zgarnął swoją wygraną. - Jeśli nie weźmie pan ode mnie kwitu dłużnego, muszę się wycofać.

- Naturalnie przyjmę kwit - powiedział Harry swoim wysokim głosem fircyka. - Zastanawia mnie jednak, kiedy będę mógł zamienić go na gotówkę, jeśli przypadkiem pańskich kwitów krąży zbyt dużo.

Benedict wybuchnął śmiechem.

- Tego nie umiem powiedzieć, ale przecież panu się nie spieszy, prawda? O ile wiem, ma pan góry pieniędzy.

- To możliwe, ale głupcem nie jestem.

Beznamiętnie przyjrzał się zgromadzonym przed nim monetom i ani jednym mrugnięciem nie dał poznać, że zauważył wśród nich jedną spiłowaną. Ciekaw był, który z graczy ją dołożył i czy zrobił to celowo. Kłopot polegał na tym, że łatwo było posłużyć się złą monetą nieświadomie. Przecież przed spiłowaniem taka moneta była całkiem

dobra, a i potem jej jedyna niedoskonałość polegała na tym, że stawała się nieco mniejsza i ważyła mniej, niż powinna. Harry schował uszkodzoną gwineę osobno do kieszeni.

- Lubię, kiedy dłużnicy regulują swoje zobowiązania - dodał.

- Wobec tego kończę - powiedział wyniośle Benedict.

- Każdy inny człowieka na moim miejscu zażądałby satysfakcji za tę obrazę.

- To dla mnie prawdziwa ulga, że pan do nich nie należy - odparł Harry z leniwym uśmiechem. - Przemoc budzi u mnie odrazę.

- Rzućmy kośćmi o moją część puli - powiedział do młodego człowieka Ash. - Jeśli pan wygra, dostanie dość pieniędzy, by móc grać dalej.

- A jeśli przegram?

- Wezmę pański kwit.

- Zgoda.

Przerwano grę i polecono służącemu przynieść kości. Harry poświęcił ten czas na obserwację partnerów przy stoliku. Benedict był młodym głupcem. Chciał uchodzić za światowego człowieka, ale nie starczyłoby mu odwagi, by posługiwać się fałszywymi pieniędzmi. Co innego Maks Chalmers. Ten miał około trzydziestu lat, całkiem nieźle wyglądał, ale przez cały czas się chmurzył. Nosił dobrze skrojone ubranie i perukę z pewnością od jednego z najlepszych rzemieślników w mieście. Próźniak, uznał Harry, i trochę go to rozbawiło, gdyż w tej samej chwili pomyślał o własnym wyglądzie.

- Proszę pozwolić, Chalmers, że złożę panu kondolencje i jednocześnie gratulacje - powiedział Ash, bo oczekiwanie na kości wciąż trwało. - O ile wiem, wszedł pan ostatnio w posiadanie spadku.

- Dziękuję, chociaż niewiele udało się ocalić, a mam jeszcze na garnuszku niezamężną siostrę.

- To duży ciężar?

- Nie byłoby go wcale, gdyby ojciec nie inwestował lekkomyślnie. A tak nie zostawił jej żadnego zabezpieczenia. Moja żona za nią nie przepada i nie bardzo chce ją przyjąć pod nasz dach. - Westchnął. - Gdybym tylko mógł znaleźć jej męża. Nie wiecie panowie o nikim, kto potrzebowałby żony?

Ash zerknął znacząco na Harry'ego, który odpowiedział mu groźnym marsmem.

- Co dobrego może pan o niej powiedzieć? - spytał niezrażony Ash.

- Nie za wiele - przyznał ponuro Maks. - Skończyła dwadzieścia sześć lat i nie jest piękna, ale można by chyba powiedzieć, że ma ładną figurę...

- Dlaczego pańska żona jej nie lubi? - spytał Harry.

- Jest zanadto wyniosła i zadufana w sobie.

- Hmm, to niedobra cecha, rzeczywiście - przyznał Harry. - Czy dlatego nigdy nie wyszła za mąż?

- To możliwe, ale poza tym od czasu śmierci naszej matki była praktycznie gospodynią ojca. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że w tym jest naprawdę dobra. W domu zawsze wszystko szło jak po maśle. Na tym zresztą polega część problemu. Gdyby zamieszkała u nas, chciałaby narzucić własne przyzwyczajenia...

Harry parsknął śmiechem.

- No, to ma pan problem, przyjacielu.

- Niech pan ją wyda za mąż - powiedział Ash.

- Zrobiłbym to, gdybym znalazł kogoś, kto ją zechce.

- Jest zdrowa? - dopytywał się dalej Ash.

- Jednego dnia nie przechorowała, jak żyje.

- Wydaje mi się - skonstratował Ash - że pańskie twierdzenie, jakoby nie miała zalet, jest fałszywe. Dobrze prowadzi dom, ma własne zdanie i jest zdrowa, więc może rodzić dzieci. Czy jest wybredna, jeśli chodzi o wybór męża?

Maks roześmiał się.

- Nie stać jej na to.

- Chce pan powiedzieć, że zgodziłaby się na małżeństwo z rozsądku?

- Gdyby ktoś jej to zaproponował, sądzę, że zdołałbym ją namówić. - Urwał. Uświadomił sobie bowiem, jak bezdusznie to zabrzmiało. - Naturalnie nie zgodziłbym się, żeby to był pierwszy lepszy Tom, Dick czy Harry... och, przepraszam, Portman.

- Nie się nie stało.

- Chciałbym mieć pewność, że będzie uczciwie traktowana, że mąż nie zrobi z niej wołu roboczego ani nie będzie skąpił pieniędzy - ciągnął Maks. - Przecież ona mimo wszystko jest damą. Nasza rodzina ma korzenie sięgające okresu Tudorów.

- Posag? - spytał Ash, ignorując Harry'ego, który kopnął go pod stołem.

- Niestety, to mój słaby punkt.

Ash zachichotał.

- Finansowo zatem propozycja jest nieatrakcyjna. Jak pan zatem zamierza doprowadzić do małżeństwa? Wystawi ją pan na sprzedaż?

- To jest myśl - przyznał Maks.

- Jak pan może być taki gruboskórny? - wybuchnął Harry, zapominając o swojej pozie zblazowanego fircyka. - To przecież pańska siostra i do tego dama. Powinien pan się nią opiekować!

Maks popatrzył na niego zaskoczony. Nie spodziewał się takiego wybuchu po człowieku, znanym z rozleniwienia i ostentacyjnego lekceważenia wszelkich uczuć wyższych z wyjątkiem własnych.

- Ona naturalnie jest i będzie pod moją opieką, póki nie wyjdzie za mąż, mam jednak niezbitą pewność, że w małżeństwie będzie szczęśliwsza.

- Chcielibyśmy poznać tę damę, czyż nie, Harry?

- Mów za siebie - odparł szorstko Harry, zastanawiając się, jak długo jeszcze służący będzie przynosił kości, bo cała ta rozmowa stawała się w najwyższym stopniu niestosowna.

- Pan? - spytał Benedict, zwracając się do Ashleya. - Zdawało mi się, że jest pan zadowolony z życia w stanie kawalerskim.

- Owszem, jestem. Myślałem o kim innym.

Maks parsknął śmiechem.

- Męski swat. Słyszał ktoś kiedyś o takim?

- Nie posunąłbym się do tego - stwierdził Ash.

- No, myślę! - wtrącił Harry. - Błagam, zapomnijmy o całej sprawie.

Jednak Ash na dobre wbił sobie ten pomysł do głowy i nie zamierzał z niego zrezygnować.

- Nie zaszkodzi poznać się z tą damą. Na gruncie towarzyskim, naturalnie. Ona nie musi o niczym wiedzieć. - Zwrócił się do Maksa.

- Nosi żałobę, więc nie udziela się towarzysko, ale popołudniami lubi spacerować po Green Parku. Gdyby panowie akurat tam byli, moglibyśmy przypadkiem się spotkać i wtedy przedstawiłbym was siostrze.

- Kiedy?

- Jutro po południu. O drugiej?

- Znakomicie! Spotkamy się przy bramie i razem pospacerujemy.

Tym razem Harry kopnął mocniej. Zaskoczony Ash krzyknął „Au!”, co natychmiast zamaskował kaszlnięciem.

- Gdzie się podział ten przeklęty służący z kośćmi? - spytał zrzędlawie Harry, rozglądając się dookoła.

- Zmieniłem zdanie - oświadczył Maks. - Nie będę dłużej czekał, panowie wybaczą.

Wstał od stołu i odszedł. Benedict szybko wziął z niego przykład, zadowolony, że udało mu się ujść bez podpisania kwitu. Harry naturalnie to zauważył, postanowił jednak dać młodemu człowiekowi spokój.

Gdy tylko ich niedawni partnerzy znaleźli się dostatecznie daleko, Harry zwrócił się do przyjaciela.

- W co ty grasz, Ash? Jeśli sądzisz, że upadłem tak nisko, by kupować sobie żonę, to jesteś w grubym błędzie. Nie przyjdę.

- Mnie się widzi, że oboje wyświadczylibyście sobie przysługę. Niemożliwe, żeby ona chciała zamieszkać u swojego błaznowatego braciszka. Ty możesz jej zapewnić wygodny dom, a ona dałaby ci potrzebnego dziedzica bez wprawiania cię w zamęt uczuciowy.

- Żałuję, że opowiedziałem ci o żonie - powiedział Harry. - I bardzo cię proszę, abyś w przyszłości powstrzymał się przed wracaniem do tej sprawy.

Przyzwał służącego i polecił mu sprowadzić przed klub dwie lektyki. Ash wracał do swoich kawalerskich apartamentów na Lincoln's Inn Fields, a Harry do Portman House przy Berkeley Square.

- To tylko propozycja - wyjaśnił Ash ze śmiechem - ale chętnie pospaceruję po parku jutro po południu. Wpadnę przedtem po ciebie. Możesz ze mną iść albo nie, jak sobie życzysz.

Harry sobie nie życzył. Wrócił do domu, gdzie w samotności zjadł na kolację befszytk z polędwicy, kuropatkę, kapłona i kilka owocowych tartaletek, popijając wszystko dwiema butelkami reńskiego wina. Miał po dziurki w nosie przyjaciół, choć musiał przyznać, że czasem rzeczywiście czuł się samotny.

Chcąc zapomnieć o przyczynie swojej irytacji, poszedł do sypialni, zrzucił perukę, zdjął elegancki strój i zaczął się przebierać. Wdział sukienne spodnie, wełniane pończochy ozdobione czerwonymi zegarami, które z wiekiem stały się szaroróżowe, i czarną znoszoną kamizelkę, pozieleniałą ze starości. Na koniec włożył brunatną kaptę i zawiązał wokół szyi chustkę w grochy. Musiał to zrobić sam, ponieważ jego osobisty służący, Jack Sylvester, odmawiał udziału w maskaradzie. Harry wzuł jeszcze rozczłapane czarne buty.

- Wychodzę, Jack - powiedział. - Nie wiem, kiedy wrócę, ale możesz na mnie nie czekać.

Znalazłszy się na ulicy, skierował kroki ku karczmie Nag's Head. Harry Portman, fircyk, przeobraził się w Gusa Housmana, mroczną postać, w której sir Ashley Saunders najprawdopodobniej by nie rozpoznał przyjaciela.

Rozdział drugi

- O'Keefe? Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

Mężczyzna, któremu zatłuszczony fartuch przykrywał pokaźny brzuch i równie zatłuszczone spodnie, popatrzył na Rosamundę z pogardą i zachwytem jednocześnie. Z pogardą, bo mimo nędznego stroju niewątpliwie była damą, a on nie miał czasu dla takich, którzy uważają, że są lepsi od niego; z podziwem zaś, bo sama odważyła się przekroczyć próg Nag's Head. Jeśli jednak sądziła, że będzie ryzykował głowę i powie jej, gdzie można znaleźć Micka O'Keefe'a, to grubo się myliła.

- A o spółce Barnstaple Mining? - nalegała Rosamunda. - O ile wiem, czasem prowadzi tutaj interesy.

Roześmiał się ochryple.

- Spółka górnicza, milady? A gdzie tu jest kopalnia? Pewnie pod brukiem, co? Mnie też by się przydało trochę złota. Wtedy nie musiałbym tutaj stać i odpowiadać na głupie pytania.

- Złoto - powiedziała zaskoczona. - Dlaczego wspomnieliście o złocie?

- A czy nie tego wszyscy chcą? - odparł. - Przydałby mi się garnek złota, żebym mógł zostawić tę norę.

- Czyli spółka Barnstaple Mining nie zajmuje się wydobywaniem złota?

Wzruszył ramionami.

- A skąd mam wiedzieć? Nigdy o niej nie słyszałem. Niech milady stąd zmyka, póki moi goście nie zechcą zawrzeć znajomości. Jest tu paru zabijaków co się zowie.

Rozejrzała się dookoła. Gdy wchodziła, niska, obskurna sala była pusta, jeśli nie liczyć szynkarza, tymczasem jednak pojawiło się kilku mężczyzn, którzy mierzyli ją wzrokiem z nieukrywanym zaciekawieniem. Uświadomiwszy sobie, że niczego nie osiągnie, zdecydowała się na odwrót. Głupio było oczekiwać, że uda jej się znaleźć ślady tajemniczego pana O'Keefe'a i jego spółki, bez wątplenia stanowiącej jakieś oszustwo. Musiała jednak spróbować, i to wcale nie z uwagi na pamięć o ojcu, lecz dla samej siebie. Potrzebowała pieniędzy. Poniosła porażkę, więc nie pozostało jej nic innego, jak wrócić na Holles Street i dokończyć wyprzedaż mebli.

Pozostało tylko wyposażenie kuchni, łóżko i kufer w sypialni, a w salonie kanapa i mały sekretarzyk odziedziczony po matce. Również te meble czekała wkrótce zmiana właściciela, najpierw jednak Rosamunda musiała postanowić, co dalej. Zostać płatną damą do towarzystwa u przyjaciółki ciotki Jessiki? A może bezpłatną opiekunką u brata? Czy nie miała innego wyboru? Co jeszcze mogłaby robić? Przyszło jej do głowy prowadzenie domu. Przez chwilę zastanawiała się nawet nad napisaniem książki na ten temat, nie byłaby jednak pierwsza, a poza tym ten pomysł nie rozwiązywał jej bieżących problemów. Musi działać szybko.

Gdy wróciła, zastała czekającą na nią ciotkę Jessicę, która siedziała na kanapie w czarno-białej sukni w paski.

- Gdzie byłaś, Rosamundo? - spytała napastliwie. - W dodatku w tych łachmanach? Wyglądasz jak kramarka.

Właśnie tak chciała wyglądać, wybierając się do Covent Garden, więc puściła uwagę ciotki mimo uszu.

- Miałam sprawę do załatwienia - powiedziała, rzucając kapelusz na stolik przy sekretarzyku. - Przecież ciocia wie, że sprzedaję meble.

- Wiem, i cieszę się, że idzie to tak sprawnie.

- Nie mam wyboru, prawda?

- Rzeczywiście nie. Rozmawiałam z lady Bonhaven. Bardzo chętnie przyjmie cię na próbę. Umówiłam się z nią, że jutro złożymy jej wizytę.

- Ciocia zanadto się spieszy. Wcale nie powiedziałam, że chcę zostać damą do towarzystwa.

- Chcesz!?! - wykrzyknęła matrona. - Chcenie nic tu nie ma do rzeczy. Chcesz polecieć na Księżyc i co? Nie polecisz. Żebracy nie mają wyboru.

To zapiekło, ale Rosamunda nie zmierzała dać ciotce satysfakcji.

- Co stało się z poprzednią damą, lady Bonhaven?

- O ile wiem, okazała się niegodna zaufania. Szczegółów nie znam. Bez wątpienia dowiemy się tego podczas wizyty.

Ciotka powiedziała wszystko, co miała do powiedzenia, więc wyszła w przekonaniu, że bratanica wyraziła zgodę. Rosamunda westchnęła ciężko, gdy Janet

przyszła powiedzieć jej, że czeka na nią posiłek. Ciekawa była, co powiedziałby jej ojciec, gdyby widział, że jego córka je w kuchni razem z dwiema ostatnimi służącymi. Dla niej nie ulegało wątpliwości, że od czasu śmierci matki jej pozycja w świecie po trochu się obniżała. Kiedyś mieli mnóstwo służby, powóz, konie, stajnie. I przyjaciół, mnóstwo przyjaciół. Nieustannie ktoś ich odwiedzał albo oni jeździli składać wizyty.

Szkoda, że ojciec nie umiał pogodzić się ze stratą swojej drogiej żony i gdy został sam, niezmiennie odprawiał gości, tak, że w końcu w ogóle przestali przyjeżdżać. Większość czasu spędzał w klubie, grając w karty i pijąc. Do domu przychodził tylko na noc, a Rosamundę traktował jak służącą. Ona martwiła się o niego i nawet próbowała go strofować, ale tylko wzbudzała tym złość, że ośmiela się go krytykować. I tak jednak go kochała. Pamiętała przecież szczęśliwego, kochającego ojca, którym kiedyś był, i szukała dla niego wytłumaczeń. Jego śmierć spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Obecna sytuacja nie pozwalała jednak przeżywać żałoby w odpowiedni sposób.

Posiłek zjadły w milczeniu. Nie było nic do powiedzenia. Janet i kucharka dostały wypowiedzenia i były bardzo przygnębione. Rosamunda miała poczucie winy, ale nijak nie mogła im pomóc. Nie umiała nawet pomóc samej sobie.

Wróciła do porządkowania spraw ojca. Siedziała właśnie przy biurku, starając się cokolwiek zrozumieć z bałaganu w papierach, gdy przybył jej brat. Miał na sobie czarno-srebrny żałobny szustokor, bez wątpienia uszyty przez jednego z najbardziej wziętych londyńskich krawców, i pudrowaną białą perukę. Energicznym ruchem zdjął trójgraniasty kapelusz i wszedł do pokoju.

- Niebo mi cię zsyła - powiedziała, wskazując stertę rachunków. - Muszę ułożyć to wszystko od najpilniejszego do najmniej pilnego, na wypadek gdyby były jakieś pieniądze na spłatę.

- Najpierw wszystkie karciane kwity dłużne - powiedział natychmiast. - To są długi honorowe i muszą zostać spłacone. Rachunki od krawców możesz odłożyć na bok. Ojciec nie będzie już potrzebował ich usług. To samo dotyczy kowala. Sprzedałem konia wyścigowego, więc nie ma już czego podkuwać.

- Co zrobiłeś z pieniędzmi za tego konia?

- Opłaciłem pogrzeb.

- A co ze spiłowanymi gwineami? Oddałeś gdzie trzeba?

- Nie. Powiedziałem ci przecież, że to byłoby niebezpieczne. Ukryłem je. - Wyjął jej z ręki papiery i położył na biurku. - Daj spokój, dokumentami zajmę się później. Chodźmy na spacer.

- Na spacer? - spytała zaskoczona.

- Tak. Za długo już siedzisz w czterech ścianach i blado wyglądasz. Trochę świeżego powietrza dobrze ci zrobi.

- Nigdy dotąd nie wzięłaś mnie na spacer. Zresztą powinieneś chyba zaprosić również Charlotte z dziećmi.

- Charlotte pojechała na piknik do Hampstead.

- Dlaczego im nie towarzyszysz?

- Miałem sprawę w Londynie, a poza tym martwię się o ciebie. Włóż kapelusz, pójdziemy do Green Parku. Lubisz się tam przechadzać, prawda?

Zaskoczona nagłą troskliwością brata wstała i poszła do swojego pokoju po szal i kapelusz. Sukni nie zmieniła, miała bowiem tylko tę czarną, która musiała jej wystarczyć do czasu, aż będzie mogła sobie pozwolić na drugą. Rosamunda nie znosiła czerni i źle w niej wyglądała, ale nie mogła kwestionować etykiety.

Poszli wzdłuż Oxford Road i Tyburn Lane. Green Park nie był tak zatłoczony, jak Hyde Park, a miał bardzo przyjemne alejki, a nawet lasek.

- Czy zdecydowałaś się przyjąć propozycję lady Bonhaven? - spytał w pewnej chwili Maks.

- Jeszcze nie. Jutro mam razem z ciotką Jessicą złożyć jej wizytę. Milady jest znana jako trudna chlebodawczyni. Dowiedziałam się od Janet, że przez trzy ostatnie lata miała tyleż samo dam do towarzystwa. Nie spodziewam się więc, bym mogła zadowolić ją na długo.

- Nie zamierzam się uchylać od obowiązku wobec siostry i chciałbym wiedzieć, że twoje sprawy są uporządkowane. Jeśli nie możesz znieść myśli o towarzyszeniu tej damie, zamieszkaż u nas, ale mnie stać jedynie na to, by zapewnić ci niewielkie kieszonkowe.

- Wiem - powiedziała, zastanawiając się, ile kosztowały jego szustokor i peruka. I suknia żałobna, którą ostatnio nosiła Charlotte. To było przynajmniej piętnaście metrów jedwabiu, nie licząc perłowych ozdób. Na garderobę żony Maks z pewnością nie szczydził pieniędzy.

- Wyszłabyś za męża, gdybyś mogła? - spytał.

- Nie żartuj.

Minęli parkową bramę i ruszyli alejką w stronę The Mail, gdy ujrzeli zmierzających w ich stronę dwóch dżentelmenów. Jeden, z surową twarzą, miał granatowy szustokor i białe spodnie do kolan, drugi, bez wątpienia fircyk, był wystrojony w okrycie z brzoskwiniowo-kremowego atłasu, pod spodem miał brzoskwiniową kamizelkę z brokatu i kremowe spodnie do kolan. Rosamunda przeszłaby obok nich bez mrugnięcia okiem, bez wątpienia byli to jednak znajomi Maksa, ten bowiem przystanął i wykonał ukłon.

- Panowie, sługa uniżony. Czy mogę przedstawić moją siostrę, pannę Rosamundę Chalmers? Rosie, to jest lord Portman, a to sir Ashley Saunders.

Obaj zdjęli kapelusze i głęboko się skłonili.

- Do usług szanownej pani.

Dygnęła.

- Panowie dżentelmeni.

- Proszę pozwolić, że złożę kondolencje po stracie, jaka panią spotkała - powiedział Ash.

- Dziękuję.

- Wyszliśmy na przechadzkę - wyjaśnił Maks. - Może połączymy siły?

Dżentelmeni zawrócili, a Ash wykonał zręczny manewr, by Rosamunda znalazła się między nim a Harrym.

Harry podjął decyzję i nie zamierzał poddać się woli Asha, ale przyjaciel, który zgodnie z zapowiedzią stanął na progu jego domu, namówił go na krótki spacer. W końcu cóż złego w tym, że przyjrzą się tej pannie, usprawiedliwił się sam przed sobą.

Podczas gdy panna konwersowała z Ashem, Harry skorzystał z okazji, by jej się przyjrzeć. Doszedł do wniosku, że Maks nie opisał swojej siostry odpowiednio. Nie

nakładła różu na twarz, więc wydawała się bardzo blada i nie była piękną w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa, ale jej urodzie daleko było do pospolitości. Kształt twarzy z wydatnymi kośćmi policzkowymi i wyraźnie zarysowanym podbródkiem wydawał się interesujący. Włosy panna miała jasnobrązowe, zebrane w kok pod kapeluszem, ale kilka kosmyków opadało jej na czoło, a dwa loczki wylały się przy uszach. Ze swojego miejsca Harry nie widział dobrze oczu ani ust i ku swemu zdziwieniu złapał się na myśli, że tego żałuje.

- O ile wiem, opiekowała się pani ojcem przed jego śmiercią - odezwał się.

Gdy odwróciła się ku niemu, by odpowiedzieć, ujrzał pod gęstymi, lekko skośnymi brwiami szare oczy zdające się wyrażać w tej chwili żal i troskę. Miał jednak wrażenie, że głębiej kryją się również błyski świadczące o poczuciu humoru i zdecydowaniu. Zaskoczyło go, że tak wiele zdołał wyczytać z pary oczu, wiedział jednak, że się nie pomylił. Zwrócił też uwagę na lekko uniesione kąciaki ust. Ciekawe, czy łatwo było skłonić tę pannę do śmiechu, zastanowił się.

- Tak, moja matka zmarła ponad siedem lat temu.

- Wyrazy współczucia.

- Dziękuję.

- Nigdy nie wyszła pani za mąż?

- Nie - zabrzmiała burkliwa odpowiedź.

- I została pani sama?

- Mam Maksa.

- To prawda. O ile jednak wiem, on ma żonę i dzieci.

- Tak.

- Zamieszka pani u nich?

Dostrzegł lekkie drżenie jej ramion, które wydało mu się wymowniejsze niż słowa.

- Rozważam również taką możliwość, ale jeszcze nie podjęłam decyzji.

- Są inne?

- Tak sądzę.

- Życzę więc pani powodzenia.

- Dziękuję.

- Moja siostra zastanawia się nad przyjęciem posady damy do towarzystwa - wtrącił Maks i ściągnął tym na siebie wściekłe spojrzenie Rosamundy. Nie zwrócił na to uwagi i mówił dalej: - Nie jestem jednak pewien, czy to dla niej dobre rozwiązanie.

- Na pewno nie - mruknął pod nosem Harry.

- Jeszcze nie jest dla niej za późno na zamążpójście - ciągnął Maks. - Będąc w żałobie, Rosamunda nie może jednak odwiedzać balów i przyjęć, czyli bywać w miejscach, gdzie mogłaby spotkać odpowiednich kawalerów. Znaleźliśmy się więc w impasie.

- Maks! - rzuciła się na niego Rosamunda. - Jego lordowskiej mości i sir Ashleya moje problemy bez wątpienia nie interesują.

- Przeciwnie - powiedział Ash. - Ja w każdym razie jestem zainteresowany. Wydaje mi się to bardzo niesprawiedliwe, że świat zmusza kobiety do życia w zależności, ale kiedy odchodzi opiekun, nagle ich położenie staje się nie do pozazdroszczenia. Podziwiam je za hart ducha i odporność, skoro nawet wtedy starają się pokonać przeciwności losu. Panno Chalmers, wyrazy współczucia. Przyłączysz się, Harry?

Harry był równie wściekły na Asha, jak Rosamunda na Maksa, ale mógł tylko uprzejmie odpowiedzieć:

- Tak, naturalnie.

Rosamunda otworzyła usta, gotowa do ciętej riposty, ale szybko je zamknęła. Dumnie się wyprostowała i przyspieszyła kroku z nadzieją, że wystarczy to jako sposób na okazanie niezadowolenia. Była przekonana, że brat ściągnął ją do parku w myśl planu i z góry wiedział, że spotka tych mężczyzn - jednego złotoustego, z surową twarzą, w typie marynarza, i drugiego, fanfaron, który potrafił dotrzymać jej kroku mimo wysokich obcasów.

Sir Ashley był całkiem przyjemnym dżentelmenem, choć wydawał się mieć kłopoty z jej bratem, ciekawe jednak, jak miał się do tego lord Portman? Jego próżność wydawała się niemal namacalna. Bez wątpienia wydawał mnóstwo pieniędzy na krawca, perukarza i szewca, sprawiał też wrażenie powszechnie znanego człowieka, bo nawet w Green Parku często kłaniał się innym spacerowiczom. Niemożliwe, żeby

cieszyło go, że jest widziany w jej towarzystwie, a jednak nie został za nią z tyłu, choć Ash z Maksem tak właśnie zrobili.

- Milord skończył mnie przepytywać? - odezwała się.

- Przebóg! Nie zamierzałem pani przepytywać. Staralem się po prostu prowadzić uprzejmą konwersację. Jeśli pani tego nie lubi, będę milczał.

- Nie, bo teraz pan odpowie na moje pytania.

- Z przyjemnością, proszę pani.

- Jak długo zna pan mojego brata?

- Mam zaszczyt być jego znajomym od wczorajszego popołudnia, chociaż odnoszę wrażenie, że sir Ashley zna go dłużej.

- I od wczoraj zdążył pan poznać moją sytuację. Dziwi mnie, że Maks jest taki bezpośredni.

- Wszystko zaczęło się od kondolencji, które Ash złożył pani bratu w związku ze śmiercią sir Joshui. Sir Maksymilian wytłumaczył mu wtedy, w jakim położeniu pani pozostała.

- Nie miał powodu tego robić.

- Bez wątpienia czuje się za panią odpowiedzialny, skoro ojciec nie zabezpieczył pani przyszłości.

- Rozumiem, że i to wie pan od Maksa.

- Naturalnie. Przypuszczam, że wskutek zatroskania stał się bardziej skłonny do zwierzeń niż zwykle.

- A kto zaproponował to dzisiejsze spotkanie?

Zastanawiał się, czy nie zaprzeczyć, że zostało ono umówione, zrozumiał jednak, że panna jest zbyt bystra, by w to uwierzyć.

- Nie przypominam sobie dokładnie. Mógł to być pani brat, ale mógł być również sir Ashley...

- Nie pan?

- Z pewnością nie ja.

- Z braku zainteresowania?

- Ojej, i jak mam na to odpowiedzieć? „Tak” byłoby mało rycerskie, prawda? A „nie” sugerowałoby pewne zainteresowanie z mojej strony, a to też nie byłoby rycerskie. Proszę więc zwolnić mnie z odpowiedzi.

Z zadowoleniem ujrzał, że jej usta układają się w uśmiech.

- Zwalniam pana.

- Pani brat powiedział, że chciałaby pani wyjść za mąż.

- To był jego pomysł, nie mój.

- Dlaczego? Woli pani pozostawać osobą niezamężną?

- Milordzie, to jest niemądre pytanie, więc nie odpowiem. Poza tym uzgodniliśmy, że teraz ja pytam.

- Bardzo przepraszam.

- Czy pan jest żonaty?

- Nie.

- No właśnie! Woli pan pozostawać w stanie wolnym. Dlaczego mężczyźni mogą się chlępić tym, że są kawalerami, podczas gdy kobiety muszą się wstydić staropanieństwa?

Ostentacyjnie westchnął.

- Świat jest niesprawiedliwy, panno Chalmers. Ja jednak nie jestem kawalerem, lecz wdowcem.

Zwróciła się ku niemu i zauważyła, że jego wyraz znużenia znikł, a oczy wyraźnie pociemniały, jakby przypomniał sobie coś bolesnego.

- Och, bardzo przepraszam.

- Nie szkodzi. Pozostaję w tym przykrym stanie już od sześciu lat.

- Od sześciu lat? Z pewnością mógłby pan ożenić się ponownie, gdyby chciał?

- I gdybym znalazł pannę, która mi odpowiada.

Czoło mu się wygładziło i widać było, że wróciła doń beztraska.

- Czy jest pan taki wybredny?

- Na to wygląda, niestety.

Wybuchnęła śmiechem, nagle zrozumiała bowiem, co uknuli wspólnie jej brat i sir Ashley, a on słysząc ten śmiech, zorientował się, że cała intryga została przejrzana.

- Milordzie - powiedziała z błyskiem w szarych oczach. - Zrobimy dla nich małe przedstawienie?

Przystanął, skłonił się przed nią z pewną przesadą i pocałował ją w rękę.

- Z przyjemnością.

Podał jej ramię, a ona z uśmiechem położyła na nim rękę. Właściwie nie miała jednak powodu, aby się uśmiechać. Wciąż była daleka od rozwiązania swojego problemu, a Maks był zwykłym głupkiem.

Szli dalej głowa przy głowie, udając pochłoniętych rozmową, chociaż wymieniali całkiem banalne uwagi. W końcu okrążyli park i zbliżyli się do punktu wyjścia, więc przystanęli, by poczekać na Maksa i Asha.

Mężczyźni złożyli ukłony, a Rosamunda dygnęła. Nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła powiedzieć Maksowi, co sądzi o jego fortelu, zwróciła się więc do niego natychmiast, gdy zyskała pewność, że jej dwaj nowi znajomi niczego nie usłyszą.

- Maksymilianie Chalmers, jestem panem głęboko rozczarowana. Czy wiadomo panu, że lord Portman odgadł, co knujecie razem z przyjacielem, i był tym bardzo rozbawiony? Ja natomiast przeżyłam głębokie upokorzenie.

- Widziałem, że przyjęłaś jego ramię, a potem szliście w bardzo zażyłej komitywie.

- A co miałam zrobić? Mogłam potraktować to spotkanie jedynie jak żart. Bo zakładam, że to miał być żart?

- Niezupełnie. Jego lordowska mość szuka żony.

- To całkiem możliwe, ale sam mi powiedział, że jest bardzo wybredny. Zresztą bije od niego próżność, można się tylko dziwić, dlaczego nie nosi z sobą lusterka. To fircyk. A ty próbowałaś mnie z nim wyswatać. On z pewnością sam umie znaleźć młodą żonę, która będzie patrzeć przez palce na jego dziwaczne przyzwyczajenia.

- Ufam, że kiedy poznasz go lepiej, docenisz jego zalety.

- Mam go lepiej poznać!?! Maks, jak to sobie wyobrażasz? Chyba nie zamierzasz ciągnąć tej farsy?

- To nie farsa. Ten człowiek potrzebuje żony, a ty męża, chyba że zamieszkasz u lady Bonhaven. Nie zaszkodzi, jeśli spotkasz się z nim jeszcze raz.

- Chcesz powiedzieć, że już wszystko umówiłeś?

- Niezupełnie, ale wspomniałem, że w sobotni wieczór wybieramy się obejrzeć sztuczne ognie w ogrodzie Ranelagh.

- Nie mam zamiaru tam iść. Wątpię też, czy przyjdzie lord Portman. Ani on mnie nie potrzebuje, ani ja jego. Czyżbyś sądził, że jestem aż tak zdesperowana?

- Przecież jesteś, prawda?

- Nie - skłamała. - Wolałabym raczej zostać damą do towarzystwa lady Bonhaven. I dlaczego, na miły Bóg, lord Portman miałby się zastanawiać nad ożenkiem ze mną? - Urwała bo do głowy przyszła jej nowa myśl. - Chyba że zaproponowałeś mu coś na zachętę?

- Co mógłbym zaproponować na zachętę takiemu człowiekowi? Jest bogaty jak Krezus. Nie, on po prostu chce mieć żonę, która go nie zaćmi.

Trafienie było bolesne, ale Rosamunda zdołała skierować złość na człowieka, o którym rozmawiali.

- Nie miałabym szans - powiedziała. - W życiu nie spotkałam drugiego takiego pawia.

- To tylko poza. On uważa, że jest dobrym aktorem.

- Tylko się pograżasz. Lepiej już nic nie mów na ten temat.

Maksymilian zamilkł, a Rosamunda siedziała się przez całą drogę powrotną na Holles Street, gdzie przed drzwiami się rozstali. Weszła do prawie pustego domu, stanęła i potoczyła wzrokiem. To miejsce nie było już prawdziwym domem. Nazajutrz musiała iść z ciotką na rozmowę do starej lady Bonhaven i przyjąć warunki, jakie zostaną jej zaoferowane.

- Och, tato - westchnęła. - Czy wiedziałeś, w jakich tarapatach mnie zostawiasz?

Poszła na górę, aby zdjąć kapelusz. Jej pokój już prawie opustoszał. Kufer, stojący u wezłowania łóżka, był do połowy wypełniony ubraniami, które Janet zaczęła pakować. Jak wiele strojów pozwoliłaby jej mieć lady Bonhaven? Co z jej książkami i sekretarzykiem? Czy dostałaby na to pozwolenie?

Usiadła na łóżku, z którego zdjęto zasłony, żeby wyprać je przed sprzedażą, i zaczęła rozważać przyszłość. Brat zaproponował jej miejsce w swoim domu, zarazem jednak wyraźnie dał do zrozumienia, że to kłopot... I postanowił ją wyswatać! Z tym

fanfaronem! - pomyślała oburzona. Musiała jednak przyznać, że lord Portman wcale nie musi być taki, jaki wydaje się na pierwszy rzut oka. Gdy zostali sam na sam i rozmawiali poważnie, nagle przestał drobić i szedł zupełnie normalnym krokiem, a głos o zniewieściałym brzmieniu wyraźnie mu się obniżył. Co to był za człowiek? Dlaczego nie mógł znaleźć żony w bardziej konwencjonalny sposób?

Harry tymczasem strofował Asha, ale przyjaciel nie wykazywał oznak skruchy.

- Nic się nie stało - oświadczył, gdy wzdłuż Piccadilly zmierzali powoli w kierunku City.

- Bardzo źle się stało. Ona domyśliła się, co zamierza jej brat, i obróciła to w żart, ale doskonale wiem, że czuła się upokorzona. Bardzo mi było jej żal.

- Mnie też. Biedaczka utonie na głębokiej wodzie, jeśli ktoś nie rzuci jej liny. - Ash służył kiedyś w marynarce, więc często używał takich metafor. - Musisz jednak przyznać, że to nie szara myszka, jakiej się spodziewaliśmy. Owszem, nie jest piękną, ale wydaje się dostatecznie silna i zdrowa, by urodzić dzieci. Mogłaby bez trudu zostać matką twojego dziedzica.

- Nie wiem, po co wspominałem ci o Beth. Nikomu przedtem tego nie opowiadałem.

- Miałeś problem i zależało ci na znalezieniu rozwiązania. Ponieważ ci je podsunąłem, mógłbyś przynajmniej się nad nim zastanowić.

- Wolałbym nie.

- Dlaczego nie? - obstawał przy swoim Ash. - Nie jest paskudna ani głupia, ani niespełna rozumu. Ożeń się z nią, niech zamieszka w Bishop's Court, spłodź z nią dziecko, potem możesz dalej udzielać się w klubie, a o niej zapomnieć.

- Jesteś grubiański. Wcale mnie nie dziwi, że żadna kobieta nie chce cię poślubić.

- Och, mogłem się ożenić dziesiątki razy, po prostu nie chcę. A ty nie zmieniaj tematu.

- Chętnie zmienię.

- Niech ci będzie. Pojedziesz ze mną w sobotę do Ranelagh? Słyszałem, że sztuczne ognie z okazji królewskiego ślubu i koronacji mają być absolutnie wyjątkowe. Moglibyśmy wmieszać się w tłum i sprawdzić, czy nie wypatrzymy jakiegoś

kieszonkowca. Poza tym to doskonale miejsce do szukania ludzi, którzy płacą fałszywymi pieniędzmi.

Miał rację. Harry'emu przypomniawszy się natychmiast spiłowana gwinea, która przyniósł do domu poprzedniego dnia. Należało coś z tym zrobić, zamiast zawracać sobie głowę kobietą i małżeństwem.

- Dobrze, pojedę.

Zadowolony z udanego fortelu, Ash wypatrzył i przywołał dwie wolne lektyki. Pożegnał się z Harrym i każdy ruszył w swoją stronę.

Znalazłszy się w domu, Harry poszedł do sejfu umieszczonego pod podłogą w bibliotece i wyjął z niego dwie złote monety. Jedną z nich dostał od kupca, drugą wygrał w karty i przyniósł do domu poprzedniego wieczoru. Zważył je w dłoni i uznał, że mają mniej więcej podobną masę jak autentyczne gwinee, choć są odrobinę mniejsze. Potem obejrzał je przez silne szkło powiększające, które wyjął z szuflady biurka, i starannie zbadał ząbkowane ranty. Przysięgłby, że jest to dzieło tej samej ręki, posługującej się tym samym narzędziem. Po Londynie bez wątpienia krążyło tych gwinei znacznie więcej.

Kupcowi winnemu mógł dać tę monetę każdy, kto chciał kupić wino, ale który z graczy dołożył zmniejszoną gwineę do puli? Benedict był z pewnością zbyt pijany i zbyt głupi, by myśleć o wielkości monet, które miał w sakiewce. Maks Chalmers był szcwanym lisem, wydawało się jednak nieprawdopodobne, by świadomie puszczał w obieg fałszywe monety u White'a, bałby się bowiem skandalu i wykluczenia z klubu. Nawet Ash mógł ją gdzieś dostać i nieświadomie położyć na stole. Należało więc brać pod uwagę wszystkich trzech. Pochłonięci grą nie zauważyliby braków monety, a właśnie na nieuwadze innych opierali swoją rachubę fałszerze. Jeśli jednak wszyscy trzej gracze byli niewinni, to który wprowadził złą gwineę do gry?

Harry schował monety i usiadł, by rozważyć następne posunięcie. Kłopot polegał na tym, że raz po raz rozpraszał go widok szarych oczu. Wyobrażał sobie siostrę Maksa jako damę do towarzystwa jakiejś wymagającej starej kwoki i był święcie przekonany, że dla tej panny jest to zajęcie nie do zniesienia. Chciał jej pomóc. Niestety, gospodyni nie potrzebował. Pani Rivers prowadziła dom w Bishop's Court od niepamiętnych czasów i

wywiązywała się ze swych obowiązków zadowalająco. W mieście wystarczała mu kucharka. Zresztą panna Chalmers z pewnością nie była kandydatką na służącą. Nie z tym wysoko podniesionym czołem, zdecydowaniem malującym się na twarzy i niezależnym umysłem, by nie wspominać pochodzenia. Harry wiedział, że drugi raz już nikogo nie pokocha. Czy mimo to mógłby zawrzeć małżeństwo? W swoim wieku i w takich okolicznościach dama, o której mowa, chyba nie oczekiwałaby miłości...

Zniecierpliwiony odsunął od siebie te myśli. Musiał kompletnie oszaleć, jeśli snuł podobne rozważania. Potrzebował raczej czegoś, co odwróciłoby jego uwagę od przechadzki w parku. Wysłał więc lokaja po lektykę, a potem kazał się zanieść do Baltic Coffee House na Threadneedle Street. Był to ulubiony lokal kupców, więc liczył na zdobycie kolejnej wartościowej informacji, a może nawet jeszcze jednej fałszywej monety. Postanowił obejść kawiarnie i czekoladziarnie, a po zamknięciu przez nie podwoi zainteresować się klubami dżentelmenów. To zapewni mu zajęcie do wczesnych godzin rannych, gdy znużony będzie mógł wrócić do domu i samotnie położyć się do łóżka.

Pani Bullivant pojawiła się na Holles Street następnego dnia w południe, co dowodziło jej determinacji, rzadko bowiem była na nogach o tak wczesnej porze. Rosamunda, która porzuciła już nadzieję na ocalenie, nałożyła krótkie okrycie na żałobną suknię, nasadziła czepek na tył głowy, zawiązała go pod brodą szerokimi czarnymi tasiemkami. Wzięła torebkę i oznajmiła, że jest gotowa.

Ciotka wzięła powóz, więc wygodnie przejechały na Brook Street, chociaż łatwo mogły tam przejść piechotą lub przemieścić się w lektykach.

- Nie chcę, żeby widziała w nas żebraczki - powiedziała ciotka. - Musisz przecież zachować jakąś dumę.

O ciotce nie sposób byłoby powiedzieć, że nie jest świadoma swojej pozycji społecznej.

- To mało prawdopodobne, żeby ona chciała dać mi posadę, jeśli będę za bardzo zadzierać nosa - odparła Rosamunda, niewolna bynajmniej od nadziei, że tak właśnie się stanie.

- Zawsze jest droga pośrednia. Bądź uprzejma, może trochę służalcza, ale bez przesady. Głowa wysoko i nie mamrocz.

- Nie mam zwyczaju mamrotać, ciociu.

Matrona puściła tę uwagę mimo uszu.

- Albo zostaniesz damą do towarzystwa, albo pójdiesz do Maksa. Czy sądzisz, że okaże ci należne współczucie? On jest wrażliwy jak pień drzewa, a poza tym siedzi pod pantoflem.

- Wiem, ciociu.

Stały u drzwi okazałego domu lady Bonhaven i zostały wpuszczone przez lokaja. Poleciał im poczekać, póki nie upewni się, czy milady jest w domu, a potem zaprowadził je do buduaru na piętrze, z widokiem na ruchliwą ulicę. Milady siedziała przy oknie, więc z pewnością widziała zajeżdżający powóz. Była bardzo otyła, a że nosiła poszerzaną czarną spódnicę, na kanapie obok niej nie było już właściwie miejsca dla drugiej osoby. Na głowie miała czarny czepek, zawiązany wąską tasiemką, a stopy opierała na podnóżku. Obok niej na stoliku stały: na wpół opróżniona szklanka grzanego wina, pudełko z kandyzowanymi owocami, flakonik soli trzeźwiących i dzwoneczek, wszystko gotowe do natychmiastowego użytku.

- Wejdz, Jessie - powiedziała i uniosła do oka monokl. - Widzę, że przyprowadziłaś dziewczynę.

- W rzeczy samej, Clarisso. To jest moja bratowa, Rosamunda Chalmers.

Rosamunda dygnęła.

- Milady.

- Jest wyższa, niż sądziłam. I starsza. Nie powiedziałaś mi, ile ona ma lat.

- Dwadzieścia sześć, milady - odpowiedziała, uprzedzając ciotkę.

- Ma już za sobą wiek, w którym pannom pali się do małżeństwa - wtrąciła Jessica.

- To świadczy na jej korzyść. - Lady Bonhaven wskazała im, by usiadły, po czym zwróciła się do Rosamundy. - Jakie panna ma referencje?

- Kształciłam się...

- Phi, nie o to pytam. Jej edukacja mało mnie interesuje, dopóki nie zacznie się nią popisywać, kiedy rozmawiam z przyjaciółkami. Jeśli ją wezmę, będzie moim cieniem, a

nie moją buzią. Oczekuję, że panna będzie mi wszędzie towarzyszyć, gdy wychodzę, pilnować, żebym miała wszystko, co zapewnia mi wygodę, wypełniać polecenia i trzymać język za zębami. Czy to jasne?

- Absolutnie, milady.

Na myśl o byciu na każde skinienie tej despotki Rosamundę ogarnęły jak najgorsze przeczucia.

- Jest mi trochę zimno - ciągnęła dama. - Przynieś mi szal. Znajdziesz go w szafie w mojej sypialni. - Wskazała drzwi do przyległego pokoju. - Taki liliowo-kremowy.

Rosamunda, mrużąc pod nosem, łatwo znalazła szal i wróciła. Została jednak zbesztana za niewłaściwy wybór.

- Powiedziałam „liliowo-kremowy”. Ten jest fioletowo-kremowy. Nie widzisz różnicy?

Rosamunda najchętniej wdałaby się w spór na temat kolorów, ale grzecznie przeprosiła i poszła poszukać właściwego szala. Doskonale wiedziała, że wpadła w umyślnie zastawioną pułapkę. Gdy wróciła z właściwym szalem, została poinstruowana, by okryć nim ramiona damy, i znów naraziła się na krytyczną ocenę. Gdy wreszcie milady się usadowiła, powiedziała:

- Nie jestem pewna, czy panna się nadaje. Nie została wychowana w sposób, który napawałby mnie otuchą.

- Nie byłam wychowywana na damę do towarzystwa, milady.

- Moja bratanica nie zamierzała okazać braku szacunku - włączyła się skwapliwie ciotka Jessica. - I z pewnością wkrótce się nauczy, jakie są wobec niej oczekiwania.

- Miejmy nadzieję - stwierdziła milady. - Przyjmę pannę Chalmers na miesięczny okres próbny. Naturalnie bezpłatny. Może panna zacząć z początkiem przyszłego tygodnia, to da jej czas na uporządkowanie spraw. Teraz bardzo przepraszam, ale w każdej chwili spodziewam się gości.

Wzięła dzwonek ze stolika i energicznie nim potrząsnęła. Lokajowi, który się pojawił, poleciła odprowadzić panie do drzwi.

Gdy zbliżały się do powozu, stanęły nagle twarzą w twarz z lordem Portmanem idącym właśnie na spotkanie klubu. Tego dnia nosił niebiesko-biały strój, jak zwykle

bardzo elegancki. Energicznym ruchem zdjął kapelusz ze zwężaną główką i wykonał szarmancki ukłon.

- Dzień dobry, panno Chalmers. Ładny mamy dzień, nieprawdaż?

Rosamunda dygnęła.

- Rzeczywiście, bardzo ładny - przyznała i zwróciła się do ciotki. - Ciociu, czy mogę przedstawić lorda Portmana? Milordzie, to moja ciotka, pani Jessica Bullivant.

Skłonił przed nią głowę.

- Sługa uniżony szanownej pani.

Ciotka odpowiedziała nieznacznym ruchem głowy.

- Lordzie Portman.

Otworzył przed nią drzwi powozu i pomógł jej wsiąść, a potem obrócił się, by usłużyć Rosamundzie. Zatrzasnąwszy za nimi drzwi, polecił woźnicy jechać, a sam przez chwilę śledził wzrokiem oddalający się pojazd. Potem drobnymi kroczkami ruszył w swoją stronę, kręcąc w dłoni laseczką. Wydawał się zamyślony.

- Kiedy poznałeś tego dżentelmena? - spytała ciotka Jessica, obracając głowę, by przez okno przyjrzeć się Harry'emu.

- Maks przedstawił nas sobie wczoraj w parku i byliśmy na krótkiej przechadzce.

- Nie miałam pojęcia, że Maksymilian zna jego lordowską mość - powiedziała ciotka, wyraźnie świadoma wysokiej pozycji lorda Portmana.

- Zdaje mi się, że poznali się u White'a.

- Dziwi mnie, że Maksa stać na grę z kimś tak niewiarygodnie bogatym.

- Skąd ciocia wie, że on jest bogaty? - spytała Rosamunda. - Wydawanie majątku na stroje nie jest dowodem bogactwa. On może być po uszy zadłużony u krawca.

- Och, który dżentelmen o jego pozycji nie jest? Słyszałam jednak, że odziedziczył czterdzieści tysięcy rocznie, poza tym ma majątek Bishop's Court w Middlesex i domek myśliwski w Leicestershire. Każda niezamężna panna w Londynie chciałaby zwrócić na siebie jego uwagę.

- Powiedział mi, że odkąd przed sześcioma laty zmarła mu żona, nie znalazł nikogo, kto odpowiadałby jego wymaganiom.

- Naprawdę? To bardzo osobiste zwierzenie jak na nową znajomość.

- Tak, ale sama go o to spytałam.

- Rosamundo! Jak mogłaś być taka obcesowa?

- W obronie własnej. Zaczął mnie pytać o moje szanse na zamążpójście, i to mnie rozzłościło.

- Co mu powiedziałaś?

- Nic, czego nie wiedziałyby wcześniej - stwierdziła ponuro Rosamunda. - Nie tylko jego lordowska mość mówił o sprawach osobistych. Maks też był wyjątkowo, rozmowny. Opowiedział mu, że tata niczego mi nie zapisał i przez to muszę się zastanawiać, czy nie przyjąć posady damy do towarzystwa. Co gorsza, dodał, że byłabym gotowa wyjść za mąż, byle tego uniknąć. Bardzo się na niego zagniewałam.

- Co ten Maks sobie wyobraża?

- Sądzę, że przyjaźni się z jego lordowską mością. Sir Ashley Saunders próbował nas pchnąć ku sobie. W każdym razie tego zdania był lord Portman...

- I co?

- Obrócił to w żart.

- To mnie nie dziwi. Dlaczego miałby myśleć o ożenku z tobą, skoro może mieć każdą z londyńskich debiutantek?

Ta miażdżąca uwaga zakończyła rozmowę, choć upokorzenie Rosamundy nie było tak wielkie, jak targająca nią wściekłość. W tym nastroju pozostała już do końca dnia i nawet przestała myśleć o swojej przyszłości u lady Bonhaven. Znowu zajęła się papierami ojca, zdecydowana dobrze je poznać, żeby sprawdzić, czy adwokat się nie omylił i nie ma jednak dla niej jakiegoś niedużego zapisu.

- Zręczny paser płaci w Londynie fałszywymi gwineami - powiedział Harry swemu klubowi. - Dwie sam dostałem. - Wyjął je z kieszeni i położył na stole. - Byłbym zobowiązany, gdybyście zwrócili uwagę na tak wyglądające monety.

Jonathan wyjął sakiewkę i wysypał jej zawartość na stół.

- Nie sądzą, żebym miał jakieś fałszywki - powiedział, chowając monety po jednej.

Inni zrobili to samo, a Ash znalazł jedną u siebie.

- Niech mnie diabli! - krzyknął. - Skąd to się wzięło?

- Byłoby dobrze, gdybyś sobie przypomniał - powiedział Harry, biorąc od niego znalezisko.

- Nie kupowałem niczego, co dawałoby resztę w gwineach - powiedział Ash.

- Spłata długu? - podsunął Harry. - Wygrana w karty? Pytam, bo jedna z tych dwóch - wskazał swoje monety, po czym schował wszystkie trzy do kieszeni - była przedwczoraj w puli u White'a.

- Myślisz, że to ja ją tam dodałem?

- Każdy mógł. Ty, Stafford lub Chalmers. Naturalnie nieświadomie.

- Nawet ty - powiedział Ash z uśmiechem.

- Nie. Za dużo ich miałem w ręce, żeby dać się nabrać. W przyszłości starannie oglądaj wszystkie wygrane, dobrze?

- To pewne.

- Czy domyślasz się, kim są fałszerze? - spytał James.

- Nie, ale mam oczy i uszy otwarte. Kiedy już dowiem się, kto to robi, będę musiał również odkryć miejsce przestępstwa, żeby zdobyć dowody. Jedna gwinea dowodem nie jest. Każdy mógł nieświadomie przyjąć i przekazać dalej złą monetę. Chcę jednak, żebyście się pilnowali.

- Będziemy pamiętać - zapewnił go James i na tym spotkanie się skończyło.

- Najwięcej przegrał Benedict - przypomniał mu Ash, gdy wychodzili. - I spieszyło mu się do opuszczenia klubu.

- Tak, ale on po prostu miał nadzieję, że zapomnę poprosić go o kwit dłużny. Gdyby miał jeszcze gwinee, nie płakałby z tego powodu, nie sądzisz?

- Chalmers sam się przyznał, że jest splukany.

- Opowiada to, żeby pozbyć się siostry i złożyć odpowiedzialność na barki nieświadomego sytuacji przyszłego męża - powiedział Harry. - Ja mu nie wierzę.

- Biedna kobieta.

- Tak, wiem, że jej współczujesz, Ash. Proponuję, żebyś sam ją poślubił.

- Nie potrzebuję żony. Za to ty potrzebujesz. Dla kogoś, kto zarządza tak rozległą posiadłością, jak Bishop's Court, a przy tym nie ma dziedzica, to po prostu konieczność.

- Bardziej zależy mi na tym, żeby odkryć, kto dysponuje złymi monetami, bo mam nadzieję, że zaprowadzi mnie do fałszerzy.

- Sam chciałbym zobaczyć ich skutych. Nie lubię, kiedy ktoś rekwiruje zawartość moich kieszeni...

- Rekwiruje, Ash?

- Przecież zabrałeś mi gwineę i wsadziłeś ją do swojej kieszeni.

- Nie mógłbyś jej wydać, nie stając się współnikiem. A jeśli strata gwinei tyle dla ciebie znaczy, zaraz dam ci drugą.

- Nawet o tym nie myśl, przyjacielu. Wiesz co? Zabiorę cię do Cocoa Tree i tam o nią zagramy.

Harry spojrzał na przyjaciela z zainteresowaniem.

- O tę złą?

- O Boże, nie! O prawdziwą.

- Zgoda.

Spędzili więc miły wieczór w Cocoa Tree, grając w kości. Panna Rosamunda Chalmers wydawała się całkiem zapomniana.

Rozdział trzeci

Ogród Ranelagh Pleasure znajdował się w Chelsea, nieopodal zabudowań Royal Hospital. Było to ulubione miejsce rozrywek zamożnych londyńczyków, przede wszystkim dlatego, że wstęp kosztował więcej niż w ogrodzie New Spring w Vauxhall. Wejście za dwa szylingi i sześć pensów, a w wieczór sztucznych ogni za pięć szylingów, oznaczało, że nie stać na to uczciwych biedaków, którym pozostawało oglądanie pokazu z łodzi na rzece. Koszt wstępu nie odstraszał jednak rabusiów, kieszonkowców ani paserów rozprowadzających fałszywe monety, ponieważ mrok i sztuczne ognie przyciągające uwagę były korzystne dla ich profesji. Mimo to ogród Ranelagh miał opinię miejsca, w którym mogą się pokazać szanowani ludzie, więc śmietance towarzyskiej nie przeszkadzało, że obcuje tu ze zwykłymi średniakami.

Rosamunda przez cały czas zapowiadała, że nie pójdzie. Nosiła żalobę, więc taka rozrywka była dla niej nie do pomyślenia, poza tym nie chciała sprawić wrażenia, że narzuca się lordowi Portmanowi. Maks jednak na wszystko miał odpowiedź. Nikt jej nie zna, więc żałoba nie ma znaczenia. Może zresztą iść w półżałobie, ubrać się na szaro lub fioletowo. Gdyby zaś jego lordowska mość wykazał zainteresowanie, powinna je podsycać, na ile potrafi.

- Chcesz skończyć u lady Bonhaven? - spytał stanowczo, gdy po nią przyszedł i zastał ją nieprzygotowaną do wyjścia. - Przecież to stara gęgalska, której wszędzie pełno. Będziesz musiała za nią dreptać jak mops na smyczy. Tylko mops nie musi pracować na swoje utrzymanie.

- Sądzisz, że tego wszystkiego nie wiem?

- Łap więc okazję, kiedy się nadarza.

Roześmiała się szorstko.

- Wątpię, czy będę miała co łapać.

- Chodźmy zatem obejrzeć sztuczne ognie.

- A niech ci będzie.

Nie miała pojęcia, dlaczego się zgodziła, ale ostatnio zbyt często zdarzało jej się siedzieć samotnie w domu. Czuła, że musi się oderwać od ponurych rozmyślań. Może

gdyby przez godzinę lub dwie niczym się nie martwiła, przyszłoby jej do głowy rozsądne wyjście z opresji.

Poszła do sypialni, by poszukać czegoś znośnego w na wpół opróżnionym kufrze. Znalazła szary jedwab, w którym chodziła po śmierci matki, gdy mogła w końcu zacząć nosić półżalobę. Suknia była całkiem niemodna, rozcięta z przodu, z mocno spłaszczoną rogówką i szerokimi usztywnianymi mankietami. I tak była to dla Rosamundy miła odmiana po ponurej czerni. Przysłoniła jeszcze dekolt białą chustą, zebrała i schowała włosy pod kapeluszem z szerokim rondem, które w założeniu miało przysłaniać twarz, i wróciła do brata.

Obejrzał ją z uwagą.

- Nic lepszego nie masz?

- Nie. Jeśli nie życzysz sobie, by cię ze mną widziano, bardzo cię proszę, idź sam.

- Nie, chodź. I tak się spóźnimy.

Wezwał lektyki, więc nie było okazji do rozmowy, póki nie stanęli przy wejściu do ogrodu. Maks kupił dwa bilety po pięć szylingów, zapłacił za nie gwineą i dostał cztery półkorony i szylinga reszty. Potem wziął siostrę pod ramię i popchnął ją do środka.

Ogród był zatłoczony, więc gdy szli w głąb, kilka razy ich popchnięto. Kierowali się do okazałego okrągłego budynku w centralnym punkcie, gdzie protektorzy mogli słuchać orkiestry, siedząc w licznych łóżach, lub przechadzać się po parkiecie pośrodku i prowadzić konwersacje, czasem tak głośne, że w ich gwarze ginęły dźwięki orkiestry. W pawilonach dookoła sprzedawano herbatę, kawę i czekoladę, a w innych grano w karty. Niektóre pawilony wynajmowano prywatnym osobom. To tutaj prostytutki, kobiety o wątpliwej reputacji, a czasem także szacowne damy spotykały się z kochankami. Maks ignorował jednak ten zgiełk i niezmordowanie parł naprzód.

Rosamunda przypuszczała, że spieszno mu do spotkania z lordem Portmanem, i bardzo żałowała, że zgodziła się przyjść. Co, na Boga, mogła temu człowiekowi powiedzieć? Miała nadzieję, że lord Portman nie przyjdzie, zarazem jednak cieszyła się, że może znów go zobaczyć. Próbowwała odgadnąć, czy potwierdzi się jej pierwsze wrażenie, gdy odkryła w nim dziwne połączenie bezrozumnego narcyza z przenikliwym człowiekiem, bywającym w wielkim świecie.

Gdy zbliżali się do rotundy, Maks nagle zwolnił kroku i wreszcie przestała się mozolić, by za nim nadążyć.

- O, są - powiedział nagle. - Uśmiechnij się, Rosie. Nigdy w życiu nie widziałem takiej posepnej twarzy.

Harry nie spodziewał się ujrzeć jej w tym miejscu i był początkowo zdziwiony, ale potem zauważył szeroki uśmiech Asha i zrozumiał, że pozwolił sobą pokierować. Nie pozostało mu nic innego, jak powitać tę damę z typową dla siebie galanterią.

- Jak się pani miewa, panno Chalmers?

Kłaniając się, prawie zamiótł kapeluszem ziemię.

Przyjrzała się jego szustokorowi w kolorze burgunda, różowej kamizelce i takim samym spodniom do kolan, po czym skinęła mu głową. Wyglądał co najmniej barwnie. Wyprostowała się i spojrzała prosto w jego niebieskie oczy, przyglądające jej się z rozbawieniem. Poczowała jednak, że te oględziny przyprowadzają ją o rumieniec. Czyżby lorda Portmana razila jej suknia, tak samo jak Maksa?

- Dziękuję, dobrze - odparła. - A pan?

- Jeszcze lepiej, odkąd panią zobaczyłem.

Roześmiała się z tego bezczelnego kłamstwa.

- To znaczy, że wcześniej musiał pan być w bardzo niedobrym nastroju. Czyżby przyjaciel znowu zażartował pańskim kosztem? - Zwróciła się do Asha i nieznacznie dygnęła. - Dobry wieczór, sir Ashleyu.

- Nawet bardzo dobry, skoro pani przyszła - odrzekł, chyląc przed nią głowę.

- Sama nie wiem, który z was jest gorszy - odpowiedziała. - Proszę przy mnie nie silić się na pochlebstwa. Jestem na nie uodporniona.

- Jest pani pierwszą znaną mi damą, która ma taką cechę - zauważył Harry, przyglądając jej się przez monokl. To była poza, bo wzrok miał znakomity. Zauważył bez trudu, że panna zostawiła w domu ten ohydny czarny jedwab, ale jej szara suknia jest niewiele lepsza od poprzedniej. Szkoda, bo miał przeczucie, że nawet w żałobie pannie bardzo przysłużyłaby się inna garderoba. - Na pewno jednak nie ma pani nic przeciwko temu, by usłyszeć, że jej towarzystwo sprawia przyjemność.

- Nie, jeśli to prawda, podejrzewam jednak coś wręcz przeciwnego. Pan bez wątplenia nie miał pojęcia, że tutaj dzisiaj przyjdę.

- To bez znaczenia. Pospacerujemy?

Porzucił myśl o szukaniu człowieka, który wydawałby złe monety, i podał jej ramię. Poczul dotyk kobiecej dłoni na jedwabnym rękawie. Alejka była tak zatłoczona, że dla czterech osób w jednym szeregu nie starczało miejsca, Maks i Ash zostali więc z tyłu.

- Przyszłam obejrzeć sztuczne ognie - zaznaczyła Rosamunda, przeświadczona, że powinna usprawiedliwić swoją obecność.

- Ja też, więc możemy popatrzeć na nie razem.

- Milordzie, proszę nie mieć poczucia, że zabawianie mnie i w ogóle uprzejme zachowanie wobec mnie jest jego obowiązkiem. Świetnie wiem, co knuje mój brat, i na pańskim miejscu nie zwracałabym uwagi ani na niego, ani na mnie. Po prostu zajęłabym się swoimi sprawami.

- Nieuprzejmość nie leży w mojej naturze - odpowiedział. - I ciekaw jestem, co pani zdaniem knuje Maksymilian.

- Chce pan, żebym okryła się pąsem, mówiąc o czymś, co jest panu wiadome?

- Bardzo przepraszam. Nie byłem pewien, czy pani tak doskonale to rozumie.

- Owszem, rozumiem. On nie chce mnie przyjąć pod swój dach, ale mierzi go myśl, że jego siostra miałaby pracować, zwłaszcza jako dama do towarzystwa lady Bonhaven. Ma więc inne pomysły, które wprawiają mnie w jeszcze większe zakłopotanie.

A więc po to ta nieszczęśnica była z ciotką na Brook Street, pomyślał. Właściwie mógł się tego spodziewać. Obudziło się w nim współczucie, bo lady Bonhaven nie polecilby jako ewentualnej chlebobawczyni absolutnie nikomu. Kiedyś przyjaźniła się z jego zmarłą matką, wiedział więc, jak rozstawia służbę po kątach.

- Czy sądzi pani, że praca u lady Bonhaven jej się spodoba?

- Wiem, że będę jej nienawidziła - odparła. Nie miało sensu ukrywać przed nim tego problemu, jej brat posunął bowiem swoją szczerłość znacznie dalej. - Gdybym umiała znaleźć inną pracę albo zająć się interesami... Słowem, zacząć robić coś

użytecznego, co dawałoby mi utrzymanie, nie musiałabym nawet rozważać propozycji lady Bonhaven.

- Co mogłaby pani robić?

- Nie wiem. Jestem wykształcona, mogłabym uczyć. Albo pomóc komuś w katalogowaniu książek, albo napisać książkę o prowadzeniu domu, albo haftować.

- Brrr! - powiedział, otrząsając się. - Zniszczyłaby pani sobie oczy, a takie są ładne. Zlekceważyła ten komplement.

- Pan może pomniejszać znaczenie tych prac, ale nie jest pan na moim miejscu.

- Nie sądzę, żeby one do pani pasowały, moja droga - stwierdził, z namaszczeniem unosząc elegancko obutą stopę i przyglądając jej się z zadowoleniem. Miał doskonale poczucie równowagi.

- Żałuję, że w ogóle zaczęłam o tym mówić, skoro pan wszystko obraca w żart - rozzłościła się.

Zwróciła jednak uwagę, jak muskularna jest łydka odziana w jedwabną różową pończochę. Lord Portman z pewnością nie musiał upiększać jej kształtu. Zresztą cała jego postura kłóciła się z wyobrażeniem fircyka.

Rosamunda uprzytomniła sobie, o czym myśli, i szybko skupiła uwagę na czym innym.

- Jeśli zaś mowa o nedorzecznych intrygach mojego brata, to z pewnością nie należy ich traktować poważnie...

- Czyli jest pani w trudnym położeniu.

- Na to wygląda. Proszę jednak źle mnie nie zrozumieć. Jeszcze się nie poddałam.

- Rozumiem. - Zerknął w bok, zastanawiając się, jak wiele z wydarzeń ostatniej półgodziny zostało starannie zaplanowanych, żeby go usidlić. Ciekaw był aktorskich zdolności tej panny. Cicho się zaśmiał. - Zapomniała pani o jednym zajęciu, które bez wątplenia jest dostępne dla dam o nieskazitelnej reputacji.

Sporunowała go wzrokiem.

- Jak milord śmie! Miałam go za dżentelmena! Widzę teraz, jak głęboko się omyliłam.

Ze złości raptownie przyspieszyła kroku, ale lord Portman dogonił ją.

- Źle mnie pani zrozumiała - powiedział, ujmując ją za ramię i zmuszając, by przystanęła. - Coś takiego w ogóle nie przyszło mi do głowy. Myślałem o scenie.

Wyrwała się z jego uścisku.

- Aktorka!? To w sumie niewiele lepsze.

- Niekoniecznie. Scena staje się całkiem szacownym miejscem. Znam kilka aktorek powściągliwych jak zakonnice.

- To musi być dla pana rozczarowujące!

- Au! Chyba mi się należało. Ogłosimy rozejm? Bardzo nie lubię być w niezgodzie z innymi ludźmi.

- Dobrze - zgodziła się. - Z pewnością jednak nie mogę grać na scenie, bo w ogóle mnie to nie pociąga.

- A czy chciałaby pani obejrzeć sztukę w teatrze?

- Chodziłam do teatru, kiedy tata... - Urwała. - Ostatnio nie bywałam.

- Powinniśmy temu jak najszybciej zaradzić. Mam lożę w Theatre Royal. Z przyjemnością panią zaproszę.

- Dlaczego? - spytała nieufnie.

- Aby się zrehabilitować za ostatnią gafę.

- Nie ma potrzeby. Wybaczyłam panu.

Przystanął i skłonił się przed nią.

- To dla mnie prawdziwa ulga. - Znów zajął miejsce u jej boku i poszli dalej. - Cóż jednak będzie ze wspólnym wieczorem w teatrze?

- Lordzie Portman, po pierwsze, zapomina pan, że noszę żałobę, po drugie w poniedziałek zaczynam pracę u lady Bonhaven. Nie będę miała okazji obejrzeć żadnej sztuki, chyba że moja chlebodawczyni sama odczuje taką potrzebę, a ja będę musiała jej towarzyszyć.

- Ona na pewno tego nie zrobi. Wiem, że ta dama nienawidzi błahych rozrywek, widząc w nich szczyt zepsucia. Trudno mi sobie wyobrazić bardziej pryncypialną matronę.

- Przykro mi wobec tego, że będę musiała zrezygnować z przyjemności.

- Mnie też przykro. Proszę zobaczyć, doszliśmy do końca alejki. Zawrócimy do rotundy czy pójdziemy dalej na plac, gdzie odbędzie się pokaz sztucznych ogni?

Obróciła się, by wypatrzeć w tłumie brata i sir Ashleya, ale znikli bez śladu. Prawdopodobnie celowo pozostawili ją w kompromitującej sytuacji.

- Ojej, nigdzie nie widzę Maksa. Dokąd on poszedł? Muszę natychmiast go poszukać.

- Znajdzie nas, jeśli pójdziemy oglądać sztuczne ognie. A jeśli nie, to bezpiecznie odprowadzę panią do domu.

- Jak on mógł?! - krzyknęła gniewnie. - Jak mógł!

Nie oczekiwała odpowiedzi na to pytanie, lord Portman jednak postanowił jej udzielić.

- Maks liczy pewnie na to, że okażę się dość rycerski, by wystąpić z oświadczeniami, z czego pani na pewno zdaje sobie sprawę.

- Wobec tego traci czas. Nie zrobi pan tego, prawda?

- Trudno nie nazwać pani bezpośrednio - odrzekł. - W dodatku znowu postawiła mnie pani w trudnej sytuacji, podobnie jak podczas naszej rozmowy przed trzema dniami. Jeśli potwierdzę, źle to będzie o mnie świadczyło, jeśli zaprzeczę, będę musiał się oświadczyć.

- Och, niech pan skończy z tymi żartami! Nie zniosę ich więcej.

- Wobec tego koniecznie musimy spoważnieć.

Odciągnął ją w bok z zatłoczonej alejki, w miejsce gdzie wśród drzew stał na cokole grecki posąg. Tu było trochę spokoju, nikt im nie przeszkadzał. Rosamunda wiedziała, że powinna wyrazić sprzeciw, ale w lordzie Portmanie była władcza siła. Pociągnął ją, by usiadła przy nim na występie cokołu.

- Zrobimy dla nich małe przedstawienie? - spytał.

- Ma pan na myśli mojego brata i Ashleya?

- Tak. Obaj są przekonani, że powinniśmy się pobrać.

- Znam pobudki Maksa, ale o co chodzi sir Ashleyowi?

- Wie, że muszę ponownie się ożenić, żeby spłodzić dziedzica majątku. - Urwał, zastanawiając się, czy chce opowiedzieć jej o Beth, ale postanowił tego nie robić. I tak żałował, że zwierzył się Ashowi. - I wybrał właśnie panią do roli mojej żony.

Ten dobór słów dał Rosamundzie do myślenia. Czyżby lord Portman widział w tym wszystkim spektakl, a oni po prostu odgrywali swoje role?

- Dlaczego?

- Wie pani, że nie mam pojęcia? Może docenia jej zalety.

- Nie rozumiem, skąd mógłby je znać. Ilekroć się spotykamy, sir Ashley zaraz ginie gdzieś z moim bratem i zostawia nas razem.

- Pani brat nie jest szczególnie pilną przyzwoitką. Harry szybko dostrzegał kolejne zalety panny Chalmers.

Nie wydawała się strachliwa ani przesadnie onieśmielona i miała cięty język. Ash słusznie też zauważył, że w odróżnieniu od drobnej i eterycznej Beth jest silna i zdrowa. Urodą nie zadziwiała, ale z pewnością również nie odpychała, a te boskie oczy stanowiły rekompensatę za niejedną niedoskonałość. Zaczął się zastanawiać, czy gdyby panna Chalmers urodziła mu dzieci, miałyby jej oczy. Spróbował to sobie wyobrazić i obraz okazał się całkiem zachęcający. Ona potrzebowała środków utrzymania, a on mógł zaproponować jej coś znacznie lepszego niż praca u lady Bonhaven. Czy taka umowa miała szansę powodzenia? Według Asha żadna kobieta nie odrzuciłaby okazji zostania panią Bishop's Court.

- Dajmy spokój sir Ashleyowi i pani bratu. Sami zdecydujemy, co robić - zaproponował. Otworzyła usta, ale położył na nich palec. - Najpierw ja powiem swoje, a potem pani swoje, zgoda?

Skinęła głową, świadoma dotyku jego palca na wargach, ciepłego i suchego. Uświadomiła sobie z zażenowaniem, że z trudem powstrzymała się, żeby nie skubnąć go zębami.

- Dobrze. - Marmurowa Wenus uśmiechała się do nich z góry. Harry ujął Rosamundę za rękę. - Rozważmy więc wszystkie za i przeciw. Po pierwsze, potrzebuję dziedzica, a żeby go spłodzić, muszę mieć żonę. Po drugie, nie sędzę, bym miał powtórnie się zakochać, ale żona, którą wybiorę, musi dobrze wywiązywać się z

obowiązków, jakie na siebie bierze jako pani mojego majątku. Musi też być dobrą matką dla moich dzieci. - Urwał, uprzytomniwszy sobie, że nie zadał jej bardzo ważnego pytania. - Pani, jak wnoszę, chce mieć dzieci?

Zbyt skonsternowana, by cokolwiek powiedzieć, odpowiedziała mu skinieniem głowy.

- To dobrze. Gdzież to ja skończyłem? Aha, punkt trzeci. Zdrowie i wygląd zewnętrzny. - Przyjrzał jej się z powagą, jakby poddawał ocenie. - Mówiono mi, że nigdy w życiu nie była pani chora.

- To znowu Maks - stwierdziła ze smutkiem. - Założę się jednak, że o moim wyglądzie nie wspomniał ani słowem.

- Co do tego mogę wyciągnąć własne wnioski.

- Mnie powiedział, że potrzebuje pan żony, która go nie zaćmi.

Miał to być przytyk, ale lord Portman wybuchnął gromkim śmiechem, który zupełnie nie pasował do postaci fircyka. Nie przestawał jej zaskakiwać.

- No właśnie. W tym punkcie jestem niewątpliwie dłużnikiem pani brata. Który teraz numer? Czwarty, prawda?

- Piąty, jeśli brać pod uwagę wkład Maksa.

Ta konwersacja przybrała bardzo dziwny obrót, ale zaciekawiona tym i rozbawiona zarazem Rosamunda nie chciała wycofać się z gry.

- Niech będzie - uznał. - A więc pięć. Musi pani pilnie znaleźć dom i sposób utrzymania. Czy tak?

Znów skinęła głową. Wiedziała, że powinna wstać i odejść, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Doszliśmy więc do punktu szóstego. Nie chce pani zostać damą do towarzystwa, a na zrealizowanie innych pani pomysłów nie ma czasu. Prowadzenie domu? To właśnie robi żona, prawda? Haftowanie? Jestem przekonany, że zajmuje się tym każda dama, zamężna czy nie. Co do katalogowania książek, gdyby pani naprawdę tego chciała, mam w Bishop's Court duży księgozbiór, któremu trzeba nadać jakiś porządek. Co jeszcze? Aha, napisać książkę. Nie jestem przeciwny temu pomysłowi. Może pani poświęcić na to czas wolny od innych zajęć.

- Lordzie Portman - zdołała w końcu wtrącić. - O czym pan właściwie mówi?

- Wskazuję korzyści, jakie osiągniemy, łącząc się świętym węzłem małżeńskim.

Nie sądziła pani chyba, że proponuję jej inną umowę.

- Nie byłam pewna.

- Moja droga panno Chalmers, jeśli wróci pani do punktu pierwszego, przypomni sobie pani, że wspomniałem o płodzeniu dziedzica. Miałem na myśli prawowitego dziedzica.

- Pan żartuje, prawda? - spytała, patrząc mu w oczy.

- Nie. Teraz proszę wymienić wady takiego pomysłu, jeśli pani potrafi.

Powiedziała na głos pierwsze, co przyszło jej do głowy.

- Prawie się nie znamy.

- Rzeczywiście, ale to nie jest problem nie do rozwiązania.

- Jestem w żałobie.

- W tych okolicznościach można, moim zdaniem, przyjąć, że nie jest to przeszkoda. Pani brat jako głowa rodziny z pewnością podzieli mój pogląd. Szkoda, że już nie sposób zawrzeć szybkiego małżeństwa w okolicy więzienia Fleet, ale i tak można urządzić cichą ceremonię gdzieś na wsi.

- Jestem zbyt niezależna i bezpośrednia.

- To rzeczywiście można uznać za wadę - przyznał. - Zapamiętam.

- Mam dwadzieścia sześć lat.

- No, to pozwoli pani uniknąć zbyt gwałtowności uczuć. Nie będzie pani domagać się mojej niepodzielnej uwagi jak dzień długi. Tego zresztą nie mógłbym jej obiecać. Oczywiście nie powinniśmy zwlekać zbyt długo z założeniem rodziny...

- A jeśli się okaże, że jestem bezpłodna?

- Czy są jakieś powody, by się tego obawiać?

- Nie, ale nigdy nie wiadomo.

- To prawda. Może i ten punkt powinniśmy zapamiętać.

- Słyszałam, że już ma pan córkę.

- Tak. - Nagle zapomniał o żartobliwym tonie. - Mało ją widuję. Jest u przybranych rodziców.

- Ale wróci do pana, jeśli pan się ożeni, prawda? A jeśli mnie nie polubi?
- Będzie robić to, co jej się każe - powiedział beznamiętnie.
- Nie może pan jej nakazać, by mnie pokochała. Miłość nie słucha nakazów.
- Jak to się stało, że nagle rozmawiamy o miłości? - spytał nieco skonsternowany. -

Ja o tym nie wspomniałem. Mam nadzieję, że nie oczekuje pani ode mnie miłosnych uniesień i deklaracji oddania po wsze czasy.

Roześmiała się z nadzieją, że rozładuje tym atmosferę.

- To byłyby nadmierne oczekiwania, milordzie.

- Zatem mamy sześć do dwóch.

- Jak to?

- Sześć punktów za i dwa przeciw. Powiedziałbym, że to całkiem dobre przebicie.

- Widzę, że milord jest graczem. W odróżnieniu ode mnie.

- Niczego pani nie ryzykuje. Sporządzę uczciwy zapis na pani rzecz, dam jej dużą pensję, ubrania, klejnoty, powóz, swobodę w prowadzeniu domu i tytuł. Co ma pani do stracenia?

- Niezależność.

- Ile jest ona warta w tej chwili? - Spojrzał jej w oczy. - Proszę pamiętać o lady Bonhaven.

Nie chciała myśleć o tej matronie.

- Milordzie, jeśli to jest propozycja małżeństwa, w życiu nie słyszałam dziwniejszej.

- Tak wiele ich pani miała? - spytał z uśmiechem.

- Bez przesady - przyznała uczciwie. - Ale to nie ma nic do rzeczy.

- Czy wobec tego weźmiemy ślub?

- Obawiam się, że nie mogę ze spokojem myśleć o małżeństwie z rozsądku. Skąd mam wiedzieć, że się nie pokłócimy?

- Raczej nie jestem kłótlivy - zapewnił. - Kłótnie świadczą o braku opanowania.

Czy pani chciałaby się ze mną kłócić?

- Mając takie życie, jakie mi pan obiecał? Zachowałabym się po prostu niewdzięcznie. Czy jednak wdzięczność może zastąpić tę czułą więź, jaka powinna łączyć męża z żoną?

- Tylko pani może odpowiedzieć na to pytanie. Nie oczekuję jednak wdzięczności. Ta umowa nie byłaby jednostronna. Zależy mi tylko na tym, by sumiennie wypełniała pani swoje obowiązki.

Roześmiała się szorstko.

- Czyli jednak chce pan zamienić mnie w aktorkę. Wątpię, czy potrafiłabym dorównać mu na scenie. Nigdy nie widziałam człowieka, który grałby tyle ról naraz.

Roześmiał się.

- Trafna uwaga. Jaka jednak jest pani odpowiedź?

- Muszę to przemyśleć.

- Naturalnie. Proszę jednak pamiętać o punktach od pierwszego do szóstego.

Wstał i wyciągnął rękę, by jej pomóc. W tej samej chwili świst i huk oznajmiły, że czas na sztuczne ognie.

- Chodźmy popatrzeć - dodał. - Może uda nam się spotkać pani brata i Ashleya.

Wyszli ze swojego schronienia i ruszyli ku rzece, gdzie radosne okrzyki i kolejne huki, wraz z jaskrawymi błyskami czerwieni, zieleni, żółci i błękitu na niebie, dowodziły, że pokaz trwa w najlepsze. Stanęli obok siebie, by wspólnie podziwiać tę rozrywkę, fircyk i pospolita panna, zupełnie niedopasowana para, pomyślała Rosamunda, ale lord Portman wydawał się zupełnie tym nie przejmować.

Dziwny człowiek, uznała. I nieprzewidywalny. Czy mogłaby go poślubić? - zapytała się w duchu. Nie byłoby to małżeństwo, o jakim marzyła w młodości, ale spełnienia tych marzeń nie mogła już oczekiwać. Co czułaby, dzieląc łóżę z lordem Portmanem? Jak wyglądałoby jego obnażone ciało? Zrugła się w myślach i skupiła na pokazie.

Ognie były wspaniałe, a gdy dogasi ostatni błysk na niebie, lord Portman zwrócił się do Rosamundy.

- Nie przewidziałem naszego spotkania, ale zawczasu zamówiłem kolację w jednym z pawilonów koło rotundy. Bez wątpienia znajdziemy tam sir Ashleya z pani bratem.

Tłumy przelewały się teraz ku centrum ogrodu. Zapadł już zmrok, chociaż lampy rozwieszone wzdłuż alejek tworzyły wstęgi światła zbiegające się przy rotundzie. Harry ujął Rosamundę za ramię i pewnie zaprowadził do wynajętego pawilonu. Zgodnie z jego przewidywaniem zastali tam i Asha, i Maksa, którzy już się rozsiedli.

- O, jesteście - przywitał ich Ash. - A my już uznaliśmy was za zaginionych!

Rosamunda otworzyła usta, gotowa do zjadliwej riposty, ale uprzedził ją Harry.

- Mój drogi Ashu, to ty i sir Maks gdzieś się zgubiliście. My po prostu odbyliśmy przechadzkę i obejrzeliliśmy sztuczne ognie. - Mówiąc to, odsunął krzesło od stołu. - Proszę spocząć, panno Chalmers. Zaraz każę podać napoje i coś do jedzenia.

Rosamunda zerknęła na brata. Uśmiechał się jak kot, który najadł się śmietanki. Miała ochotę go uderzyć.

Teraz, gdy znów byli w większym towarzystwie, jego lordowska mość ponownie odgrywał rolę narcyza. Strzepywał pyłki z mankietów, raz po raz podnosił do oka monokl, by przyjrzeć się ludziom przechodzącym obok pawilonu, i zabawnie komentował ich wygląd. Maks śmiał się do rozpuku z jego żartów, Ash zerkał na niego z dezaprobatą, a Rosamunda była zbyt zmieszana, by w ogóle zareagować. Wciąż wracała myślami do niedawnej rozmowy z lordem Portmanem... Czy naprawdę zaproponował jej małżeństwo? Zaoferował dużą pensję, stroje, klejnoty, powóz, swobodę w prowadzeniu domu, i to wszystko w zamian za urodzenie dziedzica?

Dziecko, powtórzyła w myślach. Mała ludzka istota. Nie mops, nie lalka, lecz prawdziwy człowiek, który potrzebuje obojga rodziców. Nie na kilka dni lub tygodni, lecz na cały długi okres dorastania. A gdyby ich małżeństwo ułożyło się tak źle, że trzeba byłoby je zakończyć? Co wtedy stanie się z dzieckiem? A jeśli ona przywiąże się już do maleństwa ponad wszelką miarę? Czemu o tym nie wspomniała? Nie, uznała. Lord Portman z pewnością żartował.

Oświadczyły, choć oryginalne, nie były żartem, co zrozumiała już następnego popołudnia, gdy lord Portman złożył jej wizytę na Holles Street. Siedziała właśnie przy

sekretarzyku i robiła zapiski. Miała na sobie czarną suknię i nieulożone włosy, bo wcześniej tylko je wyszczotkowała i związała z tyłu wstążką. Janet tak się przejęła wizytą utytułowanego gościa, że zapomniała spytać panią, czy jest w domu. Po prostu od razu go wprowadziła. Rosamunda wstała zarumieniona.

- Nie oczekiwałam milorda. Harry pięknie się przed nią uklonił.

- Nie? Zdawało mi się, że mamy niedokończoną sprawę, szanowna pani.

Rozejrzał się po ogołoconym pokoju. Oprócz sekretarzyka z krzesłem, na którym siedziała panna Chalmers, całe umeblowanie stanowiła kanapa. Tymczasem Janet znikła.

- Czyżbyśmy wciąż odgrywali nasze role? - spytała, usiłując zamaskować zmieszanie lekkim tonem. - Bo mnie się zdawało, że w tej sztuce kurtyna już opadła.

- Dopiero skończył się pierwszy akt. Czy akcja nie została przerwana pani kwestią, że chce zastanowić się nad moją propozycją?

- Ja tak powiedziałam? - spytała, chcąc zyskać na czasie. - Może nie chciałam pana urazić zbyt szybką odpowiedzią?

- Już rozumiem. To pani poczuła się urażona.

- Nie, milordzie. Wciąż mam jednak wrażenie, że te oświadczenia nie odbyły się na poważnie i chodziło w nich jedynie o podrażnienie sir Ashleya, bo przecież pan doskonale wiedział, że nie potraktuję ich serio.

- Teraz naprawdę jestem urażony!

- Dlaczego?

- Bo pani zdaje się myśleć, że jestem zapatrzony w Asha i muszę robić to, co on mi powie. Ash jest poczciwym przyjacielem, ale nie decyduje o moim życiu. Powody do ożenku, które wyłożyłem pani wczorajszego wieczoru, są moje, nie jego. I to ja wybieram kandydatkę, a nie on. Mam również nadzieję, że odpowiedź, jaką otrzymam, będzie pochodzić od pani, a nie od jej brata.

- Tego milord może być pewien. Jeśli wystąpił z oświadczeniami całkiem szczerze, to pochlebia mi taki zaszczyt, ale niestety nie mogę ich przyjąć.

- Dlaczego nie? Czyżbym budził u pani wstręt? Jeśli tak, to wycofam propozycję i więcej pani ode mnie o małżeństwie nie usłyszy, ale jeśli nie...

- Nie. Milord wydaje się całkiem znośny, muszę jednak zastanowić się, jak wyglądałoby nasze codzienne życie, skoro jestem potrzebna wyłącznie jako machina do rodzenia.

- Wielki Boże! Nie zwykła pani łagodzić ostrza krytyki, panno Chalmers?

- Lepiej, żebyśmy zachowali wobec siebie absolutną szczerość.

- Słusznie. - Jej opór, w jakiś dziwny, irracjonalny sposób, tym bardziej wyzwolił w nim pragnienie, by postawić na swoim. - Chyba jednak dała się pani ponieść nadmiernej wrażliwości. Mam nadzieję, że nie wyobraziła sobie pani wspólnego spędzania czasu. Pani zachowa swoje życie, a ja swoje, jednak publicznie i w obecności dzieci zawsze będziemy szczęśliwą i zjednoczoną rodziną.

- Zakłada pan, że będą dzieci.

- W tym przecież rzecz. Gdyby ich nie było, jestem pewien, że znajdziemy sposób na dyskretne rozwiązanie małżeństwa. Pani na tym nie ucierpi, wręcz przeciwnie, nawet zyska, ponieważ zapewnię jej godziwe utrzymanie i nie będzie już musiała zdawać się na łaskę osób pokroju lady Bonhaven. Ona już chełpi się przed przyjaciółkami swoją litościwością, którą czuje się w obowiązku okazać, widząc, jak nisko pani upadła.

- Och, nie!

To wprowadziło ją w najprawdziwszą trwogę.

- Panno Chalmers, moja propozycja jest z pewnością lepsza.

- Owszem, ale stawiam sobie pytanie, czy nie mam innej możliwości.

Odwróciła się, słysząc otwierane drzwi, i do pokoju wszedł jej brat. Uśmiechnął się szeroko, widząc Harry'ego sam na sam z Rosamundą. Tak niekonwencjonalne zachowanie jego lordowskiej mości mogło oznaczać tylko jedno, w duchu pogratulował więc sobie intrygi. Nie tylko nie będzie musiał dać siostrze dachu nad głową, lecz w dodatku wejdzie do rodziny jednego z najbogatszych ludzi w kraju. To mogło mu przynieść tylko korzyści. Uśmiechnął się szeroko.

- Lordzie! Nie wiedziałem, że pana tu zastanę.

Harry skłonił głowę.

- Jak pan widzi, właśnie zbieram się do wyjścia. - Zwrócił się do Rosamundy. - Sługa uniżony szanownej pani. Gdyby pani zmieniła zdanie, proszę przysłać bilecik, wtedy złożę ponowną wizytę.

Wykonał elegancki ukłon i wyszedł.

Maks spoglądał za nim mocno skonsternowany.

- Rosie, tylko mi nie mów, że dałaś mu kosza. - Bezsilnie opadł na kanapę i spojrzał na siostrę. Stała dokładnie w tym samym miejscu, co przez całą rozmowę z Harrym, plecy miała sztywno wyprostowane, dłonie splecione przed sobą. - Oszalałaś?

Westchnęła i z powrotem usiadła na krześle przy sekretarzyku.

- Wiesz, po co tutaj przyszedł?

- Naturalnie. Żaden dżentelmen nie kompromitowałby damy sytuacją sam na sam, jeśli nie składa propozycji małżeństwa. To wspaniałe. Całe towarzystwo będzie ci zazdrościć.

- Nic z tego, odrzuciłam jego oświadczenia.

- To nie ma znaczenia. Przecież on oczekuje, że zmienisz decyzję.

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że osobiście uknułeś całą tę intrygę, i to jest dla mnie wyjątkowo upokarzające.

- Pleciesz androny! Gdyby nasz ojciec zaaranżował takie małżeństwo, nie miałybyś nic przeciwko temu, a ponieważ teraz ja jestem głową rodziny, muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy. Zresztą ja tylko was poznałem ze sobą. Czy widzisz w tym coś złego? Chyba nie sądzisz, że mógłbym skłonić lorda Portmana do zrobienia czegoś wbrew jego woli?

- Rzeczywiście nie.

Wyglądało na to, że nie dane jej będzie zaznać spokoju, w tej właśnie chwili nadeszła bowiem pani Bullivant. Maks wstał, by skłonić się przed ciotką, wyminęła go jednak, kołysząc szeroką spódnicą na obręczach. Również pióra na jej kapeluszu chwiały się w podobnym rytmie.

- Wszystko gotowe? - spytała Rosamundę. - Pomyślałam, że pomogę ci jutro przewieźć kufer, i właśnie przyszłam powiedzieć, że dostaniesz do swojej dyspozycji

powóz. Potem jeszcze odwiedzę cię na Brook Street i sprawdzę, czy masz wszystko, czego ci potrzeba,

- Czyżby ciocia spodziewała się, że ucieknę? - spytała Rosamunda.

- To całkiem prawdopodobne, bo ona nie ma piątej klepki - wtrącił Maks. -

Właśnie odrzuciła propozycję małżeństwa.

- Małżeństwa? - powtórzyła zaskoczona ciotka. - Z kim?

- Z nikim innym jak lordem Portmanem - powiedział Maks.

- Z Portmanem! - Matrona ciężko usiadła na kanapie zwolnionej przez Maksa. -

Masz na myśli lorda Portmana, którego poznałam trzy dni temu przed domem lady Bonhaven?

- Tak - potwierdziła Rosamunda. - On potrzebuje żony i matki dla swoich dzieci, a ja najwidoczniej zostałam w jakiś sposób wybrana.

- Wielkie nieba!

- Właśnie, wielkie nieba - przyznał Maks. - Ten człowiek jest odpowiedzią na modlitwy Rosamundy. Da jej tytuł i pozycję damy, nie wspomnę już o szczodrym zapisie i dachu nad głową w Bishop's Court. Tak się nazywa jego posiadłość pod Isleworth, to chyba wiesz. Zdaje się, że on ma również inne.

- Wiem - powiedziała pani Bullivant. - Słyszałam to od samej lady Bonhaven, która była powierniczką jego zmarłej matki.

- Och, chyba ciocia nie wypytywała milady o lorda Portmana? - zaniepokoiła się Rosamunda.

- Nie w ten sposób, naturalnie. Powiedziałam po prostu, że go poznałam i wydał mi się bardzo przyjemny. Nie mogę uwierzyć, że ktoś o takiej pozycji mógłby oświadczyć się Rosamundzie. Przecież ona jest...

- W wieku, gdy małżeństw się nie zawiera - dokończyła za nią Rosamunda z kwaśnym uśmiechem. - Ale wie ciocia, on powiedział, że to nieważne, a poza tym dzięki temu nie będę zbyt gwałtowna w uczuciach... ani zbyt wymagająca.

- Zupełnie słusznie.

- Powiedział też, że nie jestem piękną.

- Naprawdę?

- Nawet nie musiał tego mówić. Sama to wiem. Mam być klaczą i urodzić mu dziedzica.

- I co z tego? - spytała ciotka. - Chociaż byłoby lepiej, gdybyś wyraziła tę myśl subtelniej.

- Odrzuciła go - powiedział ponuro Maks.

- Nawet tego nie mów! Rosamundo, co ci się znowu roi? Naturalnie załatwiłam ci miejsce u mojej drogiej Clarissy, ale wyłącznie dlatego, że nie widziałam dla ciebie żadnej innej możliwości. Musisz przyjąć te oświadczenia. Sama pomyśl, zostaniesz lady Portman. Będiesz wszędzie zapraszana. Bez wątpienia dostaniesz nawet zaproszenie na koronację, a może nawet na ślub pary królewskiej. Jak mogło ci przemknąć przez myśl, żeby odrzucić oświadczenia jego lordowskiej mości?

Maks parsknął pod nosem.

- On ma nadzieję, że ona zmieni zdanie.

- Na pewno zmieni.

Rosamunda pozwoliła im się wygadać, a oni długo przedstawiali jej powody, dla których odrzucenie jego lordowskiej mości byłoby szczytem głupoty. Przypominali też wszystkie zalety takiego małżeństwa. Zanim wypili herbatę i zjedli ostatnie ciastko, które było w domu, Rosamunda była prawie przekonana. Nie na tyle jednak, by to przyznać.

Następnego ranka kucharka wyjechała na nową posadę w dużym majątku w Hertfordshire. Janet udała się do siostry, by tam przeczekać do czasu, aż uda jej się gdzieś znaleźć miejsce. Rosamunda pozostała w pustym domu i siedząc na kufrze w sieni, z sakwojazem obok, oczekiwała przybycia ciotki. Tymczasem rozważała, jak wyglądałoby jej życie damy u lady Bonhaven, i próbowała je porównać z propozycją lorda Portmana. Doszła do wniosku, że postąpiła głupio, odrzucając jego oświadczenia.

Ciotka przyjechała i natychmiast w domu zrobiło się głośno. Matrona spojrzała krytycznym okiem na bratanicę i jej bagaż.

- Powinnam była wziąć cię do sklepu i kupić ci nową suknię żałobną - powiedziała.

- Ta jest zdecydowanie wyświechtana. Milady naturalnie nie będzie oczekiwać od ciebie ubierania się *la mode*, ale powinnaś wyglądać jak dama godna szacunku. Może jeszcze nie jest za późno. Pojedziemy sprawdzić, czy nie znajdziemy jakiejś gotowej sukni.

- To nie jest konieczne, ciociu - odparła stanowczo Rosamunda. - Nie jadę do lady Bonhaven. Przekaż jej, proszę, moje wyrazy żalu i przeprosiny, że tak późno ją o tym zawiadamiam.

Matrona rozpromieniła się.

- Chcesz przyjąć lorda Portmana?

- Tak. Chyba muszę. Naturalnie jeśli jeszcze będzie mnie chciał.

- To oczywiste. Żaden dżentelmen nie wycofa się z raz złożonej propozycji małżeństwa.

Rosamunda uśmiechnęła się cierpko.

- Jedźmy sprawdzić - zaproponowała.

- Moja droga panno, nie możesz złożyć wizyty dżentelmenowi stanu wolnego. Okaż trochę rozsądku. Pojedziemy do mnie, a ja go zaproszę do złożenia wizyty. Musimy zachować się przyzwoicie.

Wydawała się zaskoczona, gdy jej bratanica wybuchnęła śmiechem. Zgięta w pół zaśmiewała się w głos, póki łzy nie popłynęły jej po twarzy.

- Och, jak ciocia może mówić o przyzwoitości w takiej sytuacji? - spytała, ocierając chusteczką łzy z policzków.

Spoważniała jednak, gdy ciotka zażądała od niej, by wstała z kufra i pozwoliła lokajom zanieść go do powozu. Podczas gdy to się działo, Rosamunda sprawdziła, czy wszystkie drzwi i okna są zamknięte, uważając, by nie ulec atakowi tęsknoty, a gdy wykonała to zadanie, wyszła za ciotką do powozu.

Rozdział czwarty

Harry spełniał właśnie członkowski obowiązek w bibliotece, przygotowując notatki na spotkanie Klubu Dżentelmenów, gdy dostarczono mu list od pani Bullivant, która prosiła o złożenie jej po południu wizyty na Chandos Street. Minęła dłuższa chwila, zanim udało mu się skojarzyć tę damę, w końcu przypomniał sobie jednak, że przedstawiła mu ją panna Chalmers. Pozwolił sobie na nikły uśmiezek i spokojnie pisał dalej. Kilka minut przed wybiciem południa skończył, poszedł do jadalni, przekąsił coś lekkiego, po czym kazał podstawić karetkę pod drzwi i udał się do sypialni. Tam zaczął ściągać kostium jeździecki.

- Przebiorę się w liliowy szustokor. Do tego atłasowa kamizelka w kwiaty i białe spodnie.

- Dobrze, milordzie.

Służący Jack od dawna zaprzestał choćby prób zrozumienia kaprysów swojego pana. Milord mógł zażyczyć sobie stroju ulicznego tragarza lub modnych szat fircyka, a z nowym strojem odpowiednio zmieniał się jego charakter. Dziś wydawał się przykładnym Koryntianinem ubierającym się pięknie, lecz nie ekstrawagancko.

Osobisty służący przyniósł mu żądany szustokor i pomógł go wdziać.

- Trzewiki, milordzie? - spytał.

- Nie te czerwone na obcasie. Zdecydowanie nie - odparł, widząc, co proponuje służący. - Czarne ze srebrnymi kłamrami.

Potem została przyniesiona wielka biała peruka, ale Harry tylko niecierpliwie skinął dłonią.

- Tupecik z lokami po bokach - powiedział, przeglądając się w lustrze.

Przez chwilę zastanawiał się, gdzie umieścić sztuczny pieprzyk, w końcu postanowił nie zawracać sobie tym głowy.

Skompletował strój, wkładając trójgraniasty kapelusz, wziął laseczkę i oznajmił, że jest gotowy. Jack przyjrzał mu się z pewną satysfakcją. Lubił oglądać pana w takim wcieleniu. Wyglądał niesłychanie przystojnie. Służący byłby gotów postawić dziesięć do jednego, że kryje się za tym dama.

Harry uśmiechnął się pod nosem, gdy jechał na Chandos Street. Mógł się naturalnie mylić, postawiłby jednak gwineę przeciwko sześciu pensom, że panna Chalmers sama zmieniła zdanie lub została do tego nakłoniona, a pani Bullivant postanowiła przeprowadzić sprawę zgodnie z zasadami przyzwoitości. Ta sztuka szybko stawała się farsą.

Wpuścił go służący w liberii i zaprowadził do salonu, gdzie czekali na niego sir Maks i pani Bullivant. Nie dostrzegł jednak ani śladu panny Chalmers. A więc czekała go najpierw rozmowa z rodziną, zanim będzie mu dane zostać na kilka minut sam na sam z Rosamundą. Zważywszy na ich rozmowę w ogrodzie Ranelagh, wydawało się to absurdalne. Zachował jednak śmiertelną powagę, skłonił się przed gospodarzami, a pani Bullivant wskazała mu miejsce i posłała po przekąskę.

Póki służba przygotowywała tacę, rozmawiali o ciepłych dniach, które dla pani Bullivant były bardzo męczące, podobnie jak tłumy w Londynie zjeżdżające już na uroczystości.

Normalnie cały *haut monde* opuszczał w tym okresie stolicę i rozjeżdżał się na wieś, w tym roku jednak wielu ludzi zdecydowało się zostać.

- Szczególnie męczy to tych, którzy mieszkają tutaj przez cały rok - powiedziała dama. - Zamiast ciszy i spokoju, na które moglibyśmy o tej porze mieć nadzieję, jest więcej hałasu i gwaru. I nie sposób znaleźć lektyki, kiedy potrzeba.

- Ma pani rację - przyznał.

- Rozumiem, że milord ma posiadłość w Middlesex, tak w każdym razie słyszałam.

- Istotnie, Bishop's Court, pomiędzy Isleworth a Hounslow. To wygodne położenie, stosunkowo blisko Londynu, a z drugiej strony wystarczająco daleko, żeby można było uciec od dymu, mgły i hałaśliwych ulic.

Tej konwersacji położyło kres przyniesienie tacy. Pani Bullivant zajęła się nalewaniem herbaty i częstowaniem ciasteczkami. Przez chwilę panowało milczenie, wszyscy pili i jedli. Harry cierpliwie czekał, aż pani domu wyjawi przyczynę wezwania. Wolałby załatwić ślub z Rosamundą bez tej maskarady, ale nie byłoby uprzejmie popędzać panią Bullivant.

Wreszcie matrona odstawiła filiżankę.

- Milordzie... - zaczęła. - Moja bratanica powiedziała mi, że milord złożył jej propozycję małżeństwa.

- Istotnie, ale ona ją odrzuciła.

- Może dlatego, że sposób przedstawienia tej propozycji był... - zawahała się, szukając właściwego słowa. - Niezupełnie stosowny - dodała po chwili.

Z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Czuję się słusznie napomniany.

- Sądzę, że gdyby milord zechciał wystąpić z oświadczeniami ponownie, mógłby otrzymać inną odpowiedź - zapewniła pani Bullivant. - Czy milord życzy sobie zapytać jeszcze raz?

- Naturalnie.

Wzięła dzwoneczek ze stołu i energicznie nim potrząsnęła. Kiedy pojawiła się służąca, została posłana po pannę Chalmers.

Rosamunda była rozbawiona zabiegami ciotki nie mniej niż Harry, weszła jednak do pokoju jak skromnej damie przystoi i dygnęła, gdy lord Portman wstał na jej powitanie.

- Milordzie.

- Sługa uniżony, panno Chalmers. Czy dobrze się pani czuje?

Nie było to jedynie pytanie grzecznościowe. Zauważył, że jest bledsza niż zwykle. Czyżby perspektywa zamążpójścia była taka onieśmielająca?

- Bardzo dobrze, milordzie.

- Rosamundo - zaczęła ciotka. - Lord Portman chce ci coś powiedzieć, więc zostawimy was na kilka minut samych.

Z tymi słowami wstała i z godnością wyszła, a za nią Maks.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Rosamunda wybuchnęła śmiechem.

- Och, milordzie, serdecznie przepraszam, ale moja ciotka nawet nie chciała słyszeć o tym, że mogłabym złożyć mu wizytę.

On też się roześmiał uradowany, że panna Chalmers nie straciła poczucia humoru i nie czuje się przygnębiona sytuacją.

- To rzeczywiście byłoby niewłaściwe. Ja z kolei zostałem złajany za oświadczenie się w niezupełnie stosowny, a zatem skazany na niepowodzenie sposób.

- Ciotka naprawdę coś takiego powiedziała? - spytała zaskoczona.

- Owszem.

- Bardzo przepraszam.

- Nieważne. - Pociągnął ją ku kanapie i oboje usiedli. - Czy odrzuciła pani moją propozycję właśnie z tego powodu?

- Nie. To niedorzeczne. Po prostu nie byłam pewna...

- A teraz pani jest?

W milczeniu skinęła głową, obawiając się, że jeśli cokolwiek powie, zdradzi swoje wątpliwości. Oświadczyń lady Portmana wydawały jej się jednak zdecydowanie lepszym wyborem niż lady Bonhaven.

- Czy wobec tego, panno Chalmers, wyświadczy mi pani ten olbrzymi zaszczyt i zostanie moją żoną?

- Na warunkach przedstawionych przez pana w sobotę wieczorem?

- Jeśli są dla pani do przyjęcia.

- Przyjmuję zatem oświadczyń - odpowiedziała z powagą.

Oczami wyobraźni ujrzał nagle Beth przyjmującą jego oświadczyń. Początkowo wydawała się zmieszana, potem rozpromieniła się i całkiem dosłownie rzuciła mu się w ramiona. To też nie było stosowne zachowanie, ale wprawiło go w zachwyt. Tym razem wszystko przebiegało całkiem inaczej. Panna Chalmers nie była tak młodziutka jak Beth. Między innymi dlatego ją wybrał. Mimo wszystko należało jednak okazać w jakiś sposób swoje zadowolenie. Ucałował więc rękę panny Chalmers i z szacunkiem złożył na jej kolanach.

- Dziękuję, moja droga - powiedział. - Muszę wobec tego dopilnować zapowiedzi. Kiedy i gdzie byłoby pani wygodnie odbyć ślubną ceremonię?

- Obawiam się, milordzie, że sprawa całkiem wymknęła mi się z rąk. Ciotka i brat na wyścigi proponują mi pomoc. Wiem jednak, że nie tak pan to planował, miał być cichy ślub na wsi, więc może zdoła ich pan przekonać.

Uśmiechnął się kwaśno. Przed oświadczeniami ani brat, ani ciotka nawet nie chcieli dać jej u siebie pokoju. Teraz widocznie uznali, że ich pospolita krewna złowiła nadszpedzanie wielką rybę, i chcieli jak najwięcej skorzystać. Sam zdecydowanie wolałby cichą ceremonię, wiedział jednak, że wywołałaby ona plotki, co nie byłoby uczciwe wobec panny młodej.

- Moja droga, nawet nie będę próbował, chyba że takie jest pani życzenie - odparł po chwili namysłu. - W takim dniu dama powinna zwracać na siebie uwagę, a z punktu widzenia towarzystwa nie ma w naszym ślubie niczego naganego.

- Pan jest bardzo dobry.

- Mam nadzieję, że zawsze będzie mnie tak pani oceniać, Rosamundo.

Tymi słowami trochę uciszył jej wątpliwości. Właśnie wtedy rozległo się skrobanie do drzwi i pani Bullivant wsunęła głowę w szparę.

- Czy możemy wejść? - spytała.

- Naturalnie - odrzekła Rosamunda.

Krewni wrócili więc do pokoju, pani Bullivant z wielkim entuzjazmem, Maks nieco bardziej powściągliwie.

- Czy możemy złożyć życzenia? - spytała ciotka.

Harry skłonił przed nią głowę.

- Tak. Panna Chalmers przyjęła moje oświadczenia.

- Och, cóż to za szczęśliwy dzień! - zawołała ciotka, jakby pierwszy raz o tym słyszała.

- Gratulacje, Portman - powiedział Maks, podając mu rękę.

Harry zwrócił uwagę na to, jak bardzo dłoń Chalmersa jest wilgotna i lepka.

- Kiedy ma się odbyć ślub? - spytała pani Bullivant. - Zważywszy na okoliczności, sądzę, że możemy skrócić okres żałoby. Powiemy, że Joshua przeczuwał, co może się stać, i zapowiedział, że w razie czego Rosamunda nie musi sztywno trzymać się zasad.

- Nie znałem sir Joshui - zwrócił uwagę Harry, śmiejąc się w duchu z wymysłu matrony.

- Mój brat znał wszystkich i wszyscy znali jego - oświadczyła. - Dziwię się nawet, jak milord mógł coś takiego powiedzieć. Sir Joshua był członkiem wszystkich klubów odwiedzanych zapewne również przez milorda.

- Och, naturalnie - potwierdził Harry, uznawszy, że nie warto się spierać. - Spotkałem go kilka razy, graliśmy w karty i piliśmy, więc to naturalne, że opowiedział mi o swojej córce i poznał nas ze sobą. Ta znajomość ma długie korzenie sięgające jeszcze mojego ojca. On nawet kiedyś wpadł na pomysł połączenia naszych dwóch rodzin.

Spojrzał na Rosamundę i zmarszczył czoło, żeby powstrzymać ją przed wybuchem śmiechu.

- Możemy więc urządzić ślub za miesiąc od dzisiaj, jeśli milordowi to odpowiada - zaproponowała ciotka.

- Znakomicie. Zostawię wszystkie decyzje w pani rękach.

- Moja bratanica może tymczasem zamieszkać u mnie. Dopilnuję wszystkich spraw związanych z uroczystością ślubną. Maks jako głowa rodziny musi załatwić sprawy finansowe.

- To prawda, ale może ustalimy wszystko od razu? - zapytał. - Poszlibyśmy do biblioteki i zostawili damom rozmowy o wstążkach, sukniach i różnych takich.

Harry skinął głową i śladem Maksa opuścił pokój, zostawiając triumfującą panią Bullivant z bratanicą.

- No no! - powiedziała ciotka po ich wyjściu. - Możesz uważać się za dziecko szczęścia, moja droga.

- Wiem, ciociu. A co do ślubu...

- Co znowu?

- Nie jestem już pierwszej młodości i nie chcę być traktowana tak, jakbym była. Wolę cichy ślub. Przecież wciąż jestem w żałobie. Poza tym nie mam co na siebie włożyć.

- Wszystkim się zajmiemy. Zrobimy zakupy. Musimy sporządzić listę.

Zaczęła wymieniać wszystko, co należy starannie wypisać: gości, jedzenie, wina, kwiaty, ale Rosamunda nie słuchała jej.

Zastanawiała się nad tym, co właśnie zrobiła. Jak przyjmie to towarzystwo? Nieznana, pozbawiona znaczenia, zbiedniała stara panna upolowała powszechnie szanowanego, bajecznie bogatego barona. Jak udało jej się to osiągnąć? Już widziała mielące jęczory i chciała mieć to jak najszybciej za sobą. Pragnęła bezpiecznie zaszyć się na wsi, z dala od plotek, i zacząć się przyzwyczajać do nowego życia.

- Milord rozumie chyba, że o posagu nie ma mowy - mówił tymczasem Maks do Harry'ego. - Tłumaczyłem naszą sytuację na samym początku, prawda?

- Bardzo dokładnie - odparł Harry. - Posag nie ma znaczenia.

- Nie chcę jednak, żeby Rosie o tym wiedziała. To uraziłoby jej uczucia. Czy milord mógłby udać, że niewielki posag jednak otrzymał?

- Z największą przyjemnością, mój drogi przyjacielu. Za nic nie chciałbym urazić jej uczuć.

- Pozostaje jeszcze kwestia ślubu. Ciotka jest zdecydowana urządzić wielką uroczystość, tak zresztą należy, zważywszy na pańską pozycję społeczną, niestety, nie mogę... - Urwał. - Wie pan, jak to jest?

- Doskonale. Czy pięćset funtów wystarczy?

- Milord jest bardzo hojny - powiedział Maks, uznawszy, że dwieście całkowicie wystarczy na pokrycie kosztów cichego ślubu, jeśli uda się ukryć przed Rosie sumę, jaką naprawdę dostał. - Ale...

- Ale o tym również nie powinienem mówić panie Chalmers - dokończył za niego Harry. - Rozumiem. To wyglądałoby tak, jakbym ją kupował.

- Nie posunąłbym się aż do takiego sformułowania - odparł Maks, który odetchnął z ulgą.

- Mam nadzieję. Prześlę panu polecenie wypłaty na pańskie nazwisko.

Maks skłonił się przed nim.

- Dziękuję.

Ponieważ nie było nic więcej do powiedzenia, wrócili do dam, żeby dowiedzieć się, co uzgodniły, i wkrótce potem Harry skłonił się na pożegnanie. Rosamunda odprowadziła go do drzwi.

- Jeśli milordowi nie podobają się pomysły mojej ciotki, proszę koniecznie to powiedzieć.

- To nie ja mam być zadowolony, tylko pani, moja droga - odparł łagodnie. - Proszę zrobić tak, jak pani sobie życzy. Ja dostosuję się do jej planów. Po ceremonii pojedziemy do Bishop's Court. Jestem pewien, że pani się tam spodoba.

Uklonił się elegancko, włożył kapelusz i wyszedł. Do powozu wsiadał zamyślony. Miał za sobą najdziwniejszy tydzień w swoim życiu. Pozostawała mu nadzieja, że nie pożałuje tego, co zrobił.

Dotarłszy do domu posłał po swojego adwokata i załatwił przekazanie pieniędzy Maksowi, potem wysłał do „London Journal” ogłoszenie o zaręczynach. Przebrał się w strój nieco uboższy kolorystycznie i poszedł na spotkanie Klubu Dżentelmenów z Piccadilly, gdzie mógł zameldować, że zdobył nazwisko człowieka mogącego zaprowadzić go do nowej bandy fałszerzy monet. Krążąc w przebraniu po mieście, natknął się na niejakiego Michaela O'Keefe'a, który zapłacił nie jedną, lecz aż dwiema fałszywymi gwineami. Harry nie zatrzymał go, lecz wdał się z nim w rozmowę. Nie dowiedział się dużo, zamierzał jednak podtrzymać znajomość, żeby zdobyć zaufanie tego człowieka.

- Poza tym - powiedział na zakończenie meldunku - możecie mi pogratulować. Żenię się.

- A jednak! - zawołał Ash. - Nie sądziłem, że kiedykolwiek się zdecydujesz.

- Ty stary lisie! - krzyknął Jonathan. - Kim ona jest?

- Nazywa się Rosamunda Chalmers. Ostatnio straciła ojca i mieszka u swojej ciotki, pani Bullivant, na Chandos Street. Ślub bierzemy w przyszłym miesiącu w kościele Świętego Jerzego. Poprosiłem panią Bullivant, aby włączyła cały klub na listę zaproszonych gości.

- Jak ją poznałeś? - spytał James. - Nigdy o niej wcześniej nie wspomniałeś.

Znał Harry'ego od kilku lat. Harry był protegowanym jego teściowej, aktorki Sophie Charron, w czasach gdy zamierzał zrobić karierę na scenie. To było jeszcze zanim odziedziczył spadek.

Harry przesłał znaczące spojrzenie Ashowi i dopiero wtedy odpowiedział:

- Nasi ojcowie byli przyjaciółmi. Znam ją od pewnego czasu, ale dopiero niedawno odnowiłem tę znajomość.

Wszyscy złożyli mu gratulacje, klepiąc go po plecach, a potem uczcili tę okazję, każąc podać więcej wina.

Spotkanie skończyło się późno i dopiero potem Harry z Ashem poszli na kolację do gospody Pod Królewską Kotwicą przy Strandzie.

- Nie sądziłem, że się zdecydujesz - zagadnął Ash, szeroko się uśmiechając. - Co cię skłoniło?

- Podziwiam tę damę.

- Banialuki! Nie mówisz tego poważnie.

- Właśnie, że mówię. Ma bystry umysł i wspaniałe poczucie humoru. Sądzę, że znajdziemy wspólny język.

- Nie zakochałeś się?

- Nie, skądże. Ona też nie, ale za nic nie powiedziałbym, że nie jesteśmy szczerze do siebie przywiązani. Dla dobra damy, chyba rozumiesz?

- Doskonale, przyjacielu. Nigdy nikomu nie wspomnę o okolicznościach waszego spotkania, obiecuję.

- Dziękuję ci.

- Ho ho, całe towarzystwo będzie mówić tylko o tym, kiedy nowina się rozejdzie - ucieszył się Ash.

- To znaczy od jutra, kiedy wyjdzie „Journal”.

Weszli do gospody, najedli się i spędzili miły wieczór, grając w pikietę.

Harry nie był ani trochę zaskoczony, gdy następnego dnia przeszkodził mu w śniadaniu kuzyn Francis, który przyszedł, trzymając w ręku najnowsze wydanie „London Journal”. W oczy bił róż jego jedwabnego szustokoru zdobionego olbrzymimi srebrnymi guzami. Krótka kamizelka miała dla odmiany zgniłomalinowy odcień i cała była haftowana w liście i kwiaty. Do tego kuzyn włożył biało-żółte pasiaste spodnie do kolan, zamiast halsztuka zawiązał pod szyją wielką kokardę, a na szczycie wysokiej peruki umieścił jeszcze głupio wyglądający kapelusik z trzema rzędami klamerek po każdej stronie.

Harry obejrzał go i skrzywił się z niesmakiem, wiedząc, że kuzyn uważa się za człowieka obeznanego z modą.

- Dzień dobry, Frank - powiedział radośnie. - Co cię ugryzło, że o tak wczesnej porze wstałeś z łóżka? Mam nadzieję, że nie było to nic gorszego niż odejście osobistego służącego.

- Odejście Villiersa? Po co miałby odchodzić? Płacę mu dobrze i zawsze staram się, by był zadowolony, choć jego przykrego upodobania do pospolitych kolorów nie toleruję.

- Nawet widzę, dlaczego to budzi twój sprzeciw - odparł Harry, mierząc kuzyna wzrokiem. - Czy jednak wzięłeś kiedyś pod uwagę to, że on może mieć rację?

- Nie ma jej z pewnością. Pospolite kolory są nużące. Poza tym nie przyszedłem tutaj rozmawiać o swojej garderobie.

- Nie? Wobec tego zakładam, że przyszedłeś na śniadanie. Usiądź, każę podać świeżą kawę i donieść gorących bułeczek.

- Nie przyszedłem również na śniadanie. - Mimo to usiadł przy stole i poczęstował się jajkami i szynką. - Chodzi mi o to.

Plasnął dłonią w gazetę, którą położył na blacie obok talerza.

- O „Journal? - Harry odczuwał szczerą przyjemność, mogąc podworować sobie z kuzyna. - Cóż takiego znalazłeś w środku, że skłoniło cię to do wizyty o godzinie... - zerknął na emaliowany zegar na gzymsie kominka - ...dziewiątej rano. Prawie nikogo nie ma jeszcze na ulicach. To musi być coś naprawdę okropnego.

- Jest okropne. Ktoś spletał ci figla, kuzynie. Wiedziałem, że sam tego nie zauważysz, więc natychmiast do ciebie przyszedłem.

- No nie. Teraz naprawdę mnie zaniepokoiłeś. Oświeć mnie, proszę, w czym rzecz.

Francis przerwał jedzenie, wziął do ręki gazetę i odnalazł stronę z ogłoszeniami o urodzinach, zgonach, małżeństwach i zaręczynach. Złożył ją w ten sposób, żeby wyeksponować ogłoszenie Harry'ego, i postukał w nie palcem.

- W tym. Lubię żarty tak samo jak wszyscy, ale to jednak przesada. Musisz zażądać publikacji sprostowania.

- Muszę? - spytał Harry, biorąc gazetę od kuzyna. Przejrzał treść ogłoszenia i stwierdził, że niczego nie pominięto. - Dlaczego?

- Nie możesz pozostawić wszystkich w przeświadczeniu, że zamierzasz poślubić tę... tę... - Urwał, odebrał Harry'emu gazetę i zerknął na stronę. - Tę pannę Rosamundę Chalmers, ktokolwiek to jest. Dziesięć do jednego, że ona w ogóle nie istnieje.

- Straciłbyś pieniądze, kuzynie, ponieważ panna Chalmers istnieje ponad wszelką wątpliwość. To urocza dama.

Francis wytrzeszczył oczy i otworzył usta ze zdumienia.

- Nie chcesz chyba powiedzieć... nie możesz...

- Właśnie mówię. Możesz mi pogratulować.

- Co to za złośliwa, podstępna, zdradziecka decyzja.

- Niezupełnie cię rozumiem - odpowiedział spokojnie Harry, choć dobrze rozumiał.

- Co jest w niej podstępnego i złośliwego?

- Zawsze twierdziłeś, że nie ożenisz się powtórnie. Nawet na to przysięgałeś.

- Przysięg nie pamiętam. Zresztą byłoby niezmiernie głupio składać przysięgę w takiej sprawie. Jeśli zaś wyrażałem niechęć do ponownego ożenku, być może wydawało mi się po prostu, że nie zdołam znaleźć odpowiedniej panny. Okazuje się jednak, że znalazłem, a ona zgodziła się zostać moją żoną.

- Ani słowa mi nie powiedziałeś.

- Dlaczego miałbym się ciebie radzić, Frank?

- Jestem twoim dziedzicem.

- No owszem - przyznał spokojnie Harry. - I co to ma do rzeczy?

- Możesz spłodzić dzieci.

- Mam nadzieję, że tak się stanie.

- Jestem przekonany, że podjąłeś taką decyzję, żeby zrobić mi na złość.

- Dlaczego, na miły Bóg, miałbym żywić wobec ciebie złość, Frank? Dobrze wiesz, że nie leży to w moim charakterze. Poza tym nie zrobiłeś przecież niczego, żeby mi zaszkodzić, prawda? - Urwał i uśmiechnął się. - Chyba że chcesz mnie oślepić swoimi strojami.

- Cóż, mam nadzieję, że nie pożałujesz swojej decyzji. Tylko tyle mam do powiedzenia.

- Naprawdę? Spodziewałem się jednak jakichś gratulacji.

- Ach, jeśli o to chodzi, proszę bardzo. Wszystkiego najlepszego.

Powiedział to tonem głęboko urażonego człowieka, ale jednak te dwa słowa z siebie wydobył. Nie mógł inaczej, ponieważ często brakowało mu pieniędzy, a nie byłby na tyle głupi, by zarznąć kurę znoszącą złote jaja.

- Dziękuję - powiedział Harry z pełną powagą, na jaką potrafił się zdobyć.

- Chciałem jeszcze o coś poprosić, korzystając z tego, że przyszedłem, ale może moment nie jest odpowiedni...

- Taki sam dobry jak każdy inny. Długi, prawda?

Młody człowiek zerknął na niego zaskoczony, potem uśmiechnął się szeroko.

- Tak, trochę.

- Ile?

- Pięćset funtów załatwi te najpilniejsze. Reszta może poczekać.

- Wręcz przeciwnie. Nie życzę sobie mieć na karku mnóstwa wierzycieli z powodu twoich długów, a do tego niechybnie dojdzie, jeśli nie będziesz płacił, zwłaszcza teraz, gdy rozeszła się wieść o moim ponownym ożenku. Dlatego, jeśli byłbyś łaskaw, życzę sobie otrzymać listę wszystkich długów.

- Nie jestem całkiem pewien...

- Dość tego, Frank. Sumę proszę.

- Pięć tysięcy powinno załatwić problem.

- Pięć tysięcy! - Harry był przyzwyczajony do rozrzutności kuzyna, ale mimo to zaskoczyła go podana kwota. - Jak to się stało?

- Sam dokładnie nie wiem. Jakoś się uzbierało.

- No dobrze.

Harry wstał, wyszedł z pokoju i wrócił kilka minut później z przygotowanym poleceniem wypłaty pięciu tysięcy gwinei. Położył je na stole obok kuzyna.

- Mam nadzieję, że to wystarczy - powiedział, a następnie usiadł i dolał sobie kawy.

- Jestem ci do zgonnie wdzięczny, Harry.

- Tobie się wydaje, Frank, że przepuszczasz to, co któregoś dnia będzie twoje. Świetnie o tym wiem. Ostrzegam cię jednak, że gdybyś w przyszłości zgłaszał jeszcze podobne potrzeby, będę zmuszony odmówić. Wbrew twojemu przeświadczeniu nie mam sakiewki nieograniczonej wielkości. Spróbuj przynajmniej trochę mniej wydawać na hazard i zrezygnuj ze swojego krawca. On nie jest wart tych pieniędzy, które mu płacisz. Polecę ci innego, który na pewno będzie dla ciebie lepszy.

- Dziękuję, ale jestem całkiem zadowolony ze swojego krawca. Nie możesz też chyba oczekiwać od krewnego, że rzuci hazard. Sam go uprawiasz.

- Owszem, ale bez przesady i w dodatku stać mnie na to. A ciebie nie stać.

Na to Francis nie miał już odpowiedzi, ponieważ zaś otrzymał to, po co przyszedł, skłonił się i wyszedł, upewniwszy się, że polecenie wypłaty bezpiecznie tkwi w obszernej kieszeni szustokoru.

Harry przyglądał się jego odejściu z pewnym rozbawieniem, a potem poszedł do stajni, kazał osiodłać swojego ogiera, Hectora, i sam wybrał się do krawca, by omówić szczegóły stroju ślubnego.

Dowiedziawszy się o dwustu funtach, które lord Portman dał Maksowi na jej kreację ślubną, Rosamunda zadziwiła się jego szczodrością, choć ciotka Jessica nie podzieliła tej opinii.

- Tyle ma bogactw, byłoby go stać na więcej - utyskiwała. - Czy on nie wie, ile kosztuje sfinansowanie ślubu w towarzystwie?

- Nie sędzę, żeby wiedział - powiedziała spokojnie Rosamunda.

- Maks powinien więc był mu to powiedzieć.

- Zapewne również Maks tego nie wie. Mężczyźni nie mają głowy do takich spraw. A ja jestem zadowolona. Za te pieniądze bez trudu kupimy dla mnie piękną suknię z dodatkami i zamówimy ślubne śniadanie. - Uśmiechnęła się kwaśno, czego ciotka nie zrozumiała. - Nie chcę zaćmić pana młodego. I błagam cię, ciociu, nie nazywaj tego ślubem w towarzystwie.

- Jeśli myślisz, że uda ci się uciec z tym ślubem do mysiej dziury, to grubo się mylisz, moja panno. Lord Portman jest człowiekiem o wybitnej pozycji, więc o jego

ślubie ludzie będą mówić. Znajdziesz się w centrum uwagi, więc gdybyś próbowała się ukryć, wywołałoby to dodatkowe plotki. Chodźmy teraz po zakupy, kazałam postawić powóz.

Nie było rady, Rosamunda musiała towarzyszyć ciotce w wyprawie do miasta, co wydało jej się niesłychanie wyczerpujące. Najważniejsza była oczywiście sama suknia ślubna, której uszycie ciotka chciała zlecić swojej krawcowej. Po długiej dyskusji na temat koloru, który byłby odpowiedni dla kobiety w żałobie, lecz jednocześnie pozwalał oblubienicy załsnąć, czego domagała się pani Bullivant, wybór padł na popielaty jedwab obficie haftowany srebrnymi kwiatami. Suknia, poszerzana halką na rógówce, miała być w stylu francuskim, z kwadratowym dekoltem, rękawami wąskimi do łokci, obficie wykończonymi koronką, i przesywanym jedwabną nicią bawetem z białego pikowanego atlasu, który sięgałby nieco poniżej talii. Podjąwszy wszystkie strategiczne decyzje, ciotka zaczęła zamawiać również bieliznę, obuwie, kapelusze, chusty i okrycia, co pochłonęło ponad połowę pieniędzy przydzielonych przez jego lordowską mość. Gdyby przemknęło im przez myśl, jak hojny okazał się naprawdę lord Portman, byłyby wściekłe na Maksa, nie miały jednak podstaw, by wątpić w uczciwość głowy rodziny.

- Do ślubu pozostał miesiąc - przypomniła ciotka, zresztą całkiem niepotrzebnie. - Jego lordowska mość chce z tobą bywać w świecie, więc musimy zamówić również suknieienne i spacerowe.

- Te, które mam, z pewnością wystarczą. Przecież nie mogę zdjąć żałoby przed dniem ślubu.

- Stroje żałobne też mogą atrakcyjnie wyglądać, dziecko. Cała tajemnica tkwi w kroju i jakości materiału. Chodź, zobaczymy, co nam się uda znaleźć.

Rosamunda z westchnieniem ruszyła za rozgorączkowaną ciotką. Sama mimo woli poczuła, jak udziela jej się podniecenie. Przez chwilę próbowała zapomnieć o dziwnych okolicznościach swoich zaręczyn i udawać przed sobą, że jest prawdziwą panną młodą, która idzie do ołtarza, by połączyć się z ukochanym. Trochę marzeń jeszcze nikomu nie zaszkodziło. W rzeczywistości jednak wbrew przeświadczeniu ciotki Rosamunda szczerze wątpiła, czy jeszcze spotka pana młodego przed dniem ślubu, a co więcej wydawało jej się to mało prawdopodobne.

Pod tym względem omyliła się zdecydowanie, lord Portman przyszedł bowiem z wizytą następnego dnia po południu, w czasie gdy ciotka Jessica zabawiała grono swoich najlepszych przyjaciółek, które przeczytawszy ogłoszenie w gazecie, przysły dowiedzieć się, jakimi walorami jej bratanica usidliła tak wysoko postawionego człowieka. Zstały w salonie dojrzałą młodą damę w czarnej sukni z tafty wykończonej białą koronką. Jej fryzura, urozmaicona ledwie kilkoma puklami i loczkami, była bardzo skromna. Matrony z miejsca uznały, że oblubienica nie jest pięknnością, na to była bowiem za wysoka i za chuda. Poza tym bez pudru miała stanowczo zbyt rumianą twarz, podczas gdy w modzie była bladość.

Pani domu była w siódmym niebie, gdy przyszedł lord Portman, i wymogła na nim, że przedstawi mu wszystkie swoje przyjaciółki, minęło więc ponad dwadzieścia minut, zanim Harry zdołał podejść do Rosamundy.

- Widzę, że jest pani nieco przytłoczona - powiedział, wskazując tłok w salonie, gdy już powitał ją pocałunkiem w rękę.

- Moja ciotka tak lubi. Proszę nie czuć się w obowiązku zostać dłużej, niż nakazuje grzeczność.

- Nie chce mnie pani widzieć? - spytał tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć.

- Och, nie to miałam na myśli. Ja... - zająknęła się. - Naturalnie cieszę się z pańskiego widoku.

- Ja z pani widoku również, moja droga. Powinniśmy chyba wykorzystywać każdą okazję, żeby lepiej się poznać. W ten sposób unikniemy później przykrych niespodzianek.

Zastanowiło ją, co miał na myśli. Czy chodziło mu o złe przyzwyczajenia, czy raczej o wrodzone wady? Czy on też miał różne słabostki, o których się nie mówi? Z pewnością pił i grał w karty, ale który mężczyzna tego nie robił?

- Mam nadzieję, że żadnych nie będzie - powiedziała. - Jestem taka, jaką mnie pan widzi.

- W to nie wątpię. Myślałem o sobie. Na pewno chce pani dowiedzieć się o mnie więcej. Dlatego przyszedłem spytać, czy wybrałaby się pani ze mną na przejażdżkę powozem? Mój faeton czeka na zewnątrz.

- Nie wypada mi zostawić ciotki i jej przyjaciółek.

- Nie rozumiem dlaczego. - Zwrócił się do pani Bullivant. - Ufam, że szanowna pani mi wybaczy, jeśli uwiozę jej bratanicę. Chcę trochę pojeździć po wiejskich drogach i miałem nadzieję, że panna Rosamunda zechce mi towarzyszyć.

- Co do tego nie mam nic przeciwko - odpowiedziała pani Bullivant. - Tylko kto pojedzie jako przyzwoitka? Nie mogę zostawić moich gości.

- Musiałam zwolnić służącą, kiedy wyprowadzałam się z Holles Street - wtrąciła Rosamunda. - Miałam nawet zapytać, czy milord pozwoliłby mi przyjąć ją z powrotem.

- Naturalnie, moja droga, o takie sprawy nie musi pani pytać. Koniecznie proszę sprowadzić ją z powrotem. Gdzie można ją znaleźć?

- Zatrzymała się u siostry w Hampstead do czasu, aż znajdzie nową posadę.

- Niech więc pani po nią pośle. Albo jeszcze lepiej jedźmy po nią razem.

- Milordzie - sprzeciwiła się ciotka Jessica. - Czy milord powinien...

- Bez wątplenia tak - odpowiedział dość tajemniczo. - Nie mogę pozwolić, żeby moja przyszła żona pozostawała bez służącej. Mam nadzieję, pani Chalmers, że przez ten krótki czas, jaki pozostał do ślubu, będzie można zakwaterować służącą bratanicy tutaj.

- Naturalnie - powiedziała ciotka, w obecności przyjaciółek nie miała bowiem innego wyjścia.

- Cieszę się. - Zwrócił się do Rosamundy. - Chodźmy, moja miła, na pewno nie zabawimy zbyt długo. Jestem pewien, że wszystkie obecne tu damy wybaczą nam, jeśli się pożegnamy.

Skłonił się przed obecnymi matronami, ujął Rosamundę za rękę i prawie wyciągnął ją za drzwi. Ich odejście śledziło sześć par wytrzeszczonych oczu.

- Milordzie - zaprotestowała, gdy prowadził ją do powozu. - Pan zgorszył te damy.

- Och, wybaczą mi to i bez wątplenia przypiszą moje zachowanie wielkiemu uczuciu, jakim panią darzę, oraz pragnieniu, by mieć swoją wybrankę dla siebie.

- Zbyt daleko posuwa się pan w grze - powiedziała, gdy pomógł jej wspiąć się na siedzenie, zajął miejsce obok i ujął wodze.

- Nedorzecznosc. Zresztą to ja, a nie pani będę dla nich powodem zgorszenia i rozbawienia.

Milczała, nie umiała bowiem zdecydować, czy ten przystojny i bajecznie bogaty arystokrata nie stroi sobie z niej żartów. Przecież nie uda mu się przekonać towarzystwa, że się w niej zakochał. I dlaczego miałby tego chcieć? Małżeństwa z rozsądku nie stanowiły rzadkości. Tymczasem lord Portman, nie wypuszczając wodzy z rąk, przyglądał jej się w takim skupieniu, że zupełnie nie mogła zrozumieć, co go tak interesuje. Nie była piękną i dobrze o tym wiedziała.

- Jest pan pierwszym spotkanym przeze mnie dżentelmenem, który nie liczy się z opinią *haut monde* - powiedziała.

Roześmiał się.

- Stać mnie na to. Ludzie nazywają to ekscentrycznością.

- Jest pan dostatecznie ekscentryczny, by wziąć sobie żonę, która jest nikim.

- Proszę jak najszybciej pozbyć się przekonania, że jest pani nikim. Według pani Bullivant wasza rodzina ma swój początek w czasach Tudorów.

- Bez wątpienia w tej chwili ciotka mówi dokładnie to samo swoim przyjaciółkom, aby wytłumaczyć tym pańską ekscentryczność.

- I pani pozycję na rynku małżeńskim - dodał i zamilkł na chwilę, by efektownie zakreślić. - Ustalmy może, że jesteśmy dobrze dobrani, i na tym poprzestańmy. Proszę mi raczej opowiedzieć o przygotowaniach do ślubu. Czy wszystko idzie dobrze?

- Tak, i muszę za to panu podziękować.

- O tym też proszę zapomnieć. Ja już zapomniałem. Czy rozesłała pani zaproszenia?

- Jeszcze nie. Moja ciotka jest pochłonięta sporządzaniem listy gości.

- Mam kilka nazwisk, które chciałbym dodać, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Moja ciotka Portman, siostra ojca, kuzyn Francis i kilku dobrych przyjaciół.

- Naturalnie. Proszę dać ich listę ciotce. Rozumiem, że jest wśród nich również pan Ashley.

- Naturalnie, ale nie musi się pani obawiać, że nas zdradzi. On jest wzorem dyskrecji. Z punktu widzenia świata zawieramy absolutnie konwencjonalne małżeństwo.

- Czy chroni pan w ten sposób moją dumę czy własną? - spytała.

Nie pierwszy raz zaskoczyła go spostrzegawczością i bezpośredniością.

- Jedno i drugie, moja droga. A ponieważ tymczasem dojechaliśmy do Hampstead, proszę podać mi adres pani służącej.

Jane nie posiadała się ze szczęścia, gdy usłyszała, że wraca do Rosamundy i w dodatku zostanie osobistą służącą, co dla niej oznaczało duży awans. Jeszcze bardziej ucieszyło Jane, że jej pani będzie nosić tytuł lady Portman.

- Tak długo zajmowała się pani ojcem, że należy jej się teraz trochę szczęścia - powiedziała do Rosamundy, czemu Harry przyglądał się z pobłażliwym rozbawieniem. - Życzę pani tego z całego serca.

Siostry Jane akurat nie było w domu, a służąca potrzebowała czasu na spakowanie rzeczy, więc Harry obiecał przysłać powóz następnego dnia.

- Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę - powiedziała Rosamunda, gdy wracali. - Mam szczerą nadzieję, że pan tego nie pożałuje.

- Nie rozumiem, dlaczego miałbym żałować - odparł spokojnie. - Wyłożyliśmy kawę na ławę i chyba nie ma miejsca na nieporozumienia, prawda?

- Żadnego - przyznała.

Jego słowa nagle wybiły ją z euforii i boleśnie przywróciły do rzeczywistości. Przez pozostałą część podróży rozmawiali o pogodzie, zgadywali, jak będzie wyglądać królewska małżonka, która jeszcze nie przyплыnęła do Anglii, zamienili kilka zdań o „Zazdrosnej żonie”, nowej sztuce w Drury Lane, którą zapowiadano jako jedną z najlepszych znanych komedii. Krótko mówiąc, bardzo się pilnowali, by nie wspomnieć już ani słowem o ślubie.

Gdy wrócili na Chandos Street, Harry odprowadził ją do drzwi, ale odrzucił zaproszenie do środka na przekąskę.

- Przyjdę z wizytą wkrótce, jeśli można - powiedział, ujmując ją za rękę, by elegancko się skłonić. - Przywiozę listę przyjaciół. Możemy też wybrać wieczór na przedstawienie w Theatre Royal. Przedstawię panią niektórym aktorom i może uda nam się zjeść z nimi kolację. Naturalnie jeśli będzie pani miała ochotę.

- Chętnie, milordzie.

Lokaj otworzył drzwi, Rosamunda weszła do domu, a Harry zawrócił do faetonu.

Ciotka siedziała bardzo przejęta w salonie i koniecznie chciała się dowiedzieć, co zaszło.

- Nic, ciociu - odpowiedziała. - Widzieliśmy się z Janet, ma tu jutro przyjechać.

- Nie rozumiem, dlaczego wspomniałaś o niej jego lordowskiej mości. Ona nie jest wyuczona, żeby być osobistą służącą.

- Od śmierci mamy Jane zawsze mi służyła, gdy tylko jej potrzebowałam, i będzie mi bardzo przyjemnie, że mam przy sobie kogoś znajomego po przeprowadzce do Bishop's Court. Aha, lord Portman ma krewnych i znajomych, których chciałby zaprosić na ślub. Złoży nam wizytę i przyniesie wtedy ich listę. I zabierze mnie do teatru.

- Och, Rosamundo, cóż to za dżentelmen! Na pewno całe towarzystwo będzie ci zazdrościło.

Przez cztery tygodnie poprzedzające ślub Rosamunda była często widywana w towarzystwie lorda Portmana. Chociaż nie chodzili na bale i przyjęcia, wymawiając się żałobą Rosamundy, bywali na koncertach, chodzili na spacer, jeździli faetonem jego lordowskiej mości, wpadali do ogrodu Vauxhall, odwiedzali wicehrabiego Leinstera i jego uroczą żonę Louise, byli w Theatre Royal, gdzie poznali lady Sophie Charron, słynną aktorkę i teściową lorda Drymore. Publicznie Harry zawsze pokazywał się jako kosztownie ubrany fircyk, mówił o ton wyższym głosem niż w innych sytuacjach i drobił kroki, ale prywatnie stawał się zupełnie innym człowiekiem: silnym, uprzejmym i troskliwym. Rosamundę kusilo, by spytać, po co to udawanie, ale uznała, że jeszcze nie znają się dostatecznie dobrze.

Nie zdarzyło jej się usłyszeć ani jednej nieprzyjaznej plotki, co przypisywała zapobiegliwości lorda Portmana i opowiadanej przez niego historii o ojcach, którzy planowali ten związek i sprzyjali mu z całego serca. Dni mijały, a ona uświadamiała sobie, że w tym prawdziwym człowieku, który nie przyjmował póż, łatwo byłoby się zakochać. Tyle że właśnie przed tym musiała się strzec ze wszystkich sił.

Ilekroć myślała o swoim przyszłym życiu w roli lady Portman, dręczyło ją poczucie winy. Wiedziała przecież, że posługuje się jego lordowską mością, żeby uciec przed lady Bonhaven albo przed koniecznością zamieszkania z bratem i jego żoną.

Przeglądanie papierów ojca nie doprowadziło jej do niczego. Nie zbliżyła się ani o krok do rozwiązania zagadki woreczka złych monet i spółki Barnstaple Mining. Maks też niczego w tej sprawie nie robił. Niestety jej przyszły mąż wydawał się ostatnią osobą, z którą mogłaby o tym porozmawiać.

Rozdział piąty

Rankiem w dniu ślubu Rosamunda zbudziła się wcześnie i leżała w łóżku, słuchając ćwierkania ptaków za oknem i szczekania zabłąkanego psa. Zadawała sobie pytanie, co ją opętało, by zgodzić się na tę parodię małżeństwa. Sprzedała swoją niezależność. I za co? Za spłatę długu, za dostatnie życie... i szansę odnalezienia ludzi, którzy oszukali jej ojca. Nie wiedziała jednak, od czego zacząć poszukiwania.

Czy było warto? - wciąż dźwięczało w głowie Rosamundy pytanie. Lord Portman zapowiedział, że po ceremonii ślubnej każde z nich będzie żyło własnym życiem, ale nawet te ustalone wstępnie warunki mogły okazać się dla niej dokuczliwe. Miała przeczucie, że będzie doskwierała jej samotność. Dzięki Bogu, odnalazła Janet!

Jakby na zawołanie, drzwi jej pokoju otworzyły się i do środka weszła Janet z filiżanką czekolady.

- Dzień dobry, panno Rosamundo - przywitała ją radośnie i postawiła naczynie przy łóżku. - Piękny dzień na takie święto. Ani jednej chmurki na niebie.

Rozsunęła zasłony, jakby chciała dowieść prawdziwości swoich słów. Cały pokój zalało słoneczne światło.

Rosamunda usiadła i zaczęła saczyć czekoladę, przyglądając się, jak Janet przygotowuje dla niej garderobę. Potem weszła druga służąca z dzbanami gorącej wody do niasiadówki, stojącej już pośrodku pokoju.

Miała wrażenie, że cały ten zamęt jest jakby obok, jakby wciąż spała i śniła przedziwny sen. To niemożliwe, żeby miała poślubić jedną z najlepszych partii w Londynie, włożyć na ślub tę piękną suknię, zamieszkać w eleganckiej posiadłości i mieć służbę na każde wezwanie.

- Chodźmy, panno Rosie - zawołała Janet, nazywając ją zdrobnieniem, którego używała od lat. - Czas wstawać. Potrzebujemy przynajmniej trzy godziny, żeby panią przygotować.

Trzy godziny na ubieranie! Co one chcą z nią zrobić? - pomyślała. Wciąż rozespana, wstała z łóżka i pozwoliła, by Janet i inne służące wykapały ją w wodzie z wonnymi olejkami. Potem włożyły jej bieliznę, usztywniane halki i pończochy i okryły ją szlafrokiem, aby ułożyć jej włosy. Tym miał zająć się pewien francuski dżentelmen, którego ciotka zatrudniła za radą jednej ze swych przyjaciółek od serca.

Zanim przybył koafiurzysta, przyniesiono tacę ze śniadaniem, ale Rosamunda nie mogła nic przełknąć. Zaschło jej w gardle, że nawet ślinę trudno było przełknąć. Janet na próżno ją zachęcała.

- Filiżanka kawy mi wystarczy - odparła Rosamunda.

Miała nadzieję, że kawa nieco ją ożywi, żeby zaczęło do niej docierać, co dzieje się dookoła. Tymczasem ciotka przyprowadziła mistrza fryzjerskiego i rozpoczął się gorący spór o to, co zrobić z lokami panny młodej. Młody człowiek, chudy jak szkielet, chciał spiętrzyć je na stelażu z wyściółką, mocno przyprószyć pudrem i wpleść w nie kwiaty i inne ozdoby. Rosamunda nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Żadnej wyściółki - powiedziała.

- Ależ *mademoiselle*, nie mogę utworzyć dzieła bez wyszczółki - argumentował, mówiąc z charakterystycznym akcentem. - Kwiaty i lyszcze, i koralyki, i wachlarzyk, i żółty motyl nie będą się trzymać.

- Nie życzę sobie ogrodu na głowie - upierała się Rosamunda, uśmiechem kwitując jego wymowę. - Chcę mieć loki i wplecioną w nie niewielką wstążkę w kolorze sukni. Włożę duży kapelusz.

Koafiurzysta z westchnieniem się poddał i przystąpił do pracy. Gdy skończył, panna młoda musiała jednak oddać mu sprawiedliwość, bo efekt był bardzo pociągający, zwłaszcza gdy służące pomogły jej włożyć suknię ślubną, zasznurowały bawet i umieściły na głowie lekko przekrzywiony kapelusz, zawiązany pod brodą srebrną tasiemką. Przy lewym oku Rosamunda dorobiła sobie pieprzyk w kształcie serca, potem wzięła pantofelki i na przegubie dłoni zawiesiła wachlarz.

- Ale pani pięknie wygląda! - zachwyciła się Janet, przyglądając jej się z entuzjazmem.

Zeszła na dół, gdzie przygotowywano dla gości gargantuiczną ucztę. Gościom zostanie podana pieczeń wołowa, pieczona szynka i prosię w całości, by nie wspominać pasztetów i pasztecików oraz egzotycznych owoców. Ciotka nie szczędziła wydatków. Rosamunda była pewna, że nie ma już ani pensa ze szczodrego datku jego lordowskiej mości. Nawet Maks, któremu udzieliło się podniecenie, zaofiarował się, że kupi wino i koniak, najął też powóz z czwórką siwków, żeby zawiozły oblubienicę do kościoła.

- No no, wydajesz się całkiem urodziwa - powiedział, przyglądając jej się z nieukrywanym zaskoczeniem, gdy przyszedł zaprowadzić ją do powozu. - Lord Portman nie ma prawa narzekać, że nie jesteś dla niego dobraną parą.

W ustach brata, który zawsze skąpił jej pochwał, był to prawdziwy komplement.

Harry, wspaniale prezentujący się w kremowym szustokorze z atlasu, kamizelce, delikatnie haftowanej w tym samym odcieniu, oraz dopasowanych kolorystycznie spodniach do kolan i pończochach, przyglądał się niemal z otwartymi ustami pannie młodej idącej główną nawą. Była doprawdy urocza! Dlaczego nie zauważył tego wcześniej? - zastanawiał się. Dlaczego przyjął za pewnik słowa sir Maksymiliana i nie przyjrzał się jej uważnie? A miał ją przecież na wyciągnięcie ręki.

Umowa nabrała nagle nowego wymiaru. Do tej pory wydawało mu się, że wyświadcza przysługę pospolitej starej pannie, ratując ją przed życiem w samotności. W rzeczywistości jednak pozbawił uroczą młodą kobietę możliwości znalezienia sobie kochającego męża. Zastanawiał się nawet, czy nie odwołać ceremonii, póki jeszcze się nie zaczęła. Jak jednak miałyby to zrobić? Jaki powód podać, by nie upokorzyć Rosamundy, a z siebie nie uczynić kompletnego głupca?

- Mój Boże! - szepnął stojący obok niego Ash. - Całkiem przeobrażona. Zrobiłeś dobry interes, przyjacielu, jeśli jej dzieci też będą takie urodziwe.

Harry'emu nie trzeba było przypominać, czego oczekuje od Rosamundy, bo właśnie z tego powodu cała umowa wydawała mu się niemoralna, żeby nie powiedzieć nieczysta. Gdy oblubienica podchodziła do ołtarza, widział, że jest blada i zdenerwowana. Podając jej ramię, uśmiechnął się więc do niej, by trochę ją pokrzepić,

choć sam też nie czuł się swobodnie. Położyła mu dłoń na przedramieniu i razem obrócili się ku księdzu.

- Umiłowani... - zaczął duchowny.

Jeśli ktokolwiek obecny na ślubie Harry'ego lorda Portmana z panną Rosamundą Chalmers zastanawiał się wcześniej nad dziwacznością tego związku, to zmienił zdanie i tylko westchnął pobłażliwie nad tym małżeństwem, najwyraźniej zawartym z miłości. Oprócz sir Ashleya, który za nic nie zdradziłby ich sekretu, w taką prawdę powątpiewali jedynie Francis Portman i jego matka.

Rosamunda poznała kuzyna Harry'ego dopiero w dniu ślubu i nie miała okazji zamienić z nim ani słowa, póki nie spotkali się na Chandos Street już po ceremonii na uroczystym śniadaniu. Młody człowiek, który chyba dopiero niedawno osiągnął pełnoletność, zadziwił ją dziwacznym strojem i ekstrawaganckimi manierami. Przedtem zdawało jej się, że Harry wybiera jaskrawe kolory, ale kuzyn dystansował go w tym o milę. Wdział szustokor z błękitnego jak niebo aksamitu, zapinany na olbrzymie srebrne guzy i zdobiony srebrnymi i złotymi haftowanymi liśćmi. Spodnie w biało-niebieskie paski ściągnął wstążkami łączącymi jaskrawy odcień niebieskiego z żółcią. Na białych pończochach miał złote zegary, a obcasy jego trzewików osiągały wręcz niezwykłą wysokość. Co do peruki, trudno było odgadnąć, dlaczego właściwie nie spadnie mu z głowy, taka była wysoka z przodu, nad uszami zaś zdobiły ją imponujące loki, po trzy z każdej strony. Rosamunda omal nie wybuchnęła śmiechem, gdy kunsztownie się przed nią uklonił.

- Moje najlepsze życzenia, milady - powiedział.

Jeszcze nikt nigdy tak się do niej nie zwrócił. To uświadomiło jej nieodwracalność sytuacji. Teraz była związana z lordem Portmanem na dobre i na złe.

- Dziękuję - odparła.

- Wiadomość o ślubie Harry'ego zaskoczyła mnie niewyobrażalnie - ciągnął, potrząsając koronkami, które obficie wypływały mu z szerokich mankietów. - On zawsze przysięgał, że nigdy już się nie ożeni. Nie mógł pogodzić się ze śmiercią Beth, milady rozumie.

- Tak, mówił mi o tym.

- Naprawdę? - zdziwił się. - On zwykle nie opowiada tego obcym.

- Nie jestem obca, panie Portman.

- Och, wcale nie chciałem tego powiedzieć, z drugiej strony nie przekona mnie milady, że znacie się z Harrym dużo dłużej niż miesiąc. Nie pojmuję, co w niego wstąpiło, że w takim pośpiechu założył sobie kajdany.

- Czy mam rozumieć, że jest pan w bliskich stosunkach ze swoim kuzynem? - spytała słodko.

- Naturalnie. Jestem jego dziedzicem, chociaż wątpię, czy pani o tym powiedziała.

- O ile pamiętam, to tak - odrzekła, nie chcąc wyjawiać, że było inaczej.

- Jego córka nie może dziedziczyć, cały majątek jest objęty majoratem - dodał i przysunął się do niej, co sprawiło, że cofnęła się o krok. - Wiedziała pani, że ma córkę?

- Naturalnie. Bardzo chętnie ją poznam.

- W Bishop's Court jej pani nie spotka. On jej tam nie wpuści. Nie może znieść jej widoku.

Szybko opanowała pokusę, by zapytać dlaczego.

- Nie wydaje mi się, żeby mężczyźni, który stracił żonę, było łatwo wychowywać małe dziecko - powiedziała najbardziej wyniosłym tonem, na jaki umiała się zdobyć. - To wcale nie znaczy, że on nie lubi córki. Moim zdaniem zachowuje się pan nielojalnie, występując z taką sugestią.

- Lepiej, żeby milady знаła prawdę. Jego córki będą bezwartościowe. Miejmy nadzieję, że nie urodzi mu pani dziewczynki, bo może się okazać, że wyrzuci was obie.

- Panie Portman, powiedział pan moim zdaniem już dość.

- Bardzo przepraszam. Uważałem, że milady powinna o tym wiedzieć.

Skłonił się i odszedł. Stała i patrzyła za nim świadoma, że całkiem wbrew woli uczyniła go swoim wrogiem. Zastanawiała się, ile prawdy było w słowach Francisca Portmana.

- O czym mówiliście? - usłyszała głos Harry'ego.

- Złożył mi życzenia - skłamała, czując, że serce nagle zabiło jej gwałtowniej.

- To wszystko? Spodziewałbym się po nim, że opowie o wszystkich krzywdach, jakie mu wyrządziłem.

- Dlaczego? Skrzywdził go pan naprawdę?

- Ani trochę, jeśli nie liczyć tego, że się z panią ożeniłem. On zawsze widział się w skórze właściciela Bishop's Court, więc przeżył wielkie rozczarowanie, że może wcale nim nie zostać. Zapomnijmy jednak o tym pyszałku i zanim odjedziemy do domu, porozmawiajmy trochę z gośćmi.

Położył sobie jej dłoń na ramieniu i zaczęli krążyć po pokoju, by przyjąć od wszystkich życzenia i gratulacje. Potem pożegnali się i poszli do karety Harry'ego, przybranej kolorowymi wstążkami. Patrząc na gości machających im od drzwi chustkami, wyruszyli we dwoje ku nowemu życiu. Wcześniej osobnym powozem, który wiózł również bagaże, pojechali do Bishop's Court osobisty służący Harry'ego oraz Janet, aby wszystko przygotować na przybycie młodej pary.

Kareta była luksusowa, czwórką koni powoził stangret mający do pomocy pocztyliona i dwóch służących jadących po bokach. Rosamunda rozsiadła się wygodnie na miękkim siedzeniu obitym niebieskim aksamitem i zamknęła oczy. Czuła się wyczerpana.

- Miała pani trudny dzień - powiedział Harry. - Ale już po wszystkim.

- Tak.

W rzeczywistości najbardziej wyczerpująca była dla niej konieczność udawania, że jest to małżeństwo z miłości. Wkrótce jednak wszystko miało iść zgodnie z ustalonym pianem. Niecierpliwie czekała, by ukryć się przed wścibskimi oczami w Bishop's Court.

- Nie będę więc pani zadreślał konwersacją - zakończył.

Przejazd do Isleworth zajął półtorej godziny. Dotarli tam bez kłopotów i prawie w milczeniu. Po drodze oboje dumali o przyszłości. Rosamunda nie mogła do końca uwierzyć, że przystojny mężczyzna, siedzący obok niej, to jej mąż ani że Bishop's Court to jej dom, przynajmniej tak długo, jak będzie żoną Harry'ego. Niepokoiła ją jednak szybko zbliżająca się noc poślubna.

Urodzenie jego lordowskiej mości dziedzica stanowiło ważną część ich umowy, a lord Portman bez wątpienia pragnął, by stało się to jak najszybciej. Myśl o tym wywoływała u Rosamundy drzenie niepokoju. Owszem, chciała mieć dzieci, najlepiej więcej niż jedno. Dzieci zapewniłyby jej towarzystwo, może nawet dałyby miłość, której

nie otrzyma od męża. Ale ich poczęcie! Naturalnie wiedziała, co zachodzi między mężczyzną i kobietą w sypialni, czytała o tym i słyszała rozmowy służby. Nie miała jednak pojęcia, jakież czekają ją doznania. Poza tym traktowała to jak zwykły obowiązek niemający nic wspólnego z miłością. Na samą myśl o tym robiło jej się gorąco, a policzki zaczynały ją palić. W co ona się wplątała, na miłość boską?! - powtarzała w myślach zdenerwowana.

Również Harry zastanawiał się nad tym, co zrobił. Dlaczego posłuchał Asha? I Maksa Chalmersa? Przecież tego Maksa nawet nie lubił. Brat Rosamundy pojawił się na ślubie w bielutkim szustokorze haftowanym srebrem i białej peruce. Wszystko to musiało kosztować w sumie około pięćdziesięciu gwinei. Wydatek wydawał się znaczny jak na kogoś, kto chce uchodzić za ubogiego, pomyślał. Chalmers sprzedał swoją siostrę, a on jak głupiec ją kupił! Nigdy w życiu nie miał większych wyrzutów sumienia. Niczego już jednak nie mógł zmienić. Wypadało mu więc zadbać chociaż o to, by Rosamunda miała jak najwygodniejsze życie, a on mógł zajmować się swoimi sprawami.

Skierowanie myśli ku fałszerzom monet pomogło mu na chwilę zapomnieć o wyrzutach sumienia. Mniejsze gwinee pojawiały się dosłownie wszędzie. Jeśli pochodziły z jednego źródła, to produkcja musiała osiągnąć dużą skalę.

Poprzedniego dnia Harry odebrał kilka takich monet od kupca winnego, który niestety nie znał swojego klienta. Harry wypłacił mu zadośćuczynienie, a złe monety porównał w domu z pozostałymi. Wszystkie wyglądały jednakowo. Postanowił, że gdy tylko jego oblubienica zamieszka w nowym domu, wróci do Londynu i wytropi tych łotrów.

Zerknął na Rosamundę kątem oka. Siedziała wyprostowana, patrzyła prosto przed siebie. Wyglądała ujmująco, choć wydawała się smutna. Smutna w dniu ślubu! To powinien być najszczęśliwszy dzień w życiu. Oparł się jednak pragnieniu, by wziąć ją za rękę i spróbować pocieszyć. Lepiej było zachować dystans.

- Bishop's Green - ogłosił, gdy kareta skręciła z traktu na wąską drogę. - Jesteśmy prawie na miejscu. Do Bishop's Court pozostało ćwierć mili.

- Od którego biskupa nosi nazwę ta posiadłość?

- Nie od biskupa, tylko od człowieka, który nazywał się Robert Bishop. Zbudował ten dom sto lat temu, po upadku republiki i restauracji Karola II. Przyznano mu ziemię i nagrodę pieniężną w zamian za służbę rojalistom. Dookoła powstała potem wieś Bishop's Green.

Wieś okazała się skupiskiem niedużych chat z kościołem, plebanią oraz kilkoma warsztatami i karczmą, których powodzenie zależało od ogólnej sytuacji w majątku. Wszystkie budynki wydawały się solidne i dobrze utrzymane.

Kareta przejechała przez kilka otwartych bram i znalazła się na żwirowym podejździe obsadzonym drzewami. Wreszcie oczom podróżnych ukazał się również dom. Miał trzy piętra i stał na kamiennej podmurówce, więc do frontowych drzwi prowadził rząd niskich schodów. Bezpośrednio przed nimi podjazd półkolistie zakręcał, a we wnętrzu łuku wznosił się posąg mężczyzny na wielkim, muskularnym koniu, z dwoma psami gończymi biegnącymi obok.

- Mój pradziadek - wyjaśnił Harry, zauważywszy zaintrygowane spojrzenie Rosamundy. - Był wielkim myśliwym.

Kareta stanęła i służący zeskoczyli na ziemię. Jeden otworzył drzwi i rozłożył schodki, żeby Rosamunda mogła wysiąść. Stanęła na żwirze i wlepiła wzrok w olbrzymi dwór z rzędami głęboko osadzonych okien po obu stronach dwukondygnacyjnego portyku. Rozmiar budowli ją przytłoczył, a myśl, że ma tu być panią, po prostu ją przeraziła. Wydawało się to niedorzeczne. Dom i jego właściciel byli wyraźnie z wyższej sfery. Musiała ulec szaleństwu, skoro przyjęła te kuriozalne oświadczenia.

Poczuła lekki dotyk w okolicy łokcia. Drgnęła, mimo że był bardzo delikatny, i natychmiast zdrętwiała.

- Chodźmy, milady - zachęcił Harry, puszczając jej przedramię, jakby go oparzyła. - Służba czeka, aby panią przyjąć.

Idąc przodem, wprowadził ją do chłodnej sieni, gdzie w ordynku stała służba. Czołowe miejsca w dwuszeregu zajmowali kamerdyner Conrad i gospodyni, pani Rivers. Dalej mieli swoje miejsca lokaje, kucharka, służące, na końcu zaś pomywaczki i pucybut. Harry witał każdego z osobna po imieniu i przedstawiał nową pani domu. Mężczyźni kłaniali się, kobiety dygały, a choć ci niżej postawieni w hierarchii wydawali

się nieco przełknięci, to większość miło się uśmiechała. Rosamunda odpowiadała każdemu uśmiechem i zamieniała po kilka słów, choć potem za żadne skarby nie mogła sobie przypomnieć, co wtedy mówiła.

- Czy osobista służąca milady już przyjechała? - spytał Harry panią Rivers.

- Tak, milordzie. Jest na górze, rozpakowuje rzeczy i czeka na milady.

Harry zwrócił się do Rosamundy.

- Na pewno jest pani zmęczona, moja droga - powiedział. - Pani Rivers zaprowadzi panią do jej pokojów. Spotkamy się przy kolacji.

Po tych słowach służbę odesłano do normalnych obowiązków, a Rosamunda znalazła się pod opieką gospodyni. Harry odszedł w głąb korytarza. Rosamunda poczuła się osamotniona. Powtarzała sobie, że nie powinna była spodziewać się niczego więcej, przedstawienie dla gości już się skończyło, Harry zajął się swoimi sprawami, a do niej należało zadomowić się tutaj.

- Tędy, milady.

Szła za gospodynią po szerokich, zakrzywionych schodach. Z podestu odchodziły tu w obie strony korytarze. Gospodyni zignorowała je jednak i pokonała jeszcze jedno piętro. Dopiero tam skręciła do korytarza i minąwszy kilkanaście par drzwi, przystanęła przed kolejnymi.

- Buduar milady - powiedziała.

Otworzyła drzwi i stanęła z boku, by przepuścić Rosamundę.

Pokój był obszerny, wygodnie umeblowany, wyposażony w kanapy i krzesła, stoliki, szafy na książki i półki. Drzwi w ścianie mogły prowadzić do pokojów Harry'ego, pomyślała mylnie Rosamunda, bo weszła przez nie promiennie uśmiechnięta Janet.

- Panno Rosie... - Urwała nagle. - Bardzo przepraszam, milady.

- Nie przejmuj się, Janet - uspokoiła ją Rosamunda. - Obie musimy się przyzwyczaić do tego tytułu, nie sądzisz?

- Każę przysłać na górę przekąskę i przygotować gorącą kąpiel - powiedziała pani Rivers. - Gdyby milady chciała o coś zapytać...

- Nie teraz - odparła. - Owszem, mam wiele pytań, ale na rozmowę przyjdzie czas później. Może spotkamy się jutro po śniadaniu.

Jutro, pomyślała. W nowy dzień. Najpierw jednak należy przeżyć noc. Traktowała ją jak bolesny obowiązek, który musi zostać wypełniony. Nie miało sensu marzyć o leżeniu w ramionach kochającego męża, który pragnie jej taką, jaka jest, choć o takie marzenie nie było trudno. Harry Portman nadawał się do tej roli wręcz idealnie.

- Naturalnie, milady. Dzwon w sieni rozlegnie się pół godziny przed kolacją i ponownie, kiedy zostanie pięć minut. Służąca pokaże milady drogę do małej jadalni.

Dygnęła i znikła, zamknąwszy za sobą drzwi. Rosamunda usiadła na jednej z kanap.

- Janet, Janet - jęknęła. - Co ja takiego narobiłam?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Wyszła pani za mąż za najlepszą partię w całym kraju. Szkoda, że pani nie słyszy, co o nim mówi służba: „Nie ma lepszego pana, taki jest troskliwy, szczodry, uprzejmy”. Tak mówią, psze pani... eee... milady. Mniej podoba im się tylko to, że pana często nie ma w domu i że nigdy nie widuje córki... Ale mają nadzieję, że teraz to się zmieni.

Rosamunda już się nad tym zastanawiała. Wstała i podeszła do okna. Zobaczyła dziedziniec otoczony murem, za którym majaczyły dachy jakichś zabudowań gospodarczych, zapewne stajni. Dalej malowała się jeszcze zieleń parku. Drzewa w oddali oddzielały teren dworski od wsi, a znad ich szpaleru wystawała iglica kościoła.

Zwróciła się do Janet i wskazała wewnętrzne drzwi.

- Co tam jest?

- Sypialnia i garderoba milady. Rozpakowałam już kufry i wyłożyłam suknię, w którą milady może się przebrać. Czy jeszcze przed kolacją milady chce obejrzeć dom?

- Nie, tym zajmę się jutro.

Przeszła do sypialni, zastanawiając się, czy służyła ona również pierwszej lady Portman i czy jego lordowska mość odwiedzał tutaj żonę nocami. Szybko jednak odsunęła od siebie tę myśl.

Okno wychodziło na tę samą stronę co okno buduaru, ale znajdowało się już poza granicami dziedzińca, więc było widać z niego koniec podwórza przed stajniami i wozownią. Harry rozmawiał z Traversem, swoim masztalerzem, w zaaferowaniu wspomagając się gestykulacją. Uderzyło ją, jak harmonijnie jest zbudowany. Miał

szerokie barki, mocne uda, a naturalnie kręcone włosy opadały mu na ramiona. Budził w niej niepokój, którego nie potrafiła zrozumieć.

Krótkotrwała parodia zalotów nie pozwoliła Rosamundzie lepiej go poznać, odkryć jego wad i zalet, dowiedzieć się, co go złości, a co wprawia w zadowolenie. Przypomniała sobie kuzyna Francisa mówiącego, że Harry nie chce widzieć córki w swoim domu. Zdawało się, że Janet w pewnym sensie potwierdziła te słowa. Francis bez wątplenia wypowiedział je z zawiścią, czy jednak nie były prawdziwe? Odeszła od okna, bo służące przyniosły gorącą wodę i tacę z przekąską. Postawiły wszystko w milczeniu i odeszły.

Janet pomogła jej zdjąć ślubną kreację i przebrać w coś mniej ostentacyjnego - francuską suknię z szarej tafty, zdobioną białą koronką. Zanim udało się zdemontować jej fryzurę, ułożyć ją ponownie, wykorzystując naturalne pierścionki, i spiąć grzebykami, rozległ się pierwszy dzwon.

Harry kończył właśnie rozmawiać z Traversem o koniach, więc jeszcze polecił mu znaleźć odpowiednią klacz dla lady Portman i zawrócił do domu. Zbliżając się, mimo woli zerknął w górę. Zdawało mu się, że zobaczył małżonkę w oknie. Miał nadzieję, że spodobały jej się pokoje. Kiedyś używała ich jego matka. Kazał je odnowić i przygotować dla nowej pani Bishop's Court. Pokoje Beth znajdowały się głębiej w tym samym korytarzu, a on nigdy się do nich nie zbliżał, jeśli nie było absolutnej konieczności.

Wszedł na schody i przystanął przed buduaem Rosamundy. Zastanawiał się, czy nie wejść i nie spytać, jak podoba jej się miejsce, w którym będzie mieszkała. Postanowił jednak tego nie robić. Te trzy pokoje miały być azylem i nie należało jej tam niepokoić bez wyraźnego zaproszenia. Ruszył dalej, w duchu śmiejąc się z siebie. Jak w takiej sytuacji mógł wyegzekwować od niej najważniejszą część umowy?

W swoich pokojach umył się, przebrał i gdy usłyszał drugi dzwon, ruszył korytarzem do schodów. Gdy zbliżał się do pokojów pani domu, Rosamunda akurat z nich wyszła, więc elegancko się skłonił.

- Milady.

Podał jej ramię. Razem zeszli do jadalni i usiedli, każde na swoim końcu długiego, wąskiego stołu.

Posiłek był bardzo oficjalny. Usługiwało im wielu lokajów, co uniemożliwiało jakąkolwiek prywatną rozmowę. Rosamunda podejrzewała, że tak będzie już zawsze. Ucieszyła się, gdy mogła wreszcie wstać od stołu i zostawić Harry'ego przy kieliszku koniaku. Lokaj zaprowadził ją do saloniku, gdzie przygotowano na stoliku dzbanek z wodą, czajniczek, pudełko z herbatą i filiżanki. Ledwie zdążyła zaparzyć herbatę, przyłączył się do niej Harry i usiadł w swobodnej pozie na kanapie naprzeciwko.

- Nie ma sensu siedzieć osobno, prawda? - spytał.

- Ani trochę, milordzie - odpowiedziała.

- Poza tym chciałem panią zapytać, czy jest zadowolona ze swoich pokoi. Gdyby trzeba było coś zmienić, wystarczy wspomnieć o tym pani Rivers. Chciałbym, żeby było pani wygodnie.

- Pokoje są bardzo wygodne. Dziękuję, milordzie.

Nie o pokoje mu chodziło, ale postanowił nie wdawać się w szczegóły.

- Dziś jest już późno, ale jutro oprowadzę panią po domu. Może uda nam się też obejrzeć okolicę. Umie pani jeździć konno?

- Jeździłam trochę, kiedy w dzieciństwie bywałam u dziadków na wsi, ale to było już dawno. Od lat nie siedziałam w siodle.

- Travers znajdzie spokojną klacz. Ma pani kostium jeździecki?

- Tak. Ciotka koniecznie chciała mi kupić.

- To dobrze. Poza tym w wozowni stoi gig, którym może pani jeździć, kiedy nie ma mnie w domu.

- Nie umiem powozić, milordzie.

- Z przyjemnością panią nauczę. - Wstał i podał jej rękę. - Chodźmy, już naprawdę późno. Czas się położyć.

Drżała, gdy ujął ją za rękę, ale pozwoliła się podnieść. Próbowwała się uśmiechnąć, ale wypadło to blado. Harry poprowadził ją długim korytarzem do sieni i schodami na górę. Aby się uspokoić, po drodze oglądała portrety, z których część była bardzo stara, a

część wyraźnie namalowana całkiem niedawno. Nie miała odwagi zapytać, czy jeden z nich przedstawiał jego żonę.

Doszli na drugie piętro. Przed drzwiami jej sypialni Harry przystanął i obrócił się do niej.

- Rosamundo, ja...

Słowa, które chciał wypowiedzieć, zamarły mu na wargach. Rosamunda czekała z zapartym tchem. W końcu Harry uniósł rękę, wierzchem dłoni dotknął jej policzka i go pogłaskał. Poczowała gorąco, które gdy spojrzała mu w oczy, rozlało się po całym ciele. Harry przyglądał się jej, wędrując wzrokiem między oczami a wargami, jakby próbował odczytać jej myśli. Nie ważyła się nawet mrugnąć, tak bardzo była zaniepokojona.

Pochylił głowę i musnął jej wargi. Nie był to pocałunek w pełnym tego słowa znaczeniu. Wyglądało to tak, jakby Harry zanim rzuci się w fale, sprawdzał stopą na brzegu oceanu, czy woda jest dostatecznie ciepła. Czyżby czekał na zaproszenie? Objęła go za szyję i odwzajemniła pocałunek. Zdawało się, że Harry jej odpowiada, przyciąga ją do siebie, mocniej przyciska wargi, budzi u niej dreszczyk oczekiwania...

I nagle cofnął się i łagodnie ją od siebie odsunął.

- Dobranoc, milady - powiedział i odszedł wielkimi krokami do swoich pokoiów, zostawiając ją zdumioną i zmieszaną.

Wreszcie zdołała się poruszyć i weszła do sypialni, gdzie czekała na nią Janet. Służąca bez żadnych uwag pomogła jej się przebrać w ładną, batystową koszulkę nocną z delikatnym haftem, której zakup wymusiła na niej ciotka. Lord Portman bez wątplenia zapłacił za tę koszulkę, a teraz nawet nie chciał jej obejrzeć! - pomyślała Rosamunda oburzona, zapominając o wcześniejszym niepokoju.

Położyła się do łóżka i długo leżała z otwartymi oczami, wpatrzona w pięknie rzeźbiony strop, oświetlony migoczącą świecą. Próbowwała powstrzymać płacz i zrozumieć zachowanie lorda.

Czyżby zmienił zdanie w sprawie ich umowy? Było przecież za późno na słuchanie głosu rozsądku. Zdumiona, odkryła, że jest rozczarowana. Kiedy pocałował ją przed drzwiami, zapragnęła nagle czegoś więcej. Chciała, żeby wszedł z nią do sypialni i razem

skonsumowali związek. Tymczasem on odszedł. Poczuli się upokorzona, zdradzona i bardzo, bardzo samotna.

Harry był przecież wobec niej taki rycerski i troskliwy. Cierpiała na myśl, że to tylko przejaw dobrych manier, który nic nie znaczy. W końcu Harry ją kupił. Mógł z nią zrobić, co mu się żywnie podoba, więc jeśli chciał, żeby czuła się tak, jakby siedziała na szpilkach, musiała to wytrzymać.

Na szczęście niebawem powieki zrobiły się ciężkie i Rosamunda zapadła w niespokojny sen.

Harry odesłał Jacka. Siedział sam w swoim pokoju, obserwując przez okno krajobraz zalany księżycową poświatą. Zastanawiał się, co go skłoniło, by oświadczyć się pannie Chalmers. Można było naturalnie winić Asha i Maksa Chalmersa, ale tak naprawdę to on podjął decyzję. Czyżby tak bardzo chciał mieć syna, że był gotów wziąć do łóżka obcą kobietę? Tylko że panna Rosamunda nie była już obca. Przez ten krótki czas, gdy próbował zalecać się do niej zgodnie z ogólnie przyjętymi regułami, zdążył trochę ją poznać. Dzięki temu dowiedział się, że jest zbyt piękna, zbyt odważna i zbyt niezwykła, by posłużyć się nią tak, jak początkowo zamierzał.

Żegnając się z nią przed drzwiami sypialni, zamierzał tylko elegancko pocałować ją na dobranoc. Zupełnie nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji na dotyk jej warg. Gdy Rosamunda odwzajemniła pocałunek, myślał już tylko o tym, że pragnie ją wziąć na rękę i zanieść do łóżka. I może nawet by to zrobił, gdyby nagle nie ujrzał oczami wyobraźni Beth i nie przypomniał sobie, jak umarła. To samo mogło zdarzyć się jeszcze raz.

Uśmiechnął się smutno. Nie przyszłoby mu do głowy, że pomysł, by spłodzić dziecko z kimś, kto nic dla niego nie znaczy, okaże się nie do zrealizowania, bo za bardzo polubił swoją nowo poślubioną żonę.

Odszedł od okna, rozebrał się i położył do łóżka. Długo nie mógł zasnąć. Rozsądnym rozwiązaniem wydawało się anulowanie małżeństwa. Mógłby zapewnić Rosamundzie godziwe utrzymanie do końca życia, a przynajmniej do czasu znalezienia przez nią męża, który w odróżnieniu od niego pokocha ją. W ten sposób jednak głęboko uraziłby jej dumę. Wyglądałoby bowiem na to, że ją odrzucił, a przecież Rosamunda

niczym sobie na to nie zasłużyła. Na domiar złego wciąż czuł ciepło jej ust na wargach i dotyk rąk oplatających szyję.

Zasnął, ale we śnie widział agonię przeklinającej go Beth, której postać miała twarz Rosamundy. Ocknął się zlany zimnym potem. Okazało się, że już świta, więc wstał, ubrał się i wybrał konno na długą przejażdżkę. Niczego jednak nie postanowił i w końcu wrócił na śniadanie.

Rankiem Rosamunda odesłała śniadanie przyniesione do pokoju. Ubrała się i zeszła na dół. Harry siedział przy stole i miał na talerzu szynkę, jajka, stek i grzanekę. Lekko zaskoczony wstał na jej powitanie.

- Nie oczekiwałem, że milady wstanie tak wcześnie - powiedział.

- Jestem przyzwyczajona do wczesnego wstawania - odrzekła. - Poza tym mamy ładny dzień i można wiele obejrzeć.

- To prawda, proszę jednak najpierw usiąść i coś zjeść.

Zamiast zająć miejsce przy końcu stołu, obeszła blat i usiadła obok Harry'ego. Lokaj odsunął dla niej krzesło, a potem podał jej nakrycie. Pokazała, że życzy sobie jajko na miękko i kromkę chleba z masłem. Harry oddalił służącego i nalał jej kawy.

- Spokojnie pani spała?

- Tak, dziękuję - skłamała.

- To dobrze.

Zamilkł na chwilę, otworzył usta, by jeszcze coś powiedzieć, i bez słowa je zamknął. Rosamunda, ubrana w bawełnianą suknię w biało-niebieskie paseczki, z pełną spódnicą, bardzo skromnie poszerzoną w biodrach, wydawała się tak radosna, że nijak nie był w stanie wrócić do problemów poprzedniego wieczoru i podjąć kwestii anulowania małżeństwa. Nie mógł też wspomnieć o ich umowie.

- Co woli pani najpierw? - spytał. - Mam oprowadzić ją po domu czy wybierzemy się na przejażdżkę? Osiodłanie koni zajmie tylko chwilę.

- Umówiłam się na rozmowę z panią Rivers - odpowiedziała.

- Po co?

- Jak to po co? - zdziwiła się. - Jest tutaj gospodynią, więc chciałabym się od niej dowiedzieć, w jaki sposób zarządza całym domem, jakie spoczywają na niej obowiązki i

jakie ma oczekiwania wobec mnie. Jeśli mamy razem pracować... - Widząc mars na jego czole, nagle urwała. - Czy coś się stało?

- Nie musi się pani przejmować prowadzeniem domu, moja droga. Pani Rivers doskonale sobie z tym radzi.

- W to nie wątpię. Nie będę się wtrącać do jej pracy, ale ona musi wiedzieć, że to ja jestem teraz panią domu i do mnie ma przychodzić, jeśli powstanie problem lub trzeba będzie podjąć decyzję. Poza tym muszę obejrzeć rachunki.

Roześmiał się nagle.

- Maksymilian miał rację. Powiedział, że gdyby pani u niego zamieszkała, chciałaby przejąć kontrolę nad prowadzeniem domu. Teraz już rozumiem, co miał na myśli.

- Trudno sobie wyobrazić bardziej nieuporządkowany dom niż u mojego brata - odparła. - Mówimy jednak o Bishop's Court. Czy pan nie życzy sobie, żebym zajęła się prowadzeniem domu? To przecież stanowi część żoninych obowiązków, co pan wyraźnie zaznaczył, gdy zawieraliśmy umowę.

Nie spodobało mu się to przypomnienie, wstał jednak i podszedł do drzwi. Zawołał lokaja.

- Johnson, poproś panią Rivers, żeby do nas przyszła - powiedział, po czym wrócił na swoje miejsce i dolał sobie kawy.

Siedzieli w milczeniu. Rosamunda poczuła się, jakby się wdarła na cudzy teren, a teraz czekała na zasłużoną karę.

Gospodyni weszła w milczeniu i skłoniła głowę przed jego lordowską mością i jego żoną.

- Milord po mnie posłał?

- Tak, pani Rivers. Jak słyszałem, milady umówiła się z panią na rozmowę o prowadzeniu domu.

- Tak, milordzie.

- Trzeba przełożyć tę rozmowę. Milady spędzi przedpołudnie ze mną.

- Według życzenia milorda.

- Tymczasem proszę robić to, co zwykle. Lady Portman bez wątpienia spotka się z panią później i wyrazi swoje życzenia.

- Dobrze, milordzie. Skłoniła głowę i chciała odejść.

Rosamunda nie mogła na to pozwolić. W każdym kroku gospodyni było widać tłumioną irytację.

- Pani Rivers - zaczęła. Kobieta przystanęła i wykonała ku niej półobrót z pytającą miną na twarzy. - Nie chcę zmieniać niczego w zarządzaniu domem. Jestem pewna, że wszystko idzie jak w zegarku. Chciałabym jednak poznać oczekiwania wobec mnie. Nie znam się na tym, pani rozumie - dodała z życzliwym uśmiechem.

- Rozumiem, milady. - Odwzajemniła uśmiech. - Jeśli chce pani czegoś się dowiedzieć, wystarczy zapytać.

Dygnęła i odeszła, a Rosamunda zwróciła się do Harry'ego i stwierdziła, że się śmieje.

- Co milorda tak rozbawiło?

- Pani przyznała się do niewiedzy - wyjaśnił. - Proszę wybaczyć, jeśli nie uwierzę.

- Nie chciałam zaczynać od darcia kotów - odpowiedziała. - Po tym, jak pan przedstawił sprawę, gospodyni pomyślała, że chcę jej odebrać chleb.

- Będę z nią rozmawiał, jak mi się podoba.

- Może pan, naturalnie, ale nie w moim imieniu.

Znów zaskoczyła go jej obcesowość. O takiej cesze żony wcale nie marzył.

- Pani jest moją żoną - odparł ostro, zapominając, że niedawno omal nie upomniał się o anulowanie małżeństwa.

- Oczekuję od pani, że będzie podzielać moje zdanie. Nie widzę potrzeby, żeby miała pani własne opinie.

- Przykro mi, ale muszę milorda rozczarować. Nie jestem panienką ze szkolnej ławy, którą można ukształtować na cień męża. Za długo już żyję na świecie i zbyt wiele widziałam. Postaram się jednak nie stawiać milorda w trudnej sytuacji i nie wyrażać swoich opinii w obecności służby lub jego przyjaciół.

Powiedziała to najbardziej wyniosłym tonem, na jaki umiała się zdobyć.

Zamiast dalej się z nią kłócić, wybuchnął śmiechem.

- Och, nie wydaje mi się, żeby w naszym małżeństwie miała panować nuda - odparł. - Chodźmy na inspekcję. Potem zdradzi mi pani swoją opinię o nowym domu.

Dom był bardzo duży i luksusowy. Na parterze znajdowały się pomieszczenia publiczne: duża jadalnia, sala balowa, kancelaria majątku i magazyn broni, a oprócz tego - jak wszędzie - również kuchnia, mleczarnia, spiżarnia i jadalnia służby. Pierwsze piętro zajmowała biblioteka i kilka saloników. Sypialnie z garderobami i przyległymi salonami znajdowały się nad nimi, a na samej górze mieszkała służba. Tam przestrzeń podzielono na dwie części według płci mieszkańców, a do każdej prowadziły osobne schody.

Część pomieszczeń publicznych miała lekkie, jasne wyposażenie, inne jednak wydawały się ciemne i ponure.

- Tych pokoi nie używamy - powiedział o nich Harry. - Dawno już ten domu nie gościł tak wielu osób.

Rosamunda zaczęła się zastanawiać, jaka była jego pierwsza żona. Czy zapraszała dużo gości? Jak wyglądała? Według Francisa Portmana jego lordowska mość nigdy nie pogodził się ze stratą. Czyżby kochał żonę tak bardzo, że nie mógł znieść widoku dziecka, które spowodowało jej śmierć? Współczuła temu dziecku. Kusilo ją, żeby zapytać o córkę, ale nie chciała zepsuć Harry'emu dobrego nastroju, który odzyskał zaskakująco szybko.

- I co pani sądzi? - spytał, gdy wrócili na parter.

- Wspaniały i olbrzymi dom. Nie jestem pewna, czy się w nim nie pogubię.

- Wkrótce się pani przyzwyczai. Obejrzymy teraz ogród?

Podał jej ramię, więc położyła na nim dłoń.

W ogrodzie zakochała się od pierwszego wejrzenia. Był pięknie utrzymany, miał partery, tarasy, żywopłoty i kwietne rabaty. Przecinała go siatka alejek, a gdzieniegdzie rosły piękne, stare drzewa, pod którymi pasły się konie. Jedna z alejek przecinała szpaler drzew i wiodła nad jezioro żółcące się grązelami i rosnącymi nad brzegiem irysami. Gdzieniegdzie wartę nad wodą trzymały rosnące w kępach pałki. Widać było również szopę na łodzie i kołyszącą się łódkę, przywiązaną do pomostu.

- Jak tu pięknie i spokojnie - powiedziała. - Nie rozumiem, jak pan może zostawiać to miejsce dla londyńskiego dymu i brudu.

- Czasem muszę - odrzekł. - Prawdę mówiąc, właśnie jutro wybieram się do Londynu. Mam pilną sprawę do załatwienia.

- Tak szybko?

- Niestety. Na pewno jednak znajdzie sobie pani zajęcie na czas mojej nieobecności.

- Sądzę, że tak. Jeśli jednak pańska sprawa jest pilna, dlaczego po prostu nie odwlekliśmy wyjazdu z Londynu o kilka dni?

- Znudziłoby panią siedzenie w mieście, moja droga. Chciałem, żeby się pani zadowoliła tutaj.

Baba z wozu, koniom lżej, pomyślała. Postanowił spłodzić ze mną dziecko i wyjechać. Dlaczego wobec tego zostawił mnie samą wczoraj w nocy? - zastanowiła się.

- Jak długo pana nie będzie?

- Nie wiem. Gdyby chciała pani składać wizyty albo jechać po zakupy, proszę korzystać z karety, póki nie nauczę jej powozić gigiem. Travers wyznaczy chłopca stajennego, który będzie panią woził, dokąd tylko pani sobie zażyczy.

- Dziękuję.

Nadszedł czas na przekąskę, którą podano w małej jadalni. Potem Rosamunda poszła przebrać się w kostium jeździecki, a służba tymczasem osiodłała konie.

Klaczka nazywała się Honey, bo miała miodową maść. Jej charakter również pasował do imienia, była bowiem łagodna i karna. Wkrótce Harry z żoną jechali stępą przez park i Rosamunda odkryła, że pewnych umiejętności się nie zapomina. Bramą opuścili teren otaczający dom. Od żywopłotów płynęły zapachy szczwołu, kapryfolium i dzikich róż. Nad ich głowami rozpościerały się arkady z gałęzi, więc drogę przed nimi przyozdabiały cienie tworzące zawiłe wzory. Nie rozmawiali, Rosamunda nie chciała bowiem zniszczyć beztroskiego nastroju.

Gdy zakręcili, rozpoznała drogę, którą nadjechali poprzedniego dnia od strony Bishop's Green. Wkrótce ich oczom ukazały się chaty i wiejskie błonia z pasącymi się zwierzętami i studnią, przy której plotkowały kobiety. Na widok Harry'ego dygnęły, potem popatrzyły bez szczególnego zainteresowania na Rosamundę.

- Jak tam chłopcy, pani Ballard? - zagadnął jedną z nich Harry.

- Dobrze, milordzie, dziękuję - odpowiedziała z dygiem.

- A co z teściem, pani Dalton?

- Uparty jak zwykle - odrzekła bezzębna kobieta z szerokim uśmiechem.

Zamienił po dwa zdania z każdą po kolei, a potem powiedział:

- Przedstawiam paniom moją żonę, lady Portman. Bez wątpienia w odpowiednim czasie milady da się wszystkim poznać.

Kobiety znowu dygnęły, a Harry z Rosamundą pojechali dalej.

- Oj, będą miały o czym mówić - zwrócił się do żony z uśmiechem. - Wydawały się jednak zadowolone, że mogą panią poznać. Będzie mi przyjemnie, jeśli zainteresuje się pani ich losem.

- Bardzo chętnie.

Następny przystanek zrobili przy kuźni, gdzie Harry przeprowadził rozmowę o koniu wymagającym podkucia i naprawie bramy majątku. Karczmę minęli, nie zaglądając do środka, i znaleźli się po drugiej stronie błoń, gdzie wznosił się kościół.

- Zajrzymy do środka? - zaproponował.

- Naturalnie.

Przywiązali Hectora i Honey przy bramie i weszli do chłodnego wnętrza kościoła. Było skromne i dość ascetyczne. Dekoracja ograniczała się do tablic upamiętniających członków rodziny Portmanów i jednego czy dwóch wybitnych mieszkańców. Przez chwilę siedzieli zadumani w rodowej ławie, potem wrócili do koni.

Wracali inną drogą. Ścieżka wspiwała się na pagórek porośnięty wrzosami i tam Harry spytał Rosamundę, czy chciałaby pogalopować. Nie była pewna, czy potulna Honey właściwie odpowie na zachętę, ale klacz posłusznie wydłużyła kroku i wkrótce pędziła krótkim, a potem pełnym galopem. Świeżo upieczona pani Portman popuściła jej wodzy i cieszyła się chłodnym podmuchem powietrza, który czuła na policzkach. Słyszała obok tętent ogiera Harry'ego i miała poczucie, że właśnie tak powinno być: ona i kochany przez nią człowiek jadą naprzód w jednym rytmie i tempie. Omal w to nie uwierzyła. Gdy wreszcie przystanąła, lord głośno się zaśmiał.

- Pani mnie oszukała - powiedział, zatrzymując konia obok. - Podobno nie jeździła pani od lat.

- Bo nie jeździłam. Widocznie tego się nie zapomina.
- Musimy jeszcze wiele się dowiedzieć o sobie.
- Pewnie tak.
- Kiedy wrócę... - zaczął, ale urwał.

Wcale nie chciał jej lepiej poznać, nie chciał jej polubić i zacząć podziwiać. I tak już pozwolił sobie na niebezpieczną zażyłość. Dalsze zbliżenie zagroziłoby ich umowie i spokojowi jego umysłu.

- Musimy jechać do domu - zdecydował. - Zbliża się pora kolacji.

Gdy zawracali, Rosamunda zastanawiała się, co właściwie chciał powiedzieć i dlaczego się rozmyślił.

TLR

Rozdział szósty

Harry wyjechał nazajutrz rano nowym powozem w towarzystwie osobistego służącego. Nie był w dobrym nastroju. Wiedział, że przed wyjazdem powinien był skonsumować małżeństwo i jak najszybciej spłodzić dziedzica, ale nie mógł się zdecydować na kolejną próbę. Nie miał pojęcia, czy Rosamunda przeżyła z tego powodu ulgę, rozczarowanie czy wpadła w irytację. Była dostatecznie sprytna, by nie okazywać uczuć. Przy śniadaniu uśmiechnęła się do niego, powiedziała mu „dzień dobry” i usiadła obok, jakby nic się nie stało.

- Milordzie... - powiedziała, smarując masłem grzanekę. - Tak sobie myślałam...

- O czym? - spytał nieufnie.

- O pańskiej córce, milordzie. Jak ona ma na imię?

- Annabelle. Tak postanowiła moja zmarła żona. Jeśli dziewczynka, to Annabelle, a jeśli chłopiec, to Henry.

- Annabelle... - powtórzyła. - Ładne imię.

- Tak.

- Gdzie ona jest?

- U swoich przybranych rodziców. Chyba już to pani mówiłem.

- Czy mieszkają daleko? Chciałabym ją poznać.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł, Rosamundo.

- Dlaczego? Jestem jej macochą, a kiedy zawieraliśmy umowę, powiedział pan, że chce, abym była matką dla jego dzieci. Zakładałam, że chodzi o wszystkie.

- Ona jest szczęśliwa tam, gdzie jest, i niczego jej nie brakuje.

Rosamunda nie mogła zrozumieć postępowania niektórych arystokratów, którzy wysyłali małe dzieci pod opiekę przybranych rodziców i pozostawiali je tam aż do piątego, szóstego roku życia.

- Czy jednak jej przybrani rodzice naprawdę ją kochają? Z pewnością musi pan zdawać sobie sprawę z tego, że któregoś dnia ona wróci.

- Nigdy nie było o tym mowy.

- Kiedy pan ją ostatnio widział?

- Droga żono, proszę powściągnąć ciekawość, jeśli łaska. Moja córka ma zapewnione godziwe życie.

- Rozumiem, że mówi pan o pieniądzach. - Wkroczyła na bardzo grząski grunt, ale nie umiała zawrócić. - Czy ojcowska miłość i troska nic dla pana nie znaczą? A czy regularnie ją pan odwiedza? Czy zaprasza ją pan w odwiedziny?

- Nie. To tylko obudziłoby w niej niepokój.

- Milordzie, nie mogę oprzeć się przekonaniu, że nie tego chciałaby pańska zmarła żona.

- Niczego pani o niej nie wie - odparł ze złością. - I nie przywiozłem pani do Bishop's Court, żeby mnie pani pouczała.

- Nie miałam takiego zamiaru. Proszę o wybaczenie.

- Wybaczam, bo jestem przekonany, że miała pani dobre intencje. - Wstał. - Muszę jechać. Nie wiem, kiedy wrócę. Nie wątpię, że bez trudu znajdzie sobie pani zajęcie.

Sklonił się i opuścił jadalnię.

Jechał z powrotem do Londynu, a nierozwiązane i, jak się zdawało, nierozwiązywalne problemy zostały w Bishop's Court. Dociekliwe pytania Rosamundy obudziły w nim poczucie winy, które odezwało się z taką siłą jak jeszcze nigdy. Nie mógł jednak patrzeć na Annabelle, bo natychmiast przypominała mu o Betty, a przed oczami pojawiały się te przerażające, zakrwawione prześcieradła. Dlatego jedynie wysyłał pieniądze, zakładając, że dziecko chowa się dobrze. Nigdy nie zaniedbywał swoich obowiązków, dlatego tak trudno było mu znieść świadomość, że zawiódł własną córkę, i nie lubił, gdy mu o tym przypominano.

Rosamunda dojadła śniadanie, zastanawiając się nad przyczynami tak gwałtownej reakcji Harry'ego. Zamierzała tylko spytać, czy mogłaby poznać jego córkę, ale skończyło się ostrą krytyką, która wprawiała Harry'ego w złość. Może dziecko przypominało mu o zmarłej i kochanej żonie? Ale przecież w tej drugiej sytuacji chyba tym bardziej otaczałby córkę miłością, a nie odrzucał ją. Może dziecko było chore lub urodziło się kalekie?

Poszła na górę, by wdziać kostium do konnej jazdy. Zastała Janet, która energicznie sprzątała pokój i wesoło przy tym podśpiewywała. Przynajmniej ona była szczęśliwa, pomyślała Rosamunda.

- Janet - zaczęła, siadając na stołku przy sekretarzyku, który Harry kazał przewieźć dla niej do Bishop's Court. - Rozmawiasz z innymi służącymi, prawda?

- Tak, panno Ro... milady.

- Czy kiedy mówili, że jego lordowska mość nie widuje córki, wspomnieli może, gdzie mieszka?

- Chyba nie. O córce tak tylko przypadkiem wspominali, a ja nie dopytywałam. To nie moja sprawa.

- Twoja nie, ale moja raczej tak.

- Nie zapytała pani jego lordowskiej mości?

- Rozmawialiśmy o Annabelle, ale milord się spieszył i nie powiedział mi, gdzie córka mieszka... - Urwała. - Jestem niecierpliwa, nie mogę czekać na jego powrót... Czy dowiesz się, ale dyskretnie, tak żeby nikt nie odgadł, że ja ci to poleciłam? Służbie wydawałoby się dziwne, że nie wiem, gdzie szukać dziewczynki.

- Och, panno Rosie, to byłoby szpiegowanie!

- Nie chcę, żebyś szpiegowała. Możesz jakoś delikatnie zacząć rozmowę na ten temat.

- Spróbuję, ale co zamierza pani zrobić?

- Jeśli mieszka blisko, zamierzam ją odwiedzić...

- Czy nie powinna pani poczekać, aż jego lordowska mość sam ją tam zawiezie albo pośle po dziecko?

- Janet, jesteś moją przyjaciółką, nie tylko służącą. To nie znaczy jednak, że możesz mi dyktować, co mam robić. Jego lordowska mość prosił mnie, abym poznała wszystkich wieśniaków i w razie potrzeby im pomogła, więc zamierzam to zrobić, a jeśli przy okazji natknę się na jego córkę, nie będzie w tym niczego dziwnego. Zachowamy dyskrecję, tego możesz być pewna. Spróbujesz dowiedzieć się, gdzie jej szukać?

- Dobrze, ale ona może być bardzo daleko.

- Wtedy nie będę w stanie jej odwiedzić, prawda? Teraz pomóż mi się przebrać w kostium jeździecki. Wybieram się na przejażdżkę.

Pół godziny później wyjechała przez bramę, mając zamiar zgodnie z życzeniem męża nawiązać znajomość z wieśniakami.

Harry pojechał prosto do Portman House, gdzie przebrał się w znoszone ubranie, umazał sobie twarz i dłonie i pieszo poszedł do Nag's Head. Wiedział, że jeśli fałszerze, którzy na pewno byli wśród klienteli szynku, odkryją jego tożsamość, nie zawahają się go zabić. Miał jednak dobre przebranie, jeszcze lepsze umiejętności aktorskie i wiedział o fałszowaniu pieniędzy dostatecznie dużo, by w razie potrzeby przekonać tych zbirów, że jest jednym z nich. Podobało mu się takie wyzwanie, a tym razem miało dodatkowo oderwać go od myślenia o córce i Rosamundzie.

Poznał już nazwiska niektórych kompanów O'Keefe'a, gdy siedząc w kącie szynku przy kuflu piwa, podsłuchiwał rozmowy. Oprócz Irlandczyka był jeszcze kowal, niejaki Bert Ironside, Thomas Quinn, farbiarz zatrudniony kiedyś w Mennicy Królewskiej, a także Job Smithall, który rozprowadzał fałszywe monety. Ten ostatni ubierał się znacznie lepiej niż inni, zresztą musiał, jeśli chciał uchodzić za człowieka, który regularnie płaci gwineami. W rozmowach fałszerze wspominali o farmie, na której prawdopodobnie odbywał się cały proceder. Chociaż O'Keefe wydawał się przywódcą, Harry był pewien, że tą bandą kieruje ktoś inny, pomysłodawca i mózg operacji, i właśnie do niego chciał dotrzeć, zanim zajmie się resztą towarzystwa.

Thomas Quinn, Bert Ironside i Job Smithall siedzieli w szynku, ale O'Keefe'a ku rozczarowaniu Harry'ego nie było. Mimo wszystko przysiadł się do nich.

- Dzień dobry, panowie - powiedział i dał znak karczmarzowi, by podał mu piwo, a pozostałym nappełnił kufle.

Mężczyźni burknęli coś w odpowiedzi. Kiedy przyniesiono napitki, Harry wyciągnął z kieszeni fałszywego szylinga. Karczmarz zważył monetę w dłoni, przejechał palcem po nacięciach na boku i z trzaskiem położył monetę na blacie.

- Jeśli myślisz, że sroce spod ogona wypadłem, to się mylisz, przyjacielu. To nie jest dobra moneta.

- Bardzo przepraszam za pomyłkę. - Harry udał zmieszanego i zaczął szperać po kieszeniach swojej brudnej kapoty w poszukiwaniu innej monety. Znalazł sześciopensówkę, co wystarczało, by zapłacić za cztery kufle, więc dał ją karczmarzowi. Ten odszedł zadowolony.

Smithall wziął szylinga i uważnie mu się przyjrzał.

- Skąd to masz?

Harry wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Tyle tego jest ostatnio, że trudno powiedzieć.

- Zdaje się, że chciałeś tym zapłacić i dostać dobre sześć pensów reszty - zauważył Bert Ironside.

- I co z tego? Człowiek musi jakoś żyć, nie? Harry otarł rękawem pianę z ust. Smithall roześmiał się.

Nie zarobisz wiele na szylingach i sześciopensówkach.

- Lepsze to niż nic. Naturalnie gdybym dostał gwineę albo chociaż półgwineę... - Urwał i wzruszył ramionami. - Przydałoby się, nie powiem...

- Po co?

- Pytasz, po co? - Harry roześmiał się chrypliwie. - A jak myślisz? Umiałbym z nich zrobić dobry użytek.

- O! Użytek umie zrobić każdy, ale o złote krążki tutaj trudno - dorzucił Quinn.

- Wasz przyjaciel Micky O'Keefe miał ich kilka, kiedy spotkałem go tutaj któregoś dnia. Wszystkie spiłowane.

- Skąd wiesz, że spiłowane?

Harry poklepał nozdrze brudnym palcem.

- Widziałem. Sam też tak robiłem. Daleko na północy. Ale strażnicy szybko się do nas dobrali. Ledwo uszedłem z życiem.

Popatrzyli po sobie, w końcu odezwał się Job Smithall.

- A gdybyś dostał złoty krążek albo dwa i miał je rozmienić, a resztę przynieść tutaj, to co? Trzymałbyś język za zębami?

Harry wiedział, że dobrzy paserzy zawsze są w cenie.

- Co miałbym z tego?

- Udział. Musielibyśmy pogadać z Mickym. To on decyduje.

- A gdzie jest? - spytał Harry.

- Gdzieś jest, gdzie jest... - odparł podirytowany pytaniem Job. - Nie musi nam się spowiadać.

Harry rozumiał, że więcej się nie dowie, choć miał nadzieję, że uda mu się jeszcze poznać nazwę farmy.

- Ile chcecie wymienić? - spytał.

- Dobre pytanie - stwierdził kowal. - A ile chcesz?

- To znaczy, że mogę dostać dużo? - spytał Harry, udając chciwość.

- Może. Sam rozumiesz, że to zależy od zapasu dobrych monet. Bez złota nie możemy pracować. Gdybyś przyszedł z kilkoma prawdziwymi gwineami, moglibyśmy się nad tobą zastanowić.

- Czemu nie... - odparł jakby do siebie.

- Skąd je weźmiesz?

Harry wzruszył ramionami i dopił piwo. Człowiek, którym był w tej chwili, nie miał prawa posiadać uczciwie zarobionych gwinei.

- Zawsze się jakąś znajdzie...

- Gdzie i kiedy?

- Jeszcze nie wiem. Pewnie na wrzosowisku Hounslow. To niedaleko Londynu, powozów i dyliżansów do wyboru. - Zaśmiał się chrapliwie. - Weźmy tego fircyka lorda Portmana. On ciągle tamtędy jeździ i na pewno nie będzie stawiał oporu.

Roześmiali się głośno.

- Przynies nam dobre gwinee, żeby było na czym pracować - powiedział Bert Ironside. - Może wtedy damy ci kilka monet do rozprowadzenia. Tylko Micky musi się zgodzić.

Harry bez pośpiechu opuścił szynk. Ruszył w kierunku przeciwnym do Berkeley Square, wiedząc, że jeden z tamtych na pewno za nim pójdzie. Nie oglądając się za siebie, doszedł do St. Giles i tam zgubił się w labiryncie brudnych zaułków. Wrócił okrężną drogą, a wchodząc do domu, pilnował, by nikt go nie zauważył.

Osobisty służący powitał go kwaśną miną. Chciał natychmiast spalić te wstrętne szmaty, ale Harry oczywiście na to nie pozwolił.

- Jeszcze będę ich potrzebował - wyjaśnił. - Im gorzej wyglądają, tym lepiej.

- Myślałem, że jako nowożeniec milord pojedzie z nowo poślubioną żoną do Bishop's Court i skończy z włóczęgostwem - odpowiedział wzburzony Jack. - Co powiedziałyby milady, gdyby teraz milorda zobaczyła?

- Przecież nie może mnie zobaczyć, prawda? - zauważył rozsądnie. Przez ostatnie dwie godziny udało mu się ani razu nie pomyśleć o Rosamundzie, był więc zły, że Jack mu o niej przypomniał. - Ufam, że ty jej o niczym nie powiesz.

- Nie przyznałbym się, że wysłałem do miasta milorda, wyglądającego gorzej niż kominiarz - oburzył się. - A już na pewno nie przed milady!

- Nie musiałeś mnie wysyłać, sam wyszedłem. - Nie miał pojęcia, dlaczego służący zawsze chętnie mówią o „wysyłaniu” swojego pana dokądś ani skąd u nich uraza, jeśli pan zrobi coś nie po ich myśli. - Zaraz zresztą wychodzę znowu, więc muszę się wykapać i przebrać.

Jack wyszedł nadąsany, musiał bowiem polecić przygotowanie wanny i gorącej wody. Harry podejrzewał, że służącego najbardziej irytuje nie to, że jego pan włóczy się po Londynie w łachmanach, tylko to, że trzyma w sekrecie cel tej maskarady.

Godzinę później, przebrany w szaro-białe okrycie, z włosami schludnie związanymi w harcap, Harry przybył do siedziby Klubu Dżentelmenów z Piccadilly, by zameldować o swoich postępach.

- Harry, nie oczekiwaliśmy cię dzisiaj - przywitał go James. - Chyba nie znużyłeś się tak szybko młodą małżonką?

- Ani trochę, ale mam niedokończoną sprawę w Londynie, a milady jest zajęta poznawaniem służby i oglądaniem okolicy. - Zauważył, że Ash, patrząc na niego, szeroko się uśmiechnął, a potem szybko odwrócił głowę. Ashowi ta sytuacja mogła wydawać się zabawna, ale dla niego wcale taka nie była. - Muszę kuć żelazo, póki gorące. Fałszywe monety o różnych nominałach pojawiają się w całym Londynie, w ogrodach: Vauxhall i Ranelagh, u krawców i winiarzy, w kawiarniach i domach gry. Nie ma sensu aresztować tych, którzy je rozprowadzają, trzeba znaleźć inicjatorów tego

falszerskiego procederu. Jeśli ich nie złapiemy i im nie przeszkodzimy, mogą zaszkodzić gospodarce w całym kraju.

- Co do tej pory ustaliłeś? - spytał James.

- Odkryłem bandę fałszerzy. Nie sądzę, żeby była jedyna, ale mam podstawy przypuszczać, że należy do najbardziej aktywnych. - Opisał wszystkich znanych mu członków i ujawnił zdobyte informacje. - Muszę teraz dowieść im swojej przydatności, przynosząc prawdziwe gwinee do spiłowania. Jeśli przejdę tę próbę, przyjmą mnie.

- Dlaczego nie naślesz na nich straży?

- Bo chcę ująć ich przywódcę, a jeszcze nie wiem, kto nim jest. Poza tym potrzebuję niezbitych dowodów, a do tego muszę zdobyć ich zaufanie.

- Rozumiem, że stać cię na zainwestowanie kilku gwinei - powiedział Jonathan.

- Naturalnie, ale problem jest inny. Oni chcą wiedzieć, skąd taki oberwaniec jak ja będzie miał te pieniądze. Powiedziałem im, że obrabuję powóz.

- Obrabujesz powóz?! - krzyknął James. - Na to nie dam pozwolenia, choćby cel był najbardziej szlachetny.

Harry uśmiechnął się szeroko.

- Nawet jeśli powóz będzie mój?

- Wyjaśnij, proszę.

- Oni nie znają mojej tożsamości, więc chcę, żeby ktoś z was, najlepiej ty, Ash, bo jesteś podobnej budowy ciała, przebrał się w moje łachmany, zatrzymał mój powóz i zabrał mi sakiewkę pełną gwinei.

- Nie możesz im po prostu powiedzieć, że obrabowałeś powóz? - spytał Ash.

- Mógłbym, ale potrzebuję notatek w gazetach i plotek, żeby przekonać członków bandy o swojej prawdomówności. Po napadzie spotkamy się ze zbójcą i zamienimy na stroje, wtedy też odbiorę od niego sakiewkę z pieniędzmi.

- Chętnie pomogę - zaoferował się Ash z zapalem. - Kiedy i gdzie?

- Gdy będę jutro wracał do Bishop's Court. Wybiorę drogę przez wrzosowisko Hounslow. Jeśli masz czas, żeby odwiedzić mnie teraz w Portman House, dam ci mój strój. - Nagle się roześmiał. - Nie spodoba ci się to, Ash. Te szmaty śmierdzą. Obiecuję ci jednak później kąpiel i smaczny posiłek w Bishop's Court.

- Czy również odnowienie znajomości z lady Portman?

- Naturalnie, przecież ona tam będzie.

Po spotkaniu klubu Harry z Ashem poszli razem na Berkeley Square.

- Jak twoje życie małżeńskie? - spytał Ash.

- Jeśli pytasz o to, o co cię podejrzewam - powiedział bardzo chłodno Harry - to wcale go nie ma. Nie mogę.

Ash przystanął w pół kroku i zaskoczony zwrócił się do przyjaciela.

- Dlaczego nie?

- Nie wiem. Chciałbym ją znieubić i wolałbym, żeby nie była taka atrakcyjna. I taka niewinna. Ona na pewno nie ma pojęcia...

- Wielki Boże! Przecież na pewno nie to cię powstrzymuje, prawda? - Ash ruszył dalej. - Weź ją, to będzie miała pojęcie.

- Dla mnie byłoby to jak gwałt.

- Człowiek nie może zgwałcić własnej żony, Harry.

- Nie mam poczucia, że to moja żona. To jest obca kobieta.

- Zdawało mi się, że twój pomysł polega właśnie na tym, by zapłodnić obcą kobietę.

- Nic z tego nie będzie, Ash. Żałuję, że nie posłuchałem ciebie i tego nicponia, jej brata.

- Przykro mi. Chciałem ci tylko pomóc rozwiązać twój dylemat. Prawdę mówiąc zresztą, zaczęło się od żartu, wcale nie sądziłem, że to zrobisz. Musiałeś dostrzec jakieś zalety tego pomysłu.

- Jest duża różnica między pomysłem a jego wykonaniem - powiedział Harry. - Nie wiem, co mnie naszło w ogrodzie Ranelagh. Musiałem kompletnie oszaleć.

- Pogodny wieczór, muzyka, sztuczne ognie... Musiały wzbudzić w tobie bardzo sentymentalny nastrój - mruknął Ash.

- Domyśliła się, co knuje Maksymilian, więc jej pożałowałem. A kiedy już się oświadczyłem... - Wzruszył ramionami. - Nie mogłem się wycofać, prawda?

- Co wobec tego zamierzasz?

- Nie wiem. Mogę wystąpić o anulowanie małżeństwa.

- Musiałbyś wtedy zarzucić jej odmowę skonsumowania, co stanowiłoby poważny cios dla twojej godności, albo zrobić z siebie głupca, twierdząc, że nie jesteś w stanie...

- Wiem. I jedno, i drugie jest nie do przyjęcia.

- Musisz więc rozwiązać problem najlepiej, jak można. Postaraj się, żeby została twoją żoną naprawdę.

- Ciągłe zadaję sobie pytanie, czy tego chcę. Ona jest strasznie pyskata, iskry będą leciały. Nie jestem przyzwyczajony do tego, że ktoś wypytuje mnie o to, co robię.

- Chyba nie o Klub Dżentelmenów?

- Nie, ona o klubie nic nie wie. Zanim zdążyłem wyjechać, zapytała mnie jednak, kiedy ostatnio widziałem córkę.

- A kiedy?

- W dniu jej urodzenia.

- Powiedziałeś jej to, Harry?

- Nie.

- Opowiedziałeś jej o swojej pierwszej żonie?

- Tylko tyle, że owdowiałem przed sześcioma laty. Zanim cokolwiek mi poradzisz, dodam jeszcze, że nie zamierzam jej powiedzieć, co naprawdę wtedy się stało.

Dotarli na Berkeley Square i razem weszli do domu. Nie rozmawiali już o Rosamundzie.

- Zjesz ze mną kolację? - spytał Harry, gdy usiedli w salonie przy kieliszku koniaku. - Możemy przy okazji omówić plan napadu.

Posiłek był skromny, składał się zaledwie z pięciu dań. Choć przyrządzono je w wyśmienicie, żaden z dżentelmenów nie zwrócił na to uwagi, tak bardzo pochłonęła ich rozmowa o mistyfikacji.

- Tylko, na miłość boską, nie pomył mojego powozu z innym - powiedział Harry. - Najlepiej, żeby w pobliżu nikogo więcej nie było. Nie chciałbym, żeby jakiś rycerski arystokrata, mający więcej odwagi niż rozumu, próbował mi przyjść z pomocą. Ktoś mógłby zostać ranny.

- Trakt jest ruchliwy, wybranie odpowiedniego momentu może być trudne.

- Wystarczy, że nikt nie będzie mógł przeszkodzić. Świadek obserwujący z daleka może nawet pomóc. Na zatrzymanie mnie, zabranie sakiewki i odjazd galopem potrzebujesz nie więcej niż minutę.

- Mam nadzieję, że nie chcesz zostać zraniony.

- Nie ma potrzeby - odparł ze śmiechem Harry. - Lord Portman jest znany z wymyślnych strojów i manier fircyka, a nie z odwagi. Napad mnie przerazi, więc nie będę stawiał oporu. Potem narobię wielkiego hałasu, że zrabowano mi pieniądze.

- A jeśli woźnica postanowi zostać bohaterem?

- Niemożliwe. Dostał ścisłą instrukcję, by w razie napadu zachowywać się biernie i nie ryzykować życia dla kilku gwinei, które zwykle mam przy sobie. Po napadzie pojedziesz do Bishop's Court. Tylko pamiętaj! Nie możesz pokazać się we dworze przebrany, więc ukryjesz się w szopie nad jeziorem. Tam się przebierzesz i zmyjesz z twarzy charakterystykę. Sakwojaż z ubraniem, będę miał na siedzeniu w powozie i zabierzesz go razem z sakiewką. Po opuszczeniu szopy wrócisz na drogę i wjedziesz do majątku jeszcze raz, tak jakbyś normalnie składał wizytę.

- Rozumiem. Opowiedz mi coś o człowieku, w którego mam się wcielić.

- Gus Housman jest wyjątkowo paskudnym osobnikiem, gotowym posunąć się do każdej podłości, może z wyjątkiem zbrodni. Jest brudny, nieuczesany, nieogolony. Ktoś taki nie może zgodnie z prawem zarobić nawet gwinei. Po kolacji dam ci jego strój i pokażę, jak umazać sobie twarz i dłonie. Swoje ubranie możesz mi przynieść jutro rano, zanim wyjadę.

- Nic dziwnego, że byłeś w młodych latach obiecującym aktorem, skoro potrafisz przekonać takich drabów, że jesteś jednym z nich. Czy każesz mnie szukać i aresztować?

- Muszę. Wyglądałoby podejrzanie, gdybym tego nie zrobił, ale ponieważ zbój, który dopuścił się napadu, nie istnieje, nie sposób go ująć, prawda?

- Właśnie przyszło mi coś do głowy - powiedział Ash, upijając trochę wina. - Czy Klub Dżentelmenów nie powinien zbadać tego napadu, zważywszy na to, że ucierpi w nim jeden z jego członków?

- To nie problem. Możesz podjąć się tego zadania. Szkoda, że ci się nie uda odkryć sprawcy, ale przecież nie możesz rozwiązywać każdej sprawy.

Obaj roześmiali się i otworzyli następną butelkę wina.

Travers przydzielił Rosamundzie do powożenia przyszczatego młodzieńca imieniem Ben. Ucieszyła się, że masztalerz nie chce podjąć się tego zadania osobiście, bo z pewnością zainteresowałoby go, po co pani wybiera się gigiem na farmę Feltham. A gdyby nawet nie spytał jej wprost, z pewnością zawiadomiłby o tym Harry'ego.

Janet w końcu nie musiała wypytywać o Annabelle, sprawa bowiem wyjaśniła się sama, gdy do Rosamundy przyszła pani Rivers.

- Nie będę mogła dziś po południu przejrzeć z milady bielizny pościelowej - powiedziała. - W pierwszy dzień każdego miesiąca odwiedzam przybranych rodziców córki jego lordowskiej mości, żeby zawieźć pieniądze i drobne podarunki dla dziecka, a dzisiaj mamy pierwszego lipca.

- Czyli córka milorda mieszka niedaleko stąd?

- Na farmie Feltham, po drugiej stronie wrzosowiska, bliżej Hounslow niż naszego domu. Zwykle wozi mnie tam gigiem jeden ze stajennych.

- Mogłabym tam pojechać - zaproponowała Rosamunda. - Nie mam co robić dziś po południu, a na panią na pewno czekają inne obowiązki.

- Sama nie wiem - powiedziała gospodyni z powątpiewaniem. - Zawsze należało to do mnie.

- Wtedy w Bishop's Court nie było pani domu. Teraz jestem i chciałabym poznać dziewczynkę. Przecież jestem jej macochą.

- Co powie na to pan? - Gospodyni wciąż była pełna wątpliwości.

- Pana proszę zostawić mnie. Uważam, że to i owo należy tutaj zmienić. Nie zgadza się pani ze mną?

Pani Rivers uśmiechnęła się.

- Zgadzam się, milady.

W ten sposób niespodziewanie Rosamunda znalazła się na drodze przez wrzosowisko, zmierzając ku farmie Feltham, choć nie miała zielonego pojęcia, co zrobi i powie, kiedy tam przyjedzie. Nie chcąc wywołać nadmiernego zdziwienia dziecka, włożyła prostą, kraciastą suknię z bawełny z otwartą spódnicą, pod którą była widoczna zwykła usztywniana halka. Głowę nakryła dużym kapeluszem, który rondem osłaniał jej

twarz przed słońcem. Miała przy sobie kaletkę z pięcioma gwineami, a obok niej na siedzeniu leżała mała patyka, która tańczyła, jeśli pociągnąć za sznureczek. Przybrani rodzice dziewczynki, Chappellowie, prowadzili tę farmę razem z bratem pana Chappella, tak w każdym razie powiedziała pani Rivers.

Blisko celu krajobraz zaczął się zmieniać. Pojawiły się pastwiska, rozgrodzone żywopłotami i drzewami, a na polach wysoko rosła prawie dojrzała pszenica. Wkrótce Ben skręcił i gig potoczył się wiejską drogą z koleinami. Przejechali jeszcze jakieś dwie mile i dopiero wtedy ich oczom ukazały się zabudowania, wcześniej ukryte za drzewami. Farma zajmowała nieckę i była tak dobrze schowana, że ktoś, kto by o niej nie wiedział, z trudem odgadłby jej istnienie. Ben wjechał na podwórze i zatrzymał gig. Wielki pies, szarpiący się na łańcuchu, ujadł jak szalony. Rosamunda pozostała w pojeździe, nie była bowiem pewna, czy bestia się nie zerwie.

Po chwili z domu wyszła kobieta, wycierająca ręce o brudny fartuch. Za nią wybiegła gromadka dzieci, chłopców i dziewczynek. Rosamunda doliczyła się szóstki. Wodziła wzrokiem po dzieciach, usiłując wyszukać wśród nich Annabelle. Niektóre były za duże, inne za małe. Dziewczynka, która mogła mieć sześć lat, w niczym nie przypominała Harry'ego. Wszystkie dzieci wydawały się jednak dobrze karmione, choć były brudne i biednie ubrane.

Kobieta poznała gig.

- Gdzie jest pani Rivers? - spytała, podchodząc. - Chyba nie odeszła?

- Pani Rivers nadal jest gospodynią w Bishop's Court - powiedziała Rosamunda. - Przyjechałam zamiast niej. Jestem lady Portman.

- Lady Portman! - wykrzyknęła zaskoczona kobieta. - Chce pani powiedzieć, że lord Portman znowu się ożenił?

- Tak.

- Nie mogę uwierzyć.

- Och, proszę uwierzyć. - Zwróciła się do młodego człowieka, który ją przywiózł. - Ben, powiedz pani Chappell, kim jestem. - Znow zwróciła się do kobiety. - Bo mam przed sobą panią Chappell, prawda?

- Naturalnie.

- Tak, tak, to milady - potwierdził Ben. - Nowa żona lorda Portmana. I lepiej niech jej pani słucha.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Niech będzie. Pani na pewno chce wejść. - Odsunęła się na bok, żeby Rosamunda mogła wysiąść z gigu, pies jednak ciągle ujadał. - Zamknij się! - krzyknęła i wymierzyła mu kopniaka.

Pies przewrócił się i zaskowyczał, a kobieta pierwsza poszła do domu. Za Rosamundą w pewnym oddaleniu dreptały dzieci, jedne milczące, inne rozszczebiotane.

- Proszę usiąść. Zrobię pani herbaty.

Rosamunda rozejrzała się dookoła. Stała w obszernej kuchni z kamienną posadzką, której ścierka z pewnością nie tknęła od lat. Resztkami posiłku na stole zajmował się w tej chwili czarny kocur. Gdy pani Chappell strąciła go na ziemię, żałośnie miauknął i uciekł.

- Dziękuję za herbatę, nie chce mi się pić, pani Chappell - odpowiedziała, ostrożnie siadając na krawędzi krzesła. - Która to Annabelle?

- Och, żadna z tych. Te są moje.

- Gdzie więc jest Annabelle? Chciałabym ją zobaczyć. Po krótkiej chwili spędzonej w tym chlewie była zdecydowana zabrać stąd małą jak najszybciej.

- W łóżku. Źle się czuje.

- Co się stało?

- Boli ją brzuch. Najadła się kwaśnych rajskich jabłek z drzewa przy drodze, chociaż często jej powtarzam, żeby tego nie robiła. Dałam jej lek, niedługo dojdzie do siebie.

- Czy zawiadomiła pani lorda Portmana?

- Nie. Jego to nie interesuje. Nigdy tu nie był, ani razu. Czekałam na panią Rivers, żeby przywiozła pieniądze na utrzymanie małej, mogłabym wtedy kupić więcej lekarstwa. Ta butelka, którą mam, już się skończyła.

- Proszę mnie do niej zaprowadzić.

- Lepiej, żeby milady tam na górę nie chodziła. Leci z niej wszystkimi otworami i... - Urwała, zostawiając resztę wyobraźni Rosamundy.

- Mimo wszystko chcę ją zobaczyć.

Jeden ze starszych chłopców zachichotał, ale przestał, gdy matka skarciła go uniesieniem ręki.

- Dobrze, milady. Ale proszę pamiętać, że ją ostrzegałam.

Rosamunda weszła za nią po krętych schodach na piętro. Na podeście znajdowały się drzwi do czterech pokoi. Pani Chappell otworzyła jedno z nich i Rosamunda omal się nie przewróciła, w nozdrza uderzył ją bowiem niewyobrażalny smród. W pokoju stały trzy łóżka, wielkie małżeńskie, drugie nieco mniejsze i trzecie malutkie na kółkach. Właśnie na nim leżała dziewczynka przykryta brudnym, cuchnącym kocem.

- Annie, masz gościa - oznajmiła pani Chappell.

Dziewczynka prawie się nie poruszyła. Twarz miała bladą jak kreda, mokre włosy kleiły jej się do czoła. Była ubrana w coś, co wyglądało jak stara koszula jednego z chłopców.

- Biedaczko - powiedziała Rosamunda, przyklękając przy łóżku, by odgarnąć małej włosy z czoła. - Pani Chappell, ona ma gorączkę. Czy posłała pani po doktora?

- Nie. Ona sama wyzdrowieje. Już jest lepiej, niż było. Wypije jeszcze trochę lekarstwa i będzie jak nowa.

- Potrzebuje doktora. Zabiorę ją do domu, tam będzie miała lepszą opiekę.

Wstała i wzięła dziecko na ręce. Było nawet zbyt słabe, by płakać.

- Milady nie może tego zrobić. To jest jej dom...

- Już nie, pani Chappell.

Wbrew protestom kobiety zniosła dziewczynkę na dół. Pani Chappell nie przestawała pomstować, że traci źródło utrzymania. Reszta dzieci stała w kuchni i przyglądała się tej scenie z ustami otwartymi ze zdumienia. Rosamunda wyminęła je i wyszła na podwórze. Zignorowawszy szarpiącego się psa, wsiadła do gigu, wciąż trzymając dziecko na rękach. Jak na sześciolatkę dziewczynka była zdumiewająco lekka.

Ben pociągnął nosem.

- Milady, ona cuchnie jak prosię.

- Nic na to nie poradzimy, Ben. Musimy ją stąd zabrać. Pani Chappell wybiegła za nimi.

- Ej, co z moimi pieniędzmi? Należy mi się pięć gwinei.

Rosamunda cisnęła jej kaletkę i kazała jechać. Ben zawrócił i opuścili to straszne miejsce. Na szczęście nikt nie próbował ich gonić.

Gdy znaleźli się na drodze przez wrzosowisko, Rosamunda zaczęła przemawiać do dziewczynki, pocieszać ją, opowiadać, że wkrótce dojedzie do nowego, czystego domu, gdzie będzie miała wannę i nowe ubrania, i miękkie łóżko. I przyjdzie do niej doktor, żeby wyzdrowiała...

W środku jednak wszystko się w Rosamundzie gotowało. Czyżby nikt nigdy nie sprawdzał, jak się miewa to nieszczęsne dziecko? Nikt nie kontrolował, jak są wydawane pieniądze na jego utrzymanie? Czyżby nikogo to nie obchodziło? Dlaczego pani Rivers nie zauważyła, co się dzieje, i nie doniosła o tym lordowi Portmanowi? Dlaczego lord Portman ani razu nie odwiedził córki osobiście?

Teraz wreszcie będzie musiał zauważyć istnienie dziewczynki. Nawet on nie może przymknąć oczu na taką biedę.

- Milady... - W głosie Bena słychać było popłoch. - Tam, przed nami...

Rosamunda podniosła wzrok i ujrzała powóz stojący na drodze. Jeździec mierzył z pistoletu do człowieka znajdującego się w środku. Pojazd poznała z daleka.

- Lord Portman! - krzyknęła, a wyobraźnia natychmiast podsunęła jej obraz Harry'ego konającego w kałuży krwi na podłodze powozu. - Szybko, Ben, musimy się do niego dostać. On może być ranny.

- Milady, ten człowiek ma pistolet.

- Co tam pistolet. Nie będziemy przyglądać się z boku. Zatnij konia, może przestraszymy tego zbrojaka.

Ben usłuchał polecenia i gig potoczył się, podskakując na nierównej drodze. Annabelle jęknęła, więc Rosamunda skupiła całą uwagę na chronieniu małej przed wstrząsami. Zbój, wciąż wymachując pistoletem, podniósł głowę. Zdawało się, że coś powiedział, potem chwycił z wnętrza powozu torbę i galopem odjechał.

Ben, któremu widok uciekającego zbrojaka dodał odwagi, zatrzymał gig przy powozie pana. Jednak zanim Rosamunda zdążyła odłożyć dziecko, by sprawdzić, czy mężowi nic

się nie stało, Harry już był przy niej. Naturalnie była ostatnią osobą, którą spodziewał się zobaczyć. I ostatnią, którą chciałby mieć za świadka tego napadu.

- Co pani tu robi?!

Puściła mimo uszu to pytanie.

- Nie jest pan ranny, milordzie? Co ten zbój zabrał?

- Nic takiego, tylko kilka gwinei, a ranny nie jestem. Położył rękę na burcie gigu i zauważył dziecko.

- Wielki Boże! Co pani tu ma?

- To jest, milordzie, pańska córka.

Popatrzył na nią, potem na dziecko, potem znowu na nią.

- Nedorzeczność. Ona jest brudna i śmierdzi.

- Rzeczywiście, jest brudna i śmierdzi, ale to pańska córka. Potrzebuje doktora, bo zachorowała, a ja wiozę ją do domu, bo jej przybrana matka źle się nią zajmowała. - Zsunęła nieco brudny koc, żeby Harry mógł zobaczyć twarz dziecka. Ben tymczasem patrzył prosto przed siebie i udawał, że niczego nie słyszy. - Pani Chappell ma w domu sześcioro swoich dzieci, wszystkie dobrze wykarmione za pańskie gwinee, milordzie. A ta biedaczka była tak głodna, że najadła się niedojrzałych rajskich jabłek.

To był tylko domysł, liczyła jednak na to, że uda jej się wstrząsnąć sumieniem ojca.

Lord Portman jeszcze raz spojrział na córkę. Była chorobliwie wychudzona, włosy miała rzadkie, a jej niebieskie oczy pałały gorączką. Nie mógł i nie chciał uwierzyć, że to odrażające stworzenie jest owocem jego lędźwi, że jego żona umarła, wydając na świat coś takiego. A jednak... Jednak było w tej małej coś, co poruszało czułą strunę w jego duszy. Przypominała mu jego młodszą siostrę, która umarła, mając sześć lat. On miał wtedy osiem, ale choroba i śmierć siostry głęboko wryły mu się w pamięć. Chciał wziąć dziewczynkę na ręce, ale pomyślał, że ją przestraszy, więc tylko dotknął jej policzka.

- Proszę zawieźć ją do domu - powiedział do Rosamundy. - Pojadę za wami.

Ben wyminał powóz i wprawił konia w klus. Pół godziny później przejechali przez bramę.

- Zatrzymaj się przy kuchennych drzwiach - poleciła Rosamunda.

Gdy tylko gig stanął, Ben zeskoczył na ziemię i wziął dziewczynkę, żeby pani mogła wysiąść. Tymczasem nadjechał powóz i zanim jeszcze na dobre się zatrzymał, wyskoczył z niego Harry. Wziął dziecko od stajennego.

- Jedź natychmiast po doktora Marshalla, Ben - nakazał. - Powiedz mu, że to pilne.

Rosamunda otworzyła drzwi, a Harry wszedł z dzieckiem do środka. Służba kuchenna przyglądała się temu z otwartymi ustami.

- Kąpiel, gorąca woda, czyste ubranie - polecił. - Zanieście to wszystko do...

- Do mojej garderoby - powiedziała Rosamunda.

- Do garderoby milady - potwierdził i ruszył z dzieckiem na górę.

Rosamunda otworzyła przed nim drzwi do sypialni. Na spotkanie wyszła im Janet.

- Milady... - Urwała zaskoczona.

Harry rozejrzał się dookoła. Jego wzrok padł na kanapę i tam położył Annabelle.

- Niech ją pani domyje i położy do łóżka - zwrócił się do Rosamundy. - Porozmawiamy o tym później.

Ostatni raz zerknął na bezsilne dziecko, zostawił je w rękach żony, a sam udał się do swojego pokoju, gdzie z pomocą służącego zmienił ubranie. Potem zszedł do biblioteki i zaczął nerwowo się przechadzać.

W pierwszej chwili widok żony wywołał u niego furję. Był wściekły, że Rosamunda w ogóle znalazła się na tej drodze, że zakwestionowała jego decyzję w sprawie córki, że wbrew jego woli pojechała na farmę i uznała za stosowne porwać dziewczynkę. Jego furia szybko skierowała się jednak przeciwko pani Chappell, która zaniedbała jego córkę i nie powiadomiła go o jej chorobie. I na panią Rivers, która nie zorientowała się w zaniedbaniach i nie dała mu w porę znać. Nic z tego nie zmieniało jednak faktu, że powinien obwiniać przede wszystkim samego siebie.

Jak mógł uważać, że skoro łoży dużo pieniędzy na Annabelle, wywiązuje się ze wszystkich ojcowskich obowiązków? Przypomniały mu się kłopotliwe pytania Rosamundy i, co gorsza, również jej wzmianka o zmarłej Beth, która nie tego by chciała. Każde z tych słów było dla niego ciosem. Pojawienie się Rosamundy Chalmers w jego życiu i domu wywołało zamieszanie, które wytrąciło go ze stanu samozadowolenia.

Lady Portman weszła do biblioteki, przerywając rozważania męża. Zmieniła suknię i miała ułożone włosy. Spojrzeli na siebie z nieukrywaną wrogością.

- Droga żono, domagam się wyjaśnień - powiedział.

- Już pan je otrzymał - odparła spokojnie. - Z pewnością nie muszę ich powtarzać. Przyszłam powiedzieć, że u Annabelle jest teraz doktor. Pewnie zechce pan z nim porozmawiać.

Ruszyła z powrotem, a on wyprzedził ją i wielkimi krokami dopadł schodów. Gdy wszedł do sypialni, doktor właśnie skończył badać dziecko i zamykał torbę. Annabelle, umyta i ubrana w czystą, choć o wiele za dużą koszulę, leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Przez jedną straszną chwilę Harry myślał, że umarła. Natychmiast ujrzał oczami wyobraźni leżącą nieruchomo, śmiertelnie bladą Beth. Odwrócił wzrok.

- Bardzo silna kolka - powiedział doktor Marshall, zanim Harry zdążył się skompromitować płaczem. - Tym bardziej dotkliwa, że dziecko jest niedożywione. Potrzebuje pożywnej diety i dużo odpoczynku.

- Będzie ją miała. I piastunkę też.

- Ja się nią zajmę - powiedziała Rosamunda zawstydzona tym, że Harry znów odwraca się od córki. - Już poprosiłam, żeby wstawiono tu dla niej łóżeczko.

- Nie ma potrzeby... - zaczął Harry.

- Owszem, jest. To dziecko potrzebuje miłości i troski. Służba, nawet najlepsza, tego jej nie zapewni. Z przyjemnością zajmę się Annabelle, a dzięki temu będziemy miały okazję lepiej się poznać.

Położyła mu dłoń na ramieniu. Nie zastanawiała się nad tym gestem, chciała po prostu uciszyć jego złość.

Nie potrafił być zły na tę kobietę. Wiedział zresztą, że Annabelle jej potrzebuje. Ujął dłoń Rosamundy i krzepiąco uścisnął.

- Dobrze, moja droga, skoro tak pani sobie życzy...

Odprowadził doktora do schodów.

- Mam nadzieję, że mogę zaufać pańskiej dyskrecji w tej sprawie, doktorze?

- Naturalnie.

- Pan wie, kim jest to dziecko?

- Domyślam się. Czyż nie byłem tutaj, kiedy się rodziła? Biedna lady Portman, tak bardzo pragnęła chłopca, żeby pana zadowolić. - Westchnął. - Niestety, nie zawsze możemy dostać to, czego pragniemy...

- Nie, ale chciałbym wierzyć, że lady Portman do końca sądziła, że dała mi syna.

- Milord ma wielkie szczęście, że znalazł sobie taką drugą żonę - ciągnął doktor. - Okazała nie tylko współczucie, ale i dużo praktycznego zmysłu. Pod jej opieką mała szybko zacznie odzyskiwać siły.

- Na pewno. Nie miałem pojęcia, co się z nią dzieje. Pan i pani Chappell drogo zapłacą za swoje zaniedbania.

Doktor przystanął u podnóża schodów i spojrzał na niego.

- A pan? Zatrzyma ją pan tutaj po jej wyzdrowieniu?

Harry wiedział, że na śmielszą krytykę medyk się nie zdobędzie.

- Tak.

Właśnie kiedy odprowadzał doktora do drzwi, nadjechał Ash. Uśmiechał się odprężony. Zeskoczył z konia, odpiął od siodła torbę z przebraniem i sakiewkę, po czym podszedł do przyjaciela z radosną miną.

- No, to jestem - powiedział.

- Całkiem o tobie zapomniałem - wyznał Harry.

Ash spojrzał na niego zdumiony.

- Czyżbym nie był mile widziany?

- Oczywiście, że jesteś mile widziany! Wejdz. Niestety, muszę zostawić cię w towarzystwie lady Portman, bo mam pilną sprawę do załatwienia. - Odwrócił się i zobaczył Rosamundę na schodach. - Moja droga - powiedział. - Przyjechał do nas z wizytą sir Ashley.

Podążyła ręką Ashleyowi, który nisko się skłonił.

- Sługa uniżony, milady.

- Dopilnuje pani, aby przydzielono mu sypialnię? - spytał Harry. - Odpocznie sobie po podróży i zmieni ubranie. Jack mu pomoże. Ja muszę wyjść, ale na kolację wrócę.

- Dokąd pan jedzie? - spytała.

- Na farmę Feltham. Chappellowie muszą zostać ukarani.

- O co ich pan może oskarżyć oprócz zaniedbania? - Nie musiała dodawać, że nie oni jedni są winni, bo Harry dobrze to wiedział. - Niech pan ich zostawi w spokoju. Stracili dochód, i to jest dla nich wystarczająca kara. Nie powinien pan niepotrzebnie narażać się na niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo? O czym pani mówi?

- Sama nie wiem. Mam dziwne przeczucie związane z tym miejscem, tak jakby było siedliskiem zła. Proszę tam nie jechać.

Ash cały czas stał przy koniu, trzymał torbę i spoglądał to na jedno, to na drugie.

- Czy przyjechałem w nieodpowiedniej chwili? - spytał.

- Nie, nie - uspokoił go Harry. - Mieliśmy tu po prostu małe zamieszanie.

- No tak.

Czekał, aż Harry powie mu o rabunku na drodze, i przygotował się już do wydania okrzyku zaskoczenia, ale przyjaciel jakby całkiem o tym zapomniał.

- Moja córka zachorowała - powiedział.

- Przykro mi to słyszeć - odparł Ash. - Czy mam zawrócić do zajazdu?

- Nie, musimy porozmawiać - powiedział Harry. - Rozgość się. Niedługo wrócę. Tylko pojedę na tę farmę, a potem zgłoszę straży napad na drodze, chociaż wątpię, czy to cokolwiek da.

- Napadnięto cię? - spytał zdumiony Ash.

- Tak. Lady Portman opowie ci wszystko ze szczegółami. Była na miejscu. A ja po drodze odprowadzę twojego konia.

Wziął od niego wodze ogiera i ruszył ku stajniom.

Ash zwrócił się do Rosamundy.

- Lady Portman, proszę mi wybaczyć, że tak się narzucam, ale Harry mnie wcześniej zaprosił.

- Witam, sir Ashleyu - powiedziała, choć najchętniej wysłałaby go do diabła.

Musiała zająć się Annabelle i znieść zły humor lorda Portmana, więc gości zupełnie nie potrzebowała.

- Zapraszam do środka, zaraz polecę przygotować pokój. Proszę mi wybaczyć, że oddam pana pod opiekę Jacka Sylvestra, ale muszę zająć się pasierbicą.

Posłała po Jacka, a gdy Ash z nim odszedł, wróciła do Annabelle. Miała przy niej tyle pracy, że dopiero po pewnym czasie zwróciły jej uwagę dziwne okoliczności wizyty sir Ashleya. Dlaczego przyjechał z Londynu konno, skoro Harry miał mnóstwo miejsca w powozie? Byłaby też gotowa przysiąc, że torba sir Ashleya nie różniła się niczym od tej skradzionej Harry'emu. Nie wydawało się to możliwe, chyba że sir Ashley odebrał ją zbójowi... albo sam nim był. Łatwiej byłoby jej uwierzyć w to pierwsze, ale miała wrażenie, że poznała również konia. Ogier sir Ashleya miał charakterystyczne skarpetki. Harry chyba musiał to zauważyć? Może jednak na wszelki wypadek należało go ostrzec, że jego przyjaciel wydaje się coś ukrywać.

TLR

Rozdział siódmy

Harry zdążył wrócić na kolację, tak jak obiecał, ale Rosamunda nie miała okazji porozmawiać z nim w cztery oczy, a po posiłku obaj z Ashem ukryli się w bibliotece. Nie ulegało wątpliwości, że nie należy im tam przeszkadzać. Rosamunda wypłała więc herbatę w salonie, a potem poszła porozmawiać z panią Rivers.

- Musiała pani chyba zauważyć, że tam źle się dzieje - zaczęła. - Przecież to dziecko jest prawie zagłodzone.

- Nie miałam o tym pojęcia. Nie lubiłam tam jeździć. Pani Chappell interesowała się tylko pieniędzmi i zawsze chciała, żeby wypłacać jej wszystko w gwineach. To dziwne, bo do tych zakupów, które robi, złote monety jej niepotrzebne. Tłumaczyła, że daje Annabelle specjalne jedzenie, które dużo kosztuje, bo mała często źle wygląda. Najpierw jej wierzyłam, ale potem, kiedy zaczęłam ją wypytywać, pani Chappell kazała mi pilnować własnego nosa. Powiedziała, że jeśli jego lordowska mość powątpiewa w jej umiejętności, to może przyjechać i obejrzeć wszystko osobiście. Milord naturalnie nigdy tego nie zrobił.

- Powiedziała mu pani?

- Próbowałam, ale kiedy tylko wspominałam o jego córce, zmieniał temat. Jestem tylko gospodynią, więc nie mogłam się z nim spierać. Cieszę się, że milady tam dzisiaj pojechała. To biedne dziecko teraz ozdrowieje. Milady jej nie odeśle, prawda?

- Ani mi to w głowie. Ta farma jest okropna. Nie mam pojęcia, jak ona mogła tam trafić.

- Panią Chappell poleciła nam mamka. Prawdę mówiąc, na początku nie było tak źle. Kobieta była czysta i bardzo się starała. Dopiero dwa lata temu wszystko się zmieniło. Moim zdaniem to wina jej męża, straszego tyrana. Boję się go i wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby on zabierał jej większość pieniędzy.

- Czy jego lordowska mość dzisiaj z panią rozmawiał?

- Nie, milady. Wszyscy są bardzo zajęci, a teraz jeszcze przyjechał sir Ashley. Pan na pewno pośle po mnie jutro. Cała drzę na tę myśl.

- Lord Portman jest uczciwym człowiekiem - stwierdziła Rosamunda. - Proszę mu powiedzieć to samo co mnie, a na pewno nie będzie miał do pani pretensji. Idę teraz do sypialni posiedzieć z Annabelle. Jestem pewna, że jego lordowska mość już nie będzie mnie potrzebował dziś wieczorem.

Harry siedział na fotelu i patrzył na Asha. Obaj trzymali po kieliszku koniaku.

- Nigdy w życiu nie byłem tak zaskoczony jak dziś, gdy ujrzałem moją żonę z tym dzieckiem - powiedział Harry. - Mała naprawdę jest bardzo chora. Tak mnie to wzburzyło, że o rabunku przypomniałem sobie dopiero na twój widok.

- Ale złożyłeś zawiadomienie?

- Tak. Opis zbója już krąży. Wyzaczyłem nagrodę za informację o miejscu jego pobytu.

Ash zachichotał.

- Bez wątpienia ustawi się do ciebie kolejka ludzi, którzy wiedzą, gdzie go szukać.

- Możliwe. Tylko czy ta nowina dotrze do bandy O'Keefe'a? - Urwał. - Miejmy nadzieję, że wysłali kogoś, kto mnie obserwował. Przecież wspomniałem przy nich, że lord Portman byłby łatwym łupem.

- Po powrocie do Londynu zacznę o tym opowiadać, więc historia bez wątpienia trafi do gazet. Byłeś u przybranych rodziców?

- Tak. Moja żona powiedziała prawdę. Niewiarygodny brud. Kobieta skamlała, że to nie jej wina, bo dziewczynka zawsze była chorowita. Potem przyszedł jej mąż. Zaczął mi grozić. - Harry szeroko się uśmiechnął. - Musiałem trzymać się roli lwa salonów, więc szybko dałem nogę, chociaż chętnie zrobiłbym z tym typem porządek.

- Milady może mieć rację, że niewiele można im zrobić - powiedział Ash. - Sam oddałeś dziecko w ich ręce, a oni wcale nie są gorsi niż tysiące innych przybranych rodziców. Dziękuj Bogu, że lady Portman w porę tam pojechała.

Harry dopił swój trunek i ponownie napełnił kieliszki.

- Muszę jak najszybciej zajrzeć do Nag's Head i dać im te gwinee. Mam nadzieję, że dzięki temu dotrę na farmę, gdzie je zmniejszają.

- To może być niebezpieczne. Pozwól mi z tobą pojechać.

- Nie. Jesteś wrogiem, łapaczem złodziei, więc tego się trzymaj. Znajdę jakiś sposób, żeby cię zawiadomić, gdybyś był potrzebny. Teraz idę spać.

Wyszli z pokoju i rozstali się na podeście, ale Harry nie poszedł od razu do siebie, tylko zapukał do pokoiów Rosamundy. Wiedział, że ten dzień dużo zmienił w jego stosunkach z żoną, choć jeszcze nie umiał tego nazwać.

Łóżeczko dziecięce wstawiono do garderoby. Rosamunda siedziała przy nim na stołku. Annabelle leżała w aureoli świeżo umytych złocistych włosów, rozsypanych na poduszce. Jedno ramię miała na kocu. Było przerażająco chude.

- Jak ona się czuje? - spytał, przyklękając obok żony.

- Doktor dał jej coś na ból brzucha i na sen. Śpi spokojnie. Po przebudzeniu na pewno będzie czuła się lepiej, a kiedy wydobrzeje, postaramy się, żeby przybrała na wadze.

- Biedaczka - powiedział. - Bardzo ją skrzywdziłem. Nie wiem, czy ona kiedykolwiek mi wybaczy.

- Na pewno.

Położył rękę na dłoni Rosamundy.

- A czy pani mi wybaczy?

Ten dotyk miał na nią bardzo zaskakujący wpływ. Zaparło jej dech, serce zabiło jak szalone.

- Nie rozumiem, co ma pan na myśli? - spytała z udanym spokojem.

- Mój gniew. Nie powinienem był kierować go przeciwko pani. Zły byłem na siebie. - Uśmiechnął się smutno. - Jestem jak każdy mężczyzna. Nie lubię, kiedy ktoś wypomina mi wady. Jednak to pani miała rację, a ja się myliłem.

Wiedziała, ile kosztowało go to wyznanie. Musiała je docenić, mimo że czekała na co innego.

- Często jestem boleśnie bezpośrednia - przyznała.

- Zasłużyłem na to, co usłyszałem.

- Nie rozumiem, dlaczego nie chce pan wychowywać córki osobiście. To taka ładna dziewczynka. Czy przypomina matkę?

- Trochę, ale przed laty nie zwróciłem na to uwagi. Wszystkie niemowlęta są podobne, prawda?

Zaśmiała się cicho.

- Oto typowo męska odpowiedź. Ona nie jest już niemowlęciem. I widzę u niej pańskie rysy... Usta i oczy. Ta buzia wydaje się zdradzać upór.

Popatrzył na śpiące dziecko.

- Mnie ona przypomina siostrę.

- Nie wiedziałam, że milord miał siostrę.

Chciała jeszcze dużo się dowiedzieć o tym zagadkowym człowieku, a wyglądało na to, że przyszedł dzień wielkich zwierzeń.

- Umarła, mając sześć lat. Ja miałem wtedy osiem.

- W tym wieku dzieci są bardzo wrażliwe.

- Tak. Nie rozumiałem, jak to możliwe, że jednego dnia ktoś żyje, a drugiego dnia jest zimny i nieruchomy. To mnie przerażało. Tak samo było po śmierci Beth.

Powoli zaczynała rozumieć. Harry kochał żonę i nie mógł się pogodzić z jej śmiercią.

- Przecież Annabelle nie umarła - powiedziała, starając się nie dopuścić do siebie uczucia zazdrości.

- Dzięki Bogu nie, ale gdyby jej pani nie znalazła, mogłaby umrzeć.

- Nie będziemy rozmawiać o tym, co mogłoby się zdarzyć, milordzie. Pomówmy o przyszłości. Milord już jej nie odeśle, prawda?

- Nie. Chcę, żeby pani się nią zaopiekowała. Ja nie śmiałym.

Powiedział to z nutą ironii, która wywołała u niej uśmiech.

- Wydaje mi się, że spodoba mi się rola matki - stwierdziła.

Oboje zamilkli. Wciąż nie zrobili ani kroku ku urzeczywistnieniu umowy, którą zawarli, przynajmniej ich zażyłość zdawała się pogłębiać. Rosamunda zdziwiła się, jak bardzo ją to ucieszyło.

Tej nocy spała niespokojnie. Wyteżęła słuch na każdy szmer dochodzący z garderoby, gotowa w każdej chwili biec na pomoc. W efekcie zbudziła się znacznie

później niż zwykle. Gdy pośpiesznie weszła do sąsiedniego pomieszczenia, zastała tam Harry'ego, który siedział na stołku i przyglądał się śpiącej córce.

- Nie budźmy jej - szepnął.

Ujął ją pod łokieć i razem wrócili do sypialni, w której już krzątała się Janet.

- Proszę zajrzeć do dziecka - polecił jej Harry.

Służąca szybko znikła za drzwiami.

- Muszę wrócić do Londynu - powiedział. - Wrócę najszybciej, jak będę mógł, mam nadzieję, że już jutro. Da sobie pani radę?

Starła się nie okazać rozczarowania.

- Naturalnie. A co z sir Ashleyem?

- Wziął konia i wyjechał pół godziny temu. Ja pojedę powozem.

- Ach tak... - Trudno jej było zdecydować, czy podzielić się z nim swoimi spostrzeżeniami. - Harry, czy pan ufa sir Ashleyowi? - spytała w końcu.

- Bezgranicznie, moja droga. Dlaczego pani pyta?

- Zauważyłam, że torba, którą miał, gdy wczoraj przyjechał, była dziwnie podobna do tej, którą zbójca zabrał z powozu. Koń też był identyczny. Ma bardzo charakterystyczną maść.

Harry przeklął w duchu swoje niedopatrzenie.

- Sądzę, że to zbieg okoliczności - odparł bardzo pewnym tonem. - Torby tego rodzaju też są wytwarzane setkami. Pomysł, że Ash mógłby być zbójcą, wydaje mi się śmieszny. Zresztą po co miałby mnie obrabować? Ma swój majątek.

- Przepraszam, nie zamierzałam go oskarżyć. Myślałam tylko... - Zająknęła się. - Chciałam tylko powiedzieć panu, co zauważyłam.

- Bardzo dziękuję, ale z jego strony nie musimy niczego się obawiać. Sir Ashley jest moim przyjacielem. Ufam mu bez zastrzeżeń. - Pochylił się i cmoknął ją w policzek.

- Muszę już jechać. Wrócę jutro.

Pogłaskał ją po policzku i odszedł, a ona zastanawiała się, czy już zawsze pozostaną na etapie miłych słów i pocałunków w policzek. Pragnęła zdecydowanie więcej.

- Moja żona jest stanowczo zbyt spostrzegawcza, Ash - powiedział z kwaśną miną, gdy jedli kolację w Portman House. - Poznała twoją torbę i konia. Wyciągnęła z tego wniosek, że to ty mnie obrabowałeś. Musiałem jej wyjaśnić, że takich koni i takich toreb jest na pęczki.

- Zadowolilo ją to?

- Chyba tak.

- Zastanawiałeś się nad powiedzeniem jej prawdy?

- Wielki Boże, nie! Ta część mojego życia jest dostępna wyłącznie dla członków Klubu Dżentelmenów z Piccadilly. Inaczej nie mógłbym pracować.

- Znalazłeś tę bandę? Uwierzyli w historię o napadzie?

- Na to wygląda. O'Keefe powiedział, że osobiście był jego świadkiem. Pojechał za tobą i schował się w jakichś krzakach. Bardzo się cieszę, że wymyśliliśmy ten podstęp.

- Ale on zobaczył przy okazji lady Portman.

- To mnie martwi. Dopóki jednak O'Keefe nie łączy lorda Portmana z Gusem Housmanem, jej raczej nic nie grozi.

- Muszę chyba pozbyć się tego ogiera. Szkoda, bo to dobry wierzchowiec, ale milady go poznała, a nie wiem, czy jeszcze ktoś oprócz jej mnie nie widział.

- Przykro mi z tego powodu - powiedział Harry. - Gdyby nie Rosamunda...

Ash się roześmiał.

- Gdyby twoja droga żona nie wypomniała nam błędów, moglibyśmy nie zwrócić na nie uwagi. Teraz przynajmniej możemy się postarać, żeby O'Keefe nie wyniuchał, co się dzieje.

Kolację skończyli wcześniej i poszli do klubu White'a pograć w karty. Rozmawiano tam przede wszystkim o tym, kogo zaproszono na uroczystości ślubne pary królewskiej. Wspomniano jednak również o różnych rabunkach i Harry zapamiętał kilka informacji przed spotkaniem Klubu Dżentelmenów, odbywającym się nazajutrz.

Klub White'a miał nowego właściciela, który przejął go po śmierci McArthura w ubiegłym miesiącu. Nazywał się Robert Mackreth. Harry, gdy tylko zawarł z nim znajomość, poprosił go o zwrócenie uwagi na zmniejszone monety, powołując się na sir Johna Fieldinga. O Klubie Dżentelmenów jednak nie wspomniał. Ludzie naturalnie

słyszeli o spotkaniach na Piccadilly, ale to, jaki jest ich cel i kto bierze w nich udział, pozostawało w sferze domysłów. Harry właśnie siadał z Ashem do partyjki wista, gdy Robert Mackreth szepnął mu do ucha:

- Milordzie, kilka słów na osobności, jeśli można.

Harry przeprosił partnerów i poszedł z nim do pokoiku używanego jako biuro.

- Milord prosił, żebym informował o wszystkich spiłowanych gwineach. - Wyciągnął przed siebie dwie monety. - Te moim zdaniem są zmniejszone.

Harry zważył obie po kolei w dłoni, a potem sprawdził nacięcia na boku.

- Tak, obie spiłowano - przyznał. - Czy pan wie, kto mu je dał?

- Nie. Przyjął je kelner podający wino, nie zdając sobie sprawy z tego, że są złe, ale zrobiłem listę ludzi obecnych w tym czasie w klubie. - Wyjął z biurka kartkę i podał Harry'emu. - Tylko członkowie i ich goście.

- Dziękuję, przejrzę później. W razie gdyby pojawiły się kolejne monety, proszę zrobić następną listę. Jeśli nazwiska będą się powtarzać, zawężymy krąg podejrzanych. Nie muszę chyba tłumaczyć, że sprawa jest poufna.

- Milord może na mnie polegać.

Harry zrekompensował właścicielowi klubu stratę dwóch gwinei, a spiłowane monety schował do kieszeni razem z listą. Potem wrócił do gry. Ktokolwiek płacił złymi gwineami, musiał być coraz bardziej zdesperowany. I z pewnością nie chodziło o Joba Smithalla, który u White'a nie bywał. Pewnie uległ pokusie ktoś, kto miał duże karciane długi.

Pod troskliwą opieką Annabelle szybko dochodziła do zdrowia. Wkrótce zaczęła nawet przybierać na wadze, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Jej łóżeczko przeniesiono do osobnego pokoju niedaleko sypialni Rosamundy, która zamówiła dla małej ubrania u krawcowej polecanej przez panią Rivers. Resztę niezbędnych rzeczy dokupiono w Hounslow i Isleworth.

- Kiedy odeślesz mnie do domu? - spytała dziewczynka któregoś dnia, gdy mieszkała już we dworze prawie trzy miesiące.

Była ubrana w białą suknię z dymki z niebieską szarfą, białe pończochy i lśniące czarne pantofelki, które wprawiały ją w wielką dumę.

- Kochanie, tu jest teraz twój dom - powiedziała Rosamunda. - Niemożliwe, żebyś chciała wrócić tam, gdzie byłaś przedtem.

- Nie chcę, podoba mi się tutaj, ale mama będzie na mnie bardzo zła, jeśli nie wrócę.

- Dlaczego będzie zła?

- Mam swoje obowiązki i muszę pomagać jej w kuchni. Jeśli będę się lenić, nie dostanę kolacji.

Metody wychowawcze pani Chappell wzbudziły u Rosamundy trwogę.

- Annabelle, muszę ci coś powiedzieć. - Urwała, by zastanowić się, jak to wyrazić.

- Pani Chappell nie jest twoją prawdziwą mamą. O takiej mamie mówi się, że jest przybrana.

- A co to?

Rosamunda wyjaśniła najłagodniej jak umiała:

- Lord Portman jest twoim tatą. Wysłano cię do pani Chappell, ponieważ twoja mama umarła, kiedy cię rodziła, i nie miał się kto tobą zaopiekować. Teraz masz mnie. Jestem żoną twojego taty, czyli twoją macochą. Obiecuję, że nie pozwolę ci wrócić tam, gdzie nie miałaś dobrze.

- Naprawdę? - Oczy dziecka zajaśniały.

- Tak. - Cmoknęła ją w policzek. - Jeśli jednak chcesz być małą damą, musisz się wiele nauczyć, dlatego będziesz brała lekcje.

Dawno już odkryła, że Annabelle nawet nie zaczęła jeszcze nauki pisania i czytania. Wprawilo to w zdumienie i wielką złość Harry'ego, który sądził, że właśnie na to idzie część wypłacanych przez niego pieniędzy. Rosamunda nie przejęła się szczególnie wzburzeniem męża, bo już nauczyła się czytać jego nastroje. Gdy Harry był w domu, widywał córkę codziennie i choć mała wciąż się go bała, a on nie mógł znieść pospolitości jej języka, widać było, że za jego szorstkim zachowaniem kryje się uczucie, które trudno mu wyrazić. Często jednak Harry wyjeżdżał i nigdy nie tłumaczył po co. Najwyraźniej uważał, że żona nie musi tego wiedzieć.

Słyszając tętent kopyt i chrzęst kół na podjeździe, Rosamunda sądziła, że właśnie wraca Harry, okazało się jednak, że to nie jej mąż, lecz brat. Wkrótce pojawił się w saloniku w czarnym jedwabnym szustokorze ze srebrnym haftem i w czarnym halsztuku.

- Pomyślałem, że przyjadę zobaczyć, co u ciebie - powiedział, przerywając jej lekcję z Annabelle, która uczyła się literek.

- Wszystko w porządku - odparła i poleciła odźwiernemu sprowadzić do salonu służącą.

- A to kto? - spytał.

Uśmiechnął się promiennie do dziewczynki, która przyglądała mu się z zaciekawieniem.

- To jest Annabelle - powiedziała Rosamunda i zwróciła się do małej. - Biegnij, kochanie, do kuchni. Kucharka znajdzie ci coś dobrego do zjedzenia. Potem musisz poszukać Janet, ona się tobą zajmie.

Gdy dziecko wyszło, skupiła uwagę na bracie.

- Usiądź, Maks. Napij się herbaty?

- Herbaty? - Wybrał miejsce na kanapie naprzeciwko niej. - Nie masz niczego mocniejszego?

- Mam, ale jest wczesne popołudnie. Pomyślałam, że wolisz coś, co lepiej gasi pragnienie.

Westchnął.

- Niech będzie herbata.

Pojawiła się służąca, więc Rosamunda poleciła jej podać tacę i mogła z powrotem zająć się bratem.

- Co cię sprowadza?

- Powiedziałem ci. Ciekaw byłem, jak sobie radzisz.

- Jak widzisz, całkiem dobrze.

- Brzuch ci rośnie? - spytał bezceremonialnie.

- Jeszcze za wcześnie.

- Wyszłaś za mąż trzy miesiące temu, mnie się zdaje, że powinno wystarczyć.

Mam nadzieję, że nie rozczarujesz jego lordowskiej mości pod tym względem. On nie

będzie miał najmniejszych skrupułów, żeby się rozwieść. Przecież ożenił się z tobą wyłącznie z jednego powodu.

Nie miała zamiaru powiedzieć mu prawdy. Na szczęście wróciła służąca z tacą. Zadowolona z tego Rosamunda zajęła się nalewaniem herbaty.

- Co u Charlotte? - spytała, żeby brat nie zaczął znowu jej przesłuchiwać.

- Ekstrawagancka jak zawsze.

- A dzieci?

- Wymagające jak zawsze. Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście.

- Owszem, wiem - odparła z przekonaniem.

- Jest Portman? - spytał.

- Nie. Pojechał do Londynu.

Podawała mu herbatę. Postawił filiżankę, wyjął zza pazuchy piersiówkę i dolał część zawartości do herbaty.

- Szkoda, że nie wiedziałem - stwierdził. - Oszczędziłoby mi to drogi.

- Zdawało mi się, że przyjechałeś do mnie.

- Do ciebie, ale z nim też muszę porozmawiać.

- Pewnie wróci wieczorem. Możesz na niego poczekać. - Upiła łyk. - W jakiej sprawie chcesz się z nim widzieć?

- Nic istotnego.

- Czy ta sprawa ma coś wspólnego z pieniędzmi? - Wydał się zakłopotany, więc dodała: - Ile chcesz?

Natychmiast się ożywił.

- A ile masz na zbyciu?

- Nie zawsze wydaję całą pensję. Mogę pożyczyć ci dwieście funtów.

- Dwieście? To o wiele za mało.

- Maks, po śmierci ojca wydawałeś się w całkiem niezłej kondycji finansowej. Mielicie z Charlotte ekstrawaganckie stroje, zapłaciłeś za wino i powóz podczas mojego ślubu...

- Było, minęło.

- Co minęło? O czym mówisz?

- O pieniądzech ojca - powiedział ze skruszoną miną.

- Mówiłeś przecież, że niczego nie zostawił. Musiałam wyprowadzić się z domu, sprzedać meble i... - Urwała zaskoczona. - Chyba nie mówisz o tym woreczku ze sfalszowanymi gwineami? - Wyraz twarzy brata posłużył za odpowiedź. - Och, Maks...

- Przecież nie mogłem pozwolić, żeby się zmarnowały, prawda? Ojciec został oszukany. Te pieniądze powinny być prawdziwe. Nie rozumiem, dlaczego mamy z tego powodu cierpieć.

- Miałeś się dowiedzieć, w jaki sposób ojciec dostał te pieniądze. Zrobiłeś coś w tej sprawie? Odszukałeś pana O'Keefe'a albo spółkę Barnstaple Mining?

- Nie ma takiego człowieka ani takiej spółki.

Z jego tonu wywnioskowała, że trud poszukiwań był dla niego zbyt wielki.

- Zamiast szukać, postanowiłeś zostać paserem. Jesteś głupcem.

- Nikt nie wie, kto je rozprowadza. Byłem bardzo ostrożny.

- Tak ci się zdaje. A jeśli ktoś cię wytropi?

- Nie wytropi. Zresztą zawsze mogę udąć niewiedzę. Ich prawie nie można odróżnić od prawdziwych. Sama widziałaś.

- Czyli rozpuściłeś wszystkie te gwinee i przyszedłeś zebrać u mojego męża?

- Stać go na to. - Urwał. - Nie powtórzysz mu tego, co ci przed chwilą powiedziałem, prawda?

- Na pewno nie. Nie chcę cię widzieć na szubienicy. Bardzo się jednak cieszę, że nie masz więcej tych monet.

Nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Zapadło kłopotliwe milczenie. Tymczasem na podjeździe rozległy się odgłosy nadjeżdżającego powozu i kilka minut później do pokoju wszedł Harry.

Spieszyło mu się do domu, bo chciał spędzić wieczór z żoną i dowiedzieć się o postępy Annabelle. Lubił patrzeć, jak Rosamunda siedzi z małą i razem śmieją się nad jakąś grą lub zabawą. Myślał wtedy o tym, że wiele w życiu stracił, i budziło się w nim pragnienie, by objąć żonę i obsypać pieszczotami. Pokazać, jak ją kocha. Oczywiście rozumiał, że w ten sposób stawiał swój plan na głowie, ale trudno. Widok szwagra nie sprawił jednak Harry'emu najmniejszej przyjemności.

- O, Chalmers - powiedział, starając się, by zabrzmiało to życzliwie.

Maks zerwał się z miejsca i uklonił.

- Byłem w okolicy i pomyślałem, że wpadnę. Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Nic a nic, drogi przyjacielu - odparł, pamiętając, że musi się trzymać roli fircyka, i odwzajemnił ukłon z jeszcze większą ostentacją. - Brat mojej żony zawsze jest mile widziany w Bishop's Court. Zostanie pan na noc?

- Mógłbym? Mam do pana drobną sprawę.

- Po kolacji - powiedział Harry, biorąc od Rosamundy filiżankę świeżo zaparzonej herbaty.

Odniósł wrażenie, że ręka jego żony nieznacznie drży. Zastanowiło ją, o czym rozmawiali przed jego przyjazdem. Prawdę mówiąc jednak, nie trzeba było geniusza, by odgadnąć, po co przyjechał Chalmers.

Po kolacji przewidywania Harry'ego potwierdziły się. Rosamunda poszła położyć Annabelle do łóżka i opowiedzieć jej historię na dobranoc, a panowie poszli do biblioteki zapalić cygaro i napić się koniaku.

- Nie miałem pojęcia, że Bishop's Court jest tak wielką posiadłością - zaczął Maks.

- Utrzymanie jej musi kosztować krocie.

- Na szczęście stać mnie na to - odpowiedział oschle Harry. - Moi przodkowie bardzo rozsądnie gospodarowali pieniędzmi.

- Pan bez wątpienia idzie w ich ślady.

- Staram się.

Uśmiechnął się i spokojnie czekał. Wiedział bowiem, o co poprosi Chalmers.

- Szkoda, że moi przodkowie nie wykazali tyle zapobiegliwości - powiedział Maks.

- Zwłaszcza mój ojciec, który pozwolił się oszukać.

- Tak, opowiadał mi pan o tym. - Nie miał ochoty wracać do okoliczności jego ślubu z Rosamundą, Chalmers wydawał się jednak osobnikiem zupełnie bezwstydnym. - W czym mogę pomóc? Bo zakładam, że przyjechał pan z prośbą o pomoc.

- Jestem w długach. Mając kilka tysięcy, wróciłbym na prostą drogę. Oddam, kiedy będę mógł.

Harry wstał i podszedł do biurka. Wypisał polecenie wypłaty dwóch tysięcy gwinei i bez słowa podał Maksowi. Chciał jakoś zrehabilitować się za krzywdę, którą w swoim przekonaniu wyrządził Rosamundzie.

- Dziękuję.

Maks złożył dokument i schował go do kieszeni kamizelki. Ponieważ zaś nie mieli sobie poza tym wiele do powiedzenia, Chalmers wkrótce wstał i ziewnął.

- Proszę wybaczyć, milordzie, ale idę się położyć. Chciałbym wyjechać z samego rana, jeśli to milordowi odpowiada.

- Owszem, odpowiada - rzekł Harry, z trudem powściągając uśmiech.

Chalmers dostał to, po co przyjechał, i natychmiast zaczęło mu się spieszyć. Harry zastanawiał się, jak często będzie musiał dofinansowywać tego utracjusza. W każdym razie dla dobra Rosamundy był gotów to znieść.

Gdy został sam, nalał sobie następny kieliszek koniaku i zadumany rozsiadł się na kanapie. Zawsze podobało mu się życie na wsi. Lubił rozmawiać z dzierżawcami i ludźmi pracującymi w polu. Jako dziedzic pilnował, żeby żadnemu z nich nie działa się krzywda. Lubił też samemu ciężko pracować. Z drugiej strony jednak pociągało go ryzyko i nieprzewidywalność tego, co robił w Klubie Dżentelmenów z Piccadilly. To dodawało jego życiu barw.

Teraz jednak pojawił się jeszcze trzeci wymiar jego życia: żona i córka. I tu był problem. Harry bardzo chciał, by to, co nazywało się małżeństwem, wreszcie stało się nim naprawdę, ale wciąż wracał do niego stary lęk. Wyobrażał sobie Rosamundę cierpiącą tak samo jak Beth. Oczami wyobraźni widział morze krwi i wtedy pożądanie natychmiast go opuszczało. Wiedział jednak, że na jego udękę nie ma lekarstwa i musi poradzić sobie z nią sam.

Rosamunda jak zwykle zeszła na śniadanie. Często była to dla niej jedyna okazja do rozmowy z Harrym, który potem zawsze wychodził. Tego dnia zastała go w jadalni nad talerzem szynki z jajkami.

- Dzień dobry, moja droga - powitał ją, wstając, a następnie odsunął dla niej krzesło. Zwrócił uwagę na jej różową suknię z krepki, której rozcięcie z przodu zgrabnie

podkreślało kobiecość kształtów i wąską talię. - Znów mamy piękny dzień. Zdaje się, że w tym roku czekają nas wczesne żniwa.

- Tak, zboże już dojrzeje. Rolnicy się będą cieszyć. Po tylu latach słabych zbiorów... - Urwała. - Czy Maks jeszcze śpi?

- Nie - powiedział, siadając. - Podobno z samego rana wyjechał. Miał jakieś pilne sprawy do załatwienia.

- Z pewnością chodzi o spłatę długów pańskimi pieniędzmi - odrzekła, nakładając sobie jedzenie na talerz.

- Skąd u pani takie przypuszczenie? - spytał z nieprzenikniętą miną.

- Znam swojego brata. Poza tym sam niemal wprost mi to powiedział. Pan naprawdę nie musi zaspokajać jego życzeń. Nie będę miała o to pretensji.

- Wiem, ale nie chciałbym, żeby trafił do więzienia dla dłużników, jeśli drobnym datkiem mogę temu zapobiec. W końcu jest moim szwagrem. W rodzinie należy się wspierać.

- Czasem zastanawiam się, czy głód pieniędzy nie był główną przyczyną, dla której Maks tak nalegał, żebym pana poślubiła.

- Czy brała to pani pod uwagę, zastanawiając się nad moimi oświadczeniami?

- A pan tak sądzi? - spytała zaskoczona.

- Niekoniecznie, ale czasem stawiam sobie pytanie, co panią w istocie kierowało.

Roześmiała się zakłopotana.

- Brak innych możliwości... Nie chciałam mieszkać z Maksem i jego nieznośnymi dziećmi ani zostać salonowym pieskiem lady Bonhaven. Poza tym liczyłam, że odnajdę człowieka, który oszukał mojego ojca. Uznałam, że urodzenie pańskich dzieci jest wystarczającą rekompensatą za...

- Za co? - podchwycił.

Oboje przestali jeść.

- Rekompensatą za brak...

Słowo „miłość” nie chciało jej przejść przez usta. Wyśmiałyby ją. Przecież nie była to część umowy.

- Pani uważa, że ją skrzywdziłem.

Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Tego nie powiedziałam. Z pewnością mnie pan nie skrzywdził. Przeciwnie, jest pan hojny i życzliwy ponad wszelką miarę.

- Czy jednak życzliwość wystarcza? - spytał cicho.

- Myślę, że musi.

Ta odpowiedź zabrzmiała niejednoznacznie.

- Wspomniała pani o odnalezieniu mężczyzn, którzy oszukali pani ojca - powiedział, by zmienić temat. - Na czym polegało ich oszustwo?

- Sprzedali mu bezwartościowe udziały w spółce, która moim zdaniem nie istnieje. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ojciec był taki naiwny. Wszystko stracił.

Chalmers powiedział mu to samo, zapewne więc była to prawda.

- Jak się nazywa ta spółka? Może uda mi się natrafić na jej ślad.

- Barnstaple Mining.

- Nigdy o niej nie słyszałem. Czy wie pani o niej coś więcej?

- Według adwokata rodziny, który twierdzi, że odradzał ojcu tę inwestycję, siedzibą spółki był szynk Nag's Head w Covent Garden, a jej udziały sprzedał niejaki Michael O'Keefe.

Harry nagle drgnął. Przełknął łyk kawy, żeby dać sobie chwilę na przemyślenie niespodziewanej informacji.

- Rosamundo, Nag's Head to bardzo nędzny szynk, który niezbyt nadaje się na miejsce do prowadzenia legalnych interesów.

- Przekonałam się o tym zaraz po wejściu.

- Poszła tam pani? - Znów go zadziwiła. - Kiedy?

- Tydzień po śmierci ojca. Miałam nadzieję, że spotkam pana O'Keefe'a i przekonam go do odkupienia udziałów. Byłam zła, zresztą wciąż jestem, kiedy o tym myślę. Nie powinno się pozwolić, żeby ten człowiek czerpał korzyści z łamania prawa.

Rozmowa wkraczała na śliski grunt. Musiał coraz bardziej uważać na swoje słowa. Nie mógł dopuścić do tego, by O'Keefe spotkał lub nawet zobaczył Rosamundę, bo to oznaczałoby poważne kłopoty.

- Nag's Head jest okropnym miejscem. To jaskinia złoczyńców. Cud, że nie napadnięto tam pani i nie obrabowano.

- Zna pan to miejsce? - spytała.

Arystokraci do takich mordowni na ogół nie chodzili. Wciąż musiała wiele się dowiedzieć o swoim mężu.

- Tylko ze słyszenia - odrzekł ostrożnie. - Widziała się pani z tym O'Keefe'em?

- Nie. Karczmarz wyparł się znajomości z tym człowiekiem.

Odetchnął z ulgą i ujął ją za rękę. Rosamunda natychmiast poczuła, że serce bije jej szybciej, a policzki zalewa gorąco.

- Rosamundo, moja droga - zaczął, najwyraźniej nieświadom tego, co się z nią dzieje. - Proszę nigdy więcej tam nie chodzić. Jest pani teraz moją żoną i nie potrzebuje niczego od tego człowieka ani jego spółki. On zresztą i tak nie będzie chciał odkupić tych udziałów. Bez wątpienia powie, że pani ojciec zainwestował pieniądze z własnej woli. Nie ma pani żadnych możliwości prawnych.

- Maks twierdzi, że ani ten człowiek, ani spółka nie istnieją, że wymyślono jedno i drugie, aby oszukać naszego ojca.

- Pod tym względem jestem skłonny przyznać mu rację - powiedział i dołał sobie kawy. Okazało się jednak, że wystygła, więc zadzwonił po służbę, żeby podano świeżą. - Co pani zamierza dzisiaj robić?

Rosamunda wiedziała, że z punktu widzenia jej męża temat został zamknięty, więc nie było sensu do niego wracać.

- Pan Travers znalazł kucyka dla Annabelle - odpowiedziała. - Chciałam dać jej lekcję jazdy. Potem myślałam o spacerze. Może miałby pan ochotę się przyłączyć?

Zawahał się. Im więcej czasu spędzał w towarzystwie Rosamundy, tym bardziej angażował się w życie, jakiego nigdy dla siebie nie planował. On jako ojciec rodziny? Śmiechu warte!

- Czemu nie? - zgodził się ku swemu zaskoczeniu. - Travers ma swoje zajęcia, mogę go zastąpić.

Spędzili przedpołudnie, ucząc Annabelle jazdy na siwym kucyku. Mała była pojętna, więc było przy tym dużo śmiechu i radości. Po południu we troje urządzili sobie

piknik. Znaleźli zaciszne miejsce pod drzewem nad strumieniem, rozłożyli tam koc i wypakowali zawartość koszyka. Tymczasem Annabelle strzepnęła z nóg buciki, zdjęła pończochy i poddałszy spódnicę, zaczęła brodzić.

- Ona naprawdę robi wielkie postępy. Dzięki pani - powiedział Harry, gdy siedząc pod drzewem, przyglądali się małej.

- Ma wiele po ojcu. Jest bardzo bystra i szybko się uczy. Nie trzeba jej niczego dwa razy powtarzać. Zauważył pan, że nawet ładniej mówi? Prawie już zapomniała o języku, którego używano na farmie.

- Zauważyłem. Nie jestem tylko pewien, czy zapomniała również o życiu na farmie.

- Nie całkiem.

- Mam nadzieję, że z pani pomocą wkrótce i to będzie zapomniane.

- Dziękuję, milordzie. Bardzo ją pokochałam. - Urwała, głęboko odetchnęła i dodała: - Chyba jednak brakuje jej towarzystwa innych dzieci. Tam miała sześcioro braci i sióstr.

- Nie ma mowy! Nie przyjmę ich do Bishop's Court, jeśli to pani miała na myśli!

Odwróciła się ku niemu wstrząśnięta. Jak może być taki tępy! Jakiej podpowiedzi jeszcze potrzebuje?

- Nie myślałam o cudzych dzieciach, milordzie.

- To dobrze.

Zawołał Annabelle, żeby przyszła coś zjeść, a Rosamunda uświadomiła sobie, że znalazła się na drodze donikąd.

Zrobiła to, przed czym od początku sama siebie ostrzegała: beznadziejnie zakochała się w swoim mężu.

Atmosfera stała się napięta i do domu wracali w kłopotliwym milczeniu.

Rozdział ósmy

Harry, rzecz jasna, wcale nie był tępy. Doskonale rozumiał, że Rosamunda chce urodzić dzieci. Widział przecież, że jest wymarzoną matką. Aż do tego dnia zakładał jednak, że odwlekając pierwszą wspólną noc, postępuje zgodnie z jej życzeniem. Tymczasem wyglądało na to, że jest w błędzie.

Najchętniej po prostu porozmawiałby z Rosamundą. Opowiedział jej o przekleństwach umierającej Beth, spytał ją, czy wie, że częścią umowy jest nie tylko ich pożycie intymne, lecz również ból i niebezpieczeństwo porodu. Ilekroć jednak nadarzała się okazja do takiej rozmowy, odwaga nagle go odstępowała. Jak na człowieka, który chełpił się wielkim opanowaniem i szukał w życiu wyzwania, zachowywał się co najmniej dziwnie.

Następnego dnia wrócił do Londynu. Chciał wziąć udział w spotkaniu Klubu Dżentelmenów i zajrzeć do Nag's Head. Gdyby spotkał O'Keefe'a, mógłby upomnieć się o swoje miejsce w bandzie.

Wszyscy członkowie Klubu Dżentelmenów z Piccadilly przyszli o czasie, a główny punkt programu stanowiło bezpieczeństwo podczas ślubu i koronacji pary królewskiej. Do Londynu przybywało coraz więcej ludzi, którzy chcieli zobaczyć wielkie widowisko przejazdu królewskiej pary do opactwa westminsterskiego. Nawet ci, którzy wyjechali spędzić lato w wiejskich posiadłościach, wracali na te świąteczne dwa tygodnie. Odbywały się bale i przyjęcia, prawie jak w pełni sezonu.

- Jeśli jest tłum, to będą i kieszonkowcy - powiedział Jonathan.

- I ludzie rozprowadzający fałszywe monety - dodał Harry. - To dla fałszerzy złoty czas, jeśli wybaczyście mi ten kalambur.

- Rozmawiałem z sir Johnem Fieldingiem - ciągnął James. - W okresie uroczystości chce zwiększyć liczbę detektywów z Bow Street, którzy będą mieszać się z tłumem. Obiecałem, że również my pomożemy. Mam nadzieję, że mogę liczyć na waszą współpracę.

Rozległy się pomruki aprobaty.

- Dostałem zaproszenie na koronację - oświadczył Jonathan. - Louise myśli już tylko o tym, co na siebie włoży.

- Nie ciebie jednego zaproszono - odpowiedział James. - W uznaniu wykonywanej przez nas pracy wszyscy otrzymaliśmy zaproszenia. - Wręczył im koperty z królewskim herbem, pomijając jedynie Sama Rokera, który nie miał tytułu. Sam jednak nie czuł urazy, świetnie zresztą wiedział, że w takim miejscu czułby się jak ryba wyciągnięta z wody.

- Kto ważyłby się podnieść rękę na parę królewską w naszej obecności? - spytał Harry ze śmiechem.

Po zakończeniu spotkania Harry i Ash wyszli razem.

- Słyszałeś coś nowego o swoich fałszerzach? - spytał Ash.

- Nie. Mam przeczucie, że O'Keefe mnie unika. Byłem już dzisiaj w Nag's Head, ale usłyszałem, że nie było go tam od wieków. On wie, że chcę zostać przyjęty do bandy, ale nie podoba mu się, że musiałby dzielić zyski z kolejnym kompanem. Będę jednak wytrwały. Zbliżają się uroczystości, więc może i O'Keefe wyjdzie z nory. Za dużo sposobności do płacenia fałszywkami.

- Sprowadzisz lady Portman do Londynu na koronację?

- Naturalnie.

Rosamunda nie była pewna, czy chce jechać. Oznaczałoby to rozstanie z Annabelle, ponieważ jednak dziewczynka zadomowiła się już w Bishop's Court, a lekcje dawała jej guwernantka, wyjazd był teoretycznie możliwy.

- Co zrobimy z Annabelle? - spytała, gdy wieczorem po powrocie z Londynu Harry pokazał jej pięknie wykaligrafowane zaproszenie.

- Jak to? Będzie jej tu bardzo dobrze z panną Gunstock i panią Rivers. A my za trzy tygodnie wrócimy.

- Czy pan naprawdę potrzebuje mnie w Londynie?

- Naturalnie. Jak wyglądałoby to w towarzystwie, gdybym przyjechał bez żony na takie uroczystości? Plotkary dopiero miałyby używanie.

Doskonale wiedział jednak, że potrzebuje Rosamundy z całkiem innego powodu, do tego jednak nie chciał się przyznać.

- Dobrze więc - powiedziała, wiedząc, że będzie jej przyjemnie odwiedzić Londyn w roli lady Portman i zająć miejsce obok męża w opactwie westminsterskim. - Kiedy wyjeżdżamy?

- Jutro. Zdąży się pani przygotować?

- Naturalnie. Wydam Janet odpowiednie polecenia, gdy tylko pójdę na górę.

- Czy miło upłynął pani dzień?

- Tak. Annabelle jeździła na kucyku dookoła podwórza. Bardzo chciałyby już wyjechać poza ogrodzenie, ale powiedziałam jej, że musi trochę więcej się nauczyć, zanim wypuszczę ją na drogę. Potem poszliśmy do wsi, odwiedziłyśmy chorych, a po drodze przyglądałyśmy się żniwom. Po południu czytałyśmy książkę, a panna Gunstock miała z nią lekcję arytmetyki.

- Widzę, że zajęć było w bród. Może przyda się pani ta, zmiana otoczenia?

- Tutaj bardzo mi się podoba. Powietrze jest takie świeże i czyste, zupełnie inne niż w zatechłym Londynie. I wieśniacy są bardzo przyjacielscy. Poza tym lubię być z Annabelle. Dzisiaj pierwszy raz nazwała mnie „mama”.

- Nie wątpię, że to sprawiło pani przyjemność.

- Naturalnie.

Martwiło ją tylko jedno. Wiedziała, że jeśli sama nie urodzi dziecka, lord Portman będzie miał powód, by w końcu anulować ich małżeństwo. Wtedy nie zobaczyłaby już więcej ani Annabelle, ani jego samego. Jak jednak miała wywiązać się ze swojej części umowy, skoro mąż nie dał jej dotąd szansy?

- Pani Rivers prawie śpiewa hymny pochwalne na pani cześć - odezwał się po chwili. - To duże osiągnięcie, bo słynie z marudzenia.

- Dziękuję, milordzie.

- Rosamundo, chciałbym, żeby przestała pani zwracać się do mnie tak oficjalnie, kiedy jesteśmy razem. Proszę używać mojego imienia.

- Dobrze, milordzie. - Roześmiali się oboje z tego przejęzyczenia. - Niełatwo przełamać nawyk, prawda? - dodała.

- Tak. A im dłużej jakiś nawyk trwa, tym mocniej się zakorzenia - przyznał. - Ja na przykład chyba za bardzo przyzwyczałem się do robienia wszystkiego po swojemu i trudno mi to zmienić.

Prawdę mówiąc, zamierzał powiedzieć coś innego.

- Mi... Pan wcale nie jest złym towarzyszem, Harry.

Wręcz przeciwnie. Kiedy jest pan w domu, zawsze można go namówić, by wspólnie spędzić czas. Lubię to. Ona też miała zupełnie co innego w głowie.

- Dziękuję, moja droga. W Londynie powinniśmy spędzać więcej czasu razem. Dostaniemy wiele zaproszeń na bale. My również moglibyśmy wydać przyjęcie... jak pani sądzi?

- Jeśli tylko pan sobie życzy. Muszę jednak powiedzieć, że nie mam wielkiego doświadczenia jako pani domu. Trochę pomagałam mamie, kiedy jeszcze żyła, bo ona wydawała wiele przyjęć.

- Jestem przekonany, że świetnie sobie pani poradzi. Może wydamy bal z okazji koronacji?

Rozmach tego pomysłu wydawał jej się nieco zbyt duży, ale chciała zadowolić męża. Miała nadzieję, że zadowolony mąż w końcu przypomni sobie, po co ją poślubił.

- Znakomicie - ucieszyła się.

O wyjeździe do Londynu Rosamunda powiedziała Annabelle dopiero w ostatniej chwili, kiedy mała już leżała w łóżku z ulubioną szmacianą lalką i czekała na swoją wieczorną historię.

- Wiesz, kochanie, jutro jadę z twoim tatą do Londynu - zaczęła. - Póki nie wrócimy, musisz być grzeczna i słuchać panny Gunstock.

- A kiedy wrócicie?

- Za trzy tygodnie.

- Trzy tygodnie to bardzo dużo czasu.

- Nie, to tylko dwadzieścia jeden dni. Panna Gunstock pomoże ci je liczyć. Jadę na koronację króla Jerzego, więc kiedy wrócę, będę miała dla ciebie różne ciekawe historie do opowiedzenia.

- Co to jest koronacja?

Rosamunda była w połowie tłumaczenia tego problemu, gdy przyszedł do nich Harry. Wkrótce pogodzona z ich wyjazdem Annabelle spokojnie zasnęła, a oni na palcach wyszli z pokoju.

- Mam jeszcze trochę pracy - zapowiedział Harry, gdy znaleźli się z powrotem na dole i stanęli przed drzwiami biblioteki. - Pewnie nie uda mi się skończyć przed północą, więc chcę powiedzieć pani dobranoc.

Położył jej dłonie na ramionach, spojrzął w oczy i pocałował ją w usta. Mimo zaskoczenia odpowiedziała entuzjastycznie. To nie był obowiązkowy pocałunek mężczyzny, który może odpocząć od nużącej go żony, lecz wybuch niekłamanej namiętności.

Odgłos kroków pierwszy usłyszał Harry. Odsunął się od niej z kwaśnym uśmiechem i Rosamunda nagle poczuła, że uginają się pod nią kolana. Aby zachować równowagę, musiała położyć dłoń na oparciu krzesła, stojącego pod ścianą. Tymczasem ich oczom ukazał się lokaj idący z pomieszczeń dla służby do drzwi wejściowych, by rozpocząć swoją nocną zmianę. Minął ich, patrząc prosto przed siebie, jakby w ogóle nikogo nie zauważył. To rozładowało napięcie i oboje wybuchnęli śmiechem.

- Dobranoc, moja droga - powtórzył Harry i znikł za drzwiami biblioteki.

Zastanawiała się, czy nie wejść za nim, ale zrezygnowała. Nie chciała wszystkiego zniszczyć nadmiernym pośpiechem.

- Krok po kroku - powiedziała pod nosem i starając się zapanować nad ogarniającą ją euforią, poszła do garderoby, gdzie Janet właśnie kończyła pakowanie.

Trudno jej było uwierzyć, że przez trzy tygodnie będzie potrzebować tych wszystkich ubrań, ale służąca się uparła.

- Po przyjeździe do Londynu milady musi jeszcze wiele dokupić - oświadczyła, starając się złożyć pikowaną halkę w taki sposób, by zmieściła się do przepelnionego już kufra. - Musi pani przynosić chlubę milordowi, kiedy będzie się z nią pokazywał w eleganckim świecie. Pan Sylvester mówi, że zawsze wysyła milorda na przyjęcia w różowym, więc powinnam pilnować, żeby kreacja milady była dopasowana. Rosamunda parsknęła śmiechem.

- Pan Sylvester, jak sądzę, ma nieco przesadne wyobrażenie o własnym znaczeniu, Janet. Lord Portman sam decyduje o tym, w co się ubiera.

- To możliwe, panno Rosie, często jednak zastanawiam się, dlaczego w Londynie stroi się jak zwykły bawidamek, skoro w Bishop's Court niczego podobnego nie robi.

- Na wsi człowiek ubiera się inaczej niż w mieście, Janet.

- Właśnie to próbowałam pani powiedzieć - oświadczyła triumfalnie. - Musi pani zrobić zakupy w Londynie.

Pakowanie dobiegło końca. Rosamunda rozebrała się z pomocą Janet i poszła do sypialni. Gdy została sama, długo leżała z cichą nadzieją, że może Harry ją odwiedzi. Nie zrobił tego. Wciąż rozmarzona pocałunkiem przyjęła to z rozczarowaniem, ale nie załamana się. Może w Londynie bardziej się do siebie zbliżą...

Harry siedział przy biurku i przeglądał raport, który sporządził dla Klubu Dżentelmenów. Myślami jednak był zupełnie gdzie indziej. Nie powinien jej całować! Wciąż czuł odpowiedź rozgrzanych warg Rosamundy i nie miał już wątpliwości, że pożądanie dręczy nie tylko jego. Cierpiał katusze, bo przecież miał wszelkie prawo iść do niej i dzielić z nią łóżko. Nawet więcej, to jego obowiązek. Gdyby tylko mógł uwolnić się od duchów przeszłości...

Byłoby mu łatwiej, gdyby Rosamunda była pospolita i głupia, gdyby potrafił utrzymać ją na dystans i nie cieszył się tak bardzo jej towarzystwem... Mógłby wtedy potraktować ich umowę jak każdy inny interes, wyobrazić sobie, że spędza noc z ladacznicą, o której można nazajutrz na zawsze zapomnieć. To było już niemożliwe. Rosamunda stała się jego żoną pod każdym względem z wyjątkiem jednego. Jęknął i wyciągnął z kredensu butelkę. Postanowił się napić, by zapomnieć o wszystkich strapieniach i rozterkach.

Do Portman House dojechali niedługo po wybiciu południa, a zaraz potem Harry wyszedł do miasta.

- Ważne sprawy - oświadczył żonie, wręczając jej plik zaproszeń. - Niech pani przejrzy tę stertę podczas mojej nieobecności i zdecyduje, dokąd chciałaby się wybrać. Kiedy wrócę, na wszystkie razem odpowiemy i porozmawiamy o naszym balu.

Możliwością było tylko, że Rosamunda nie miała pojęcia, w jaki sposób wybrać miejsca, w których powinni się pokazać. Zapraszającymi byli w większości nieznani jej wybitni arystokraci, jeszcze niedawno całkiem dla niej nieosiągalni. Postanowiła więc poczekać z czytaniem zaproszeń na powrót Harry'ego, a tymczasem obejrzeć Portman House.

Była to solidny dom pośrodku rzędu podobnych budowli składających się na zachodnią pierzeję Berkeley Square. Kuchnia znajdowała się w suterenie, a do frontowych drzwi prowadziły od strony ulicy schody. Nad drzwiami wisiała latarnia, a po bokach, na wysokości ramienia, były dwa gasidła do pochodni. Z wielkiej sieni na parterze wchodziło się do dwóch salonów, które na przyjęcie można było połączyć w jedną wielką salę. Na pierwszym piętrze znajdowały się jadalnia, biblioteka i salonik, a powyżej - sypialnie i garderoby.

Cała służba spała na strychu, skąd osobne schody prowadziły prosto do kuchni. Wyjątek stanowili gospodyni, pani Crossley, i kamerdyner James, którzy mieli własne pokoje przy kuchni w suterenie.

Wszystko było tu gustownie udekorowane i umeblowane w stylu francuskim, ale wydawało się nieco zbyt doskonale. Nie było tu ani śladu swojskiego nieładu Bishop's Court, co wskazywało, że Harry nie czuje się związany z tym domem i traktuje go jedynie jak miejsce do spania, kiedy przebywa w Londynie.

Zakończywszy obchód, Rosamunda postanowiła porozmawiać z panią Crossley, która była również kucharką. Kobieta okazała się monstrualnie gruba, jakby zbyt często kosztowała swoje potrawy. Nosila obszerną szarą suknię, osłoniętą jeszcze większym fartuchem. Siwiejące włosy przykrywała sztywnym od krochmalu czepkiem, zawiązanym pod brodą na tasiemkę. Wiadomość o balu przyjęła z entuzjazmem i już wkrótce bawiła Rosamundę opowieściami o rozrywkach, jakie urządzała w tym domu matka lorda Portmana.

- A pierwsza żona milorda? - spytała Rosamunda, gdy udało jej się w końcu coś wtrącić. - Przyjmowała tutaj gości?

- Nie, milady. Oni pobrali się dopiero wtedy, gdy pani była już przy nadziei. Na początku zresztą niczego nie dostrzeżono. Ona była bardzo drobna, nie miała jeszcze sie-

demnastu lat, ale wyglądała zdrowo. Nikt nie przepowiedziałby jej takich kłopotów z rodzeniem. To było straszne. Cały dom wypełniały krzyki. Państwo mieszkali wtedy tutaj, bo jego lordowska mość nie zdążył jej wywieźć na wieś. Ciągłe wzywała matkę i przeklinała męża, krzyczała, że Bóg go pokarze za to, co jej zrobił. Akuszerka i doktor próbowali ją uspokoić, ale gdzie by tam ich słuchała.

- To straszne - powiedziała cicho Rosamunda.

- Nie wiem, jak wyjęli z niej to dziecko, ale umarła niedługo potem. Jego lordowska mość był wstrząśnięty. Nie chciał nawet spojrzeć na małą, a tym bardziej jej dotknąć. Potem nie odzywał się do nikogo przez wiele dni. - Urwała. - Może nie powinnam tego milady opowiadać...

Rosamunda rozumiała coraz więcej. Wiedziała już, jak trudno będzie Harry'emu otrząsnąć się z tych wspomnień.

- Cieszę się, że to usłyszałam, pani Crossley - odrzekła. - Proszę jednak nie wspominać o naszej rozmowie jego lordowskiej mości.

Przeszkodził im lokaj, który przyszedł powiedzieć, że przyjechała pani Bullivant. Nicco zdziwiona tym Rosamunda poszła do salonu.

- Jak się ciocia miewa? - powitała matronę, która z zainteresowaniem oglądała obrazy i dekorację pokoju. - I skąd ciocia wiedziała, że tu jestem?

- Takie wiadomości się rozchodzą, sama wiesz. Twoja kucharka powiedziała mojej, a ona powiedziała panie Davies, która powiedziała mnie. - Odwróciła się, by zmierzyć bratanicę wzrokiem. - Nie jesteś przy nadziei, Rosamundo?

- Jeszcze nie.

- Co z tobą?

- Nic, czym musiałabym się niepokoić.

- Niemożliwe, żeby to była wina jego lordowskiej mości. - Usiadła na kanapie wśród obszernych spódnic. - On już ma córkę.

- Nie spieszy się nam.

Przypomniała sobie, że to samo powiedziała Maksowi. Ciekawa była, ile osób wykaże jeszcze dość bezceremonialności, by zadać to pytanie.

- Znasz to dziecko? - dopytywała się ciotka. - Mówią, że lord Portman nie chce, żeby córka z nim mieszkała. Czy z nią coś jest nie w porządku?

- Wszystko jest jak trzeba - odpowiedziała stanowczo Rosamunda. - Annabelle mieszka teraz razem z nami w Bishop's Court. To doprawdy urocze dziecko, bardzo ją pokochałam.

- Hmm... - zadumała się matrona. - Mimo wszystko to nie to samo co własne.

Przed koniecznością udzielenia odpowiedzi uratowała Rosamundę służąca, która przyniosła tacę z ciastkami i herbatę. Wnet jednak ciotka podjęła konwersację.

- Cieszę się jednak, że przyjechałaś do Londynu. Już najwyższy czas, żeby *haute monde* zobaczył w tobie lady Portman.

- Przecież nią jestem. O co cioci chodzi?

- Francis Portman opowiada wszędzie, że sprawy między wami nie układają się dobrze. Podobno jego lordowska mość nie może znieść twojego widoku i dlatego tak często bywa sam w Londynie. Według kuzyna twój mąż należy do jakiegoś kręgu hazardzistów i birbantów, zwanego Klubem Dżentelmenów z Piccadilly. Podobno żaden występki nie jest im obcy.

Rosamunda była wstrząśnięta, nie dała jednak tego po sobie poznać.

- W to nie uwierzę, ciociu.

- Ale to prawda. Francis Portman powiedział o tym Maksymilianowi, a Maksymilian mnie.

- Francis Portman to intrygant, a Maks nie jest lepszy - odparła bez wahania. - Obaj zerują na hojności Harry'ego, a potem oczerniają go za jego plecami. Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co powiedziałaś, i dziwię się, że powtarzasz takie plotki.

- Powtarzam tylko to, co mówią ludzie. Musisz się postarać, żeby Portman częściej pokazywał się z tobą publicznie. Wiem, że nieczęsto małżonkowie wiodą wspólne życie, ale jeśli chcesz pozostać żoną Portmana, musisz wykazać trochę zdecydowania i pokazać mu, gdzie jest jego miejsce.

- Ciociu, niepotrzebnie tak się przejmujesz. Będę ci wdzięczna, jeśli poinformujesz wszystkich, którzy z nudów plotkują, że nasze małżeństwo ma się dobrze.

- To dlaczego nie jesteś jeszcze przy nadziei?

- Daj nam czas, ciociu. Nie jesteśmy już tacy młodzi.

- Mam na względzie jedynie twoje dobro.

- Wiem. - Uśmiechnęła się dzielnie i podała krewnej filiżankę herbaty. - Jeśli poprawi ci to samopoczucie, wiedz, że mamy zamiar wydać w Portman House bal z okazji koronacji. To powinno uciszyć wszystkich krytyków.

- Cudownie! - Matrona klasnęła w dłonie. - Opowiedz mi więcej o tym balu.

W trakcie rozmowy dam wrócił Harry. Skłonił się przed panią Bullivant i spytał ją o zdrowie, po czym zwrócił się do Rosamundy.

- Czy zadzwonić po jeszcze jedną tacę, moja droga?

- Bardzo proszę. Właśnie mówiłam cioci Jessice, że planujemy bal.

Harry pociągnął za sznur dzwonka i usiadł naprzeciwko dam.

- Tak. Przyjęcia i bale odbywają się w tym domu od niepamiętnych czasów, a trudno sobie wyobrazić lepszą okazję niż koronacja.

- Kiedy ma odbyć się bal? - spytała ciotka Jessica. - Jutro jest ślub pary królewskiej i zapewne do koronacji, przez najbliższe dwa tygodnie, nikt nie znajdzie wolnego wieczoru.

Harry zerknął pytająco na Rosamundę. Skinęła głową, więc zwrócił się do pani Bullivant:

- Wobec tego poczekamy do dwudziestego piątego i urządzimy bal na zakończenie.

- Znakomicie - przyznała starsza dama. - Musicie wszystkich zaćmić i urządzić bal, który zostanie zapamiętany na długo. Gdybyście potrzebowali pomocy...

- Sądzę, że damy sobie radę. Pani Crossley jest bardzo kompetentną osobą. Dziękujemy jednak za propozycję.

Na chwilę zapanowało kłopotliwe milczenie, ale ciotka po zastanowieniu uznała jednak, że lepiej nie nalegać.

- Czy milord poznał królewską małżonkę? - spytała. - Mówią, że nie grzeszy urodą i że król nie jest nią urzeczony. Ma za szeroki nos i zbyt wielkie usta, a jej przodkowie podobno pochodzą z Afryki!

- Plotki - stwierdził Harry. - Nie pochwalam plotek. To biedactwo ma zaledwie siedemnaście lat i musi być ledwie żywe ze strachu, zwłaszcza po tak strasznej podróży przez morze. Myślę, że wszyscy powinniśmy ją życzliwie powitać.

Flotylla brytyjskich żaglowców i okrętów wojennych eskortowała przyszlą królową od Cuxhaven, ale zachodnie wiatry były tak kapryśne, że dopłynęli do Harwich dopiero po dziesięciu dniach.

- Naturalnie - przyznała ciotka, wycofując się z krytyki. - Jestem pewna, że wszyscy ją polubią. - Westchnęła i wstała. - Muszę już iść. Spodziewam się, że póki jesteście w Londynie, jeszcze nie raz się spotkamy.

Harry skłonił się elegancko.

- Z pewnością. Mamy zamiar z Rosamundą wykorzystać każdą chwilę tego pobytu, zanim wrócimy do naszej córki. Jutro wieczorem na przykład będziemy u wicehrabiego Leinster.

- Spotkamy się więc u wicehrabiego.

Ciotka statecznym krokiem podeszła do drzwi, przy których czekał lokaj, by odprowadzić ją do powozu.

Gdy tylko znikła, Harry, szeroko uśmiechnięty, zwrócił się do żony.

- To powinno jej dać do myślenia.

Oboje wybuchnęli śmiechem, choć śmiech Rosamundy zabrzmiał nieco sztucznie. Tak dobrze do siebie pasujemy, pomyślała. Śmiejemy się z tego samego, mamy wspólne upodobania, oboje kochamy Annabelle. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze nie zostaliśmy naprawdę mężem i żoną. Pocałunek przed biblioteką był obiecujący i kto wie, jak by się skończył, gdyby nie nadszedł lokaj. Trzeba czekać na następną okazję.

- Przejrzyjmy zaproszenia, póki mamy na to czas? - spytał Harry, całkiem nieświadom toku jej myśli.

Ślub pary królewskiej odbywał się następnego dnia w kaplicy Pałacu św. Jakuba. Zaproszono na niego niewiele osób, ale ci, którzy byli świadkami uroczystości, twierdzili, że dwudziestotrzyletni pan młody był wysoki i wyglądał godnie, a jego siedemnastoletnia żona wydawała się przy nim bardzo drobna. Tłumy, czekające na

zewnątrz, życzyły młodym jak najlepiej. Bowiem Jerzy, w odróżnieniu od swego ojca i dziadka, urodził się w Anglii i od dziecka mówił po angielsku.

- Żal mi jej - powiedział Francis, gdy przyszedł z wizytą do Portman House tego samego popołudnia. - Całkiem zaćmiła ją lady Sarah Lennox, która wyglądała doprawdy zachwycająco. Starego hrabiego Westmoreland trzeba było powstrzymać, by przez pomyłkę nie złożył hołdu właśnie jej, zamiast królowej.

- Nie miałem pojęcia, że byłeś w kaplicy, Frank - rzekł leniwie Harry.

Choć doskonale wiedział, że kuzyna tam nie zaproszono, jego strój świadczył o czymś innym. Miał zresztą pewność, że długi liliowy szustokor zdobiony na przedzie srebrem, białe spodnie do kolan, purpurowa kamizelka z różowo-zielonym haftem i halsztuk w formie olbrzymiej koronkowej kokardy spiętej szpilką z diamentową główką, zresztą tak jak za wielki trójgraniasty kapelusz, Francis zapłacił pieniędzmi przeznaczonymi na dług.

- Nie byłem, ale wszyscy o tym mówią. Dziwi mnie, że Sarah Lennox miała czelność tam się pojawić, i jeszcze w roli druhny. Przecież powszechnie wiadomo, jak bardzo zależało jej na usidleniu George'a.

- Ja tam mam nadzieję, że król i królowa będą razem szczęśliwi - powiedziała Rosamunda. - I czekam na koronację z niecierpliwością.

- Chce pani powiedzieć, że zostaliście zaproszeni? - zdumiał się Francis. - Jak to możliwe? Przecież Harry jest zaledwie baronem.

- Musiałem zrobić coś jak należy - wyjaśnił kwaśnym tonem Harry.

- Nie mam pojęcia, co by to mogło być - odparł Francis.

- Niczego szczególnego nie pamiętam, a w obradach Izby Lordów uczestniczyłeś w tym roku bodaj dwa razy.

- Harry wiele robi bez rozgłosu - odparła Rosamunda.

Spojrzał na nią karcąco, zastanawiając się, ile jego żona wie. Miał nadzieję, że niewiele.

- Dziękuję, moja droga - powiedział.

- Jesteście na bardzo dobrej stopie - zauważył kuzyn.

- Czyżby wkrótce należało oczekiwać szczęśliwego wydarzenia?

- Pilnuj własnego nosa - burknął Harry. - Chcesz zostać na kolacji? Ostrzegam, że wieczorem wychodzimy do wicehrabiego Leinster, więc zjemy bardzo wcześnie.

Zaproszenie nie miało być zachęcające i Francis doskonale to wiedział.

- Dziękuję ci, kuzynie. Idę oglądać walki kogutów w Nag's Head, ale gdyby lady Portman potrzebowała towarzystwa, kiedy jesteś zajęty, hm, swoimi sprawami, to z przyjemnością cię zastąpię.

Rosamunda wyczuła rosnące napięcie i postanowiła interweniować.

- Dziękuję panu, Francis, będę o tym pamiętać. Mówiąc to, wstała, co było zupełnie jednoznacznym gestem. Francis skłonił się więc i wyszedł.

- Idzie do Nag's Head - powiedziała zaraz potem do Harry'ego. - Myślisz, że zna pana O'Keefe'a?

- Wątpię - odpowiedział, choć zastanawiał się nad tym samym. - Wątpię też, czy O'Keefe w ogóle tam wrócił po zrujnowaniu sir Joshui. Chyba nie chciałby ryzykować, że zostanie wytropiony i zmuszony do zwrotu pieniędzy.

- Badał pan tę sprawę?

- Pytałem jedną czy dwie osoby, ale niczego się nie dowiedziałem. Będę próbował dalej.

- Dziękuję - odrzekła. - Proszę jednak nie narażać się z tego powodu na niebezpieczeństwa. Wolałabym o wszystkim zapomnieć, niż widzieć, że stała się panu krzywda.

- Zdaje mi się, że jestem dla pani ważny, moja droga - powiedział zachwycony.

- Naturalnie. Jest pan moim mężem i ojcem Annabelle. Obie byłybyśmy bez pana całkiem zagubione.

- Pochlebia mi to, ale gdyby coś mi się stało...

- Harry, pan mnie przeraża? Czyżby spodziewał się pan czegoś złego?

- Nie, mówię hipotetycznie. Na wszelki wypadek sporządziłem duży zapis na pani rzecz i na rzecz dziecka...

- Dzieci - poprawiła go. - Zapomniał pan o naszej umowie?

- Nie... Jak mógłbym zapomnieć? Nie ma jednak pośpiechu, prawda? Chcę, żeby najpierw nacieszyła się pani tym, że jest moją żoną.

- To bardzo miłe, milordzie... Harry... ale siłą rzeczy zastanawiam się, co pana powstrzymuje. Czyżbym nie spełniała pańskich oczekiwań?

- Nic podobnego - odparł, lekko rozdrażniony.

- Postępuje pan nieuczciwie - nie dawała za wygraną. - Nie oszukałam pana. Od początku wiedział pan, kim i czym jestem.

- Naprawdę? - spytał.

Popatrzył na kobietę, którą poślubił. Pragnął wziąć ją w ramiona i powiedzieć jej prawdę, ale wciąż słyszał w głowie ochryply głos wykrzykujący nienawistne słowa pod jego adresem. Czy Rosamunda będzie cierpieć tak samo? Nie zniósłby tego, że ją także zabił!

- Okazała się pani o wiele piękniejsza i mądrzejsza... Nie zasługuję na panią. Niejednego pani o mnie nie wie i nigdy nie zrozumie...

- Mógłby pan spróbować... i dla odmiany mi zaufać!

- Któregoś dnia może to zrobię. - Wyciągnął do niej rękę, by pomóc jej wstać. - Proszę się przebrać do kolacji. Nie możemy przyjść spóźnieni do Chaston Hall, bo inaczej Louise wygarnie nam od serca.

Powiedział to tylko żartem, bo lady Leinster jest wyjątkowo tolerancyjną panią domu. Tymczasem Rosamunda po raz kolejny poczuła się lekceważona. Mimo woli zaczęła się zastanawiać nad klubem, o którym wspomniał kiedyś Francis. Czyżby Harry, podobnie jak wielu innych mężczyzn, miał kochankę? Jeśli tak, to brak intymnego pożycia w małżeństwie zupełnie nie będzie mu przeszkadzać.

Przez dwa tygodnie pomiędzy ślubem pary królewskiej a koronacją Harry i Rosamunda rzadko bywali w domu. Jeśli nie wychodzili razem, to Harry szedł na spotkanie Klubu Dżentelmenów, a Rosamunda wybierała się do miasta kupować suknie i dodatki, ponieważ pokazanie się dwukrotnie w tej samej kreacji było nie do przyjęcia w towarzystwie. Mieli też mnóstwo pracy przy organizacji balu: wybrali zaproszenia, kupili jedzenie, kwiaty, wynajęli muzyków, a wszystkiemu towarzyszyły burzliwe dyskusje. Nie było czasu na podejmowanie trudnych tematów. Rosamunda podejrzewała zresztą, że Harry celowo ich unika.

Nie miała zamiaru skorzystać z propozycji Francisa, często jednak spotykali się w towarzystwie. O dziwo, kuzyn Harry'ego usilnie starał się wkraść w jej łaski, czego nie mogła zrozumieć, wiedząc, jak oczernia ją i Harry'ego za ich plecami. Niepokój Rosamundy wzmógł się po koncercie ku czci pary królewskiej w ogrodzie Vauxhall, kiedy to Francis pojawił się zniemacka i pocałował ją na powitanie w rękę.

- Pięknie pani wygląda dziś wieczorem, kuzynko Rosamundo - powiedział. - Gratuluję sukni, w niebieskim jest pani wyjątkowo pięknie.

Podziękowała mu za komplement, a on nagle znalazł się między nią a Harrym.

- Wiecie? - szepnął po chwili Francis. - Dostałem niedawno u White'a fałszywą gwineę.

Rosamunda syknęła i zasłoniła dłonią usta, co Harry odnotował z pewnym rozbawieniem.

- Naprawdę? - zaczął bez zainteresowania. - Wiele ich krąży po Londynie.

- Tak, ale żeby w takim miejscu jak klub White'a...

- Wiesz, kto ci ją dał?

- Tak. Chalmers.

Rosamunda drgnęła, co Harry natychmiast zauważył, choć nie dał tego po sobie poznać.

- Masz na myśli sir Maksymiliana?

- Tak, nie ma przecież innego Chalmersa. Naturalnie zwróciłem mu na to uwagę, ale powiedział, że przeprasza, nie zauważył, a ktoś mu musiał podsunąć.

- To więcej niż prawdopodobne - stwierdził Harry. - Nie rozumiem, po co podejmujesz ten temat.

- Pomyślałem, że możesz być nim zainteresowany.

- Phi! Dlaczego miałbym się tym interesować? - spytał Harry najbardziej lekceważącym tonem fircyka i strzepnął z rękawa kilka nieistniejących pyłków.

- Jesteś mężem jego siostry.

- I co z tego?

- Nie można pozwolić na oczernianie nazwiska rodziny, prawda?

- Uważaj, Frank - ostrzegł Harry stanowczym tonem. - Oczerniasz ją podobnie jak Chalmers. Muszę też ci przypomnieć, że rozmawiamy w obecności lady Portman.

- Bardzo przepraszam, milady - rzekł Francis i wykonał przed nią ukłon. - To jednak nie wygląda dobrze, oj, nie wygląda.

- Mój brat na pewno nie wiedział, że ta moneta jest fałszywa - odezwała się Rosamunda, zastanawiając się, czy Harry wie o plotkach rozsiewanych przez Francis'a. - O ile wiem dostrzeżenie różnicy nie jest łatwe.

Tymczasem koncert się zaczął. Przerwali rozmowę i udali się na swoje miejsca. Harry jednak nie mógł skupić się na muzyce. Przez cały czas zastanawiał się, skąd Rosamunda tyle wie o fałszowaniu monet. Czyżby wiedziała, co robi Maks? Może nawet sama kilka razy zapłaciła podrobioną monetą? To czyniłoby ją współniczką, choć trudno mu by było w to uwierzyć. Faktem jednak pozostawało to, że Maks Chalmers był obecny u White'a, kiedy znalazł pierwszą fałszywą gwineę.

Niecierpliwie czekał, kiedy będzie mógł wrócić do domu i starannie przejrzeć wszystkie listy dostarczone mu przez pana Mackretha. Nie miał pojęcia, co by zrobił, gdyby okazało się, że nazwisko Chalmers się powtarza. Tropił fałszerzy od roku i był blisko celu...

Kiedy po koncercie wracali do domu, Harry zapytał, niby od niechcienia.

- Rosamundo, nie znalazłem do tej pory żadnych śladów spółki Barnstaple Mining. Czy pani jest pewna, że niczego więcej nie może mi powiedzieć? Może zapomniałaś o jakimś drobiazgu...

- Nie. Długo się nad tym zastanawiałam, ale pan Tetley powiedział mi tylko tyle.

- Może powinienem sam go zapytać?

Gdyby Rosamunda miała coś do ukrycia, powinna się sprzeciwić temu pomysłowi.

- Milordzie... - zaczęła.

- Harry - poprawił ją.

Bez wątpienia była zmieszana. Wyczuwał napięcie w jej ciele. Mimo półmroku widział, jak nerwowo ściska w palcach rączkę torebki.

- Harry, chciałam znaleźć tego O'Keefe'a i oddać go w ręce sprawiedliwości, ale po namyśle doszłam do wniosku, że niczego się przez to nie osiągnie. Rada pana Tetleya był

trzeźwa i trudno nie przyznać mu racji. Powiedział, że tacy ludzie są niebezpieczni i nie powinnam się do tego wtrącać. Nie chcę, żeby coś się panu stało. Wolę zapomnieć o całej sprawie.

- Jak pani sobie życzy, moja droga.

Położył dłoń na jej rękach i czuł, jak powoli jej napięcie ustępuje. To jednak tylko utwierdziło go w podejrzeniach. Czy sprawa udziałów mogła mieć związek z fałszowaniem monet? Im więcej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że właśnie tak jest. Czy to możliwe, że jego żona mogła być w to zamieszana? Modlił się, by nie mieć racji.

Po powrocie do domu powiedział Rosamundzie dobranoc i zamknął się w bibliotece z listami Mackretha. Maks Chalmers istotnie figurował na wszystkich. Co prawda inne nazwiska też się powtarzały, ale należało od teraz mieć na niego szczególne baczenie. To Chalmers mógł przecież zapłacić fałszywkami kupcowi.

Harry ukrył twarz w dłoniach i głośno jęknął. Wszystkie monety były spiłowane dokładnie w ten sam sposób.

Rosamunda długo nie mogła zasnąć. Łzy nieprzerwanie płynęły jej po policzkach. Miała wrażenie, że Francis i Maks zniweczyli jej szansę na ułożenie sobie życia z Harrym.

Dlaczego ten głupiec, mój brat, wydał sfalszowane monety, zamiast przekazać je sędziemu? - zastanawiała się. Przecież zdawał sobie sprawę, że również pan Tetley wiedział o ich istnieniu. Niepotrzebnie wyznała wszystko Harry'emu. Jeśli wpadnie na trop fałszerstwa, odeśle ją do rodziny i wystąpi o anulowanie małżeństwa. Nie zechce narażać dobrego imienia swojej rodziny, co do tego Francis z pewnością miał rację.

Jej przyszłość rysowała się w bardzo mrocznych barwach.

Kiedy już zaczął morzyć ją sen, usłyszała szmer dochodzący z korytarza. Odczekała chwilę, a gdy dźwięk się powtórzył, wstała z łóżka i uchyliła drzwi. Przez szparę ujrzała mężczyznę z butami w dłoni. W sieni jak zawsze paliła się lampa, więc gdy mężczyzna dotarł na sam dół, przekonała się, że to jej mąż. Miał na sobie brązową sukienną kapotę, grube spodnie i brązową perukę. Podszedł na palcach do drzwi i wymknął się na zewnątrz.

Rosamunda wróciła do łóżka skonsternowana. Do kochanki nie chodzi się w takim stroju, pomyślała, więc co zamierza Harry?

Po chwili dopadły ją wątpliwości. Mężczyzna przypominał tego zbira, który napadł na powóz Harry'ego. Czy powinna podnieść alarm? Nie, na to było już za późno, odpowiedziała sobie. Nałożyła szlafrok i poszła do pokoju Harry'ego, uśmiechając się pod nosem. Czyżby była to okazja, o której marzyła? Przestraszona żona potrzebująca pocieszenia... Zapukała i weszła, nie czekając na zaproszenie. W pokoju jednak nikogo nie było.

TLR

Rozdział dziewiąty

Gusowi Housmanowi było coraz trudniej wykradać się z domu. Harry obawiał się, że z tego powodu może znowu nie trafić na O'Keefe'a. Zatrudnił zaufanych ludzi, żeby go śledzili, on jednak zdawał się mieć szósty zmysł i szybko gubił prześladowców. Pierwszy raz Harry pożałował wstąpienia do Klubu Dżentelmenów z Piccadilly. Czuł się podle, oszukując Rosamundę, zwłaszcza że Francis zdradziecko czynił raz po raz aluzje do jego romansów i bez wątpienia chciał rozbić jego małżeństwo. Z oczywistego powodu.

Mimo późnej pory w szynku było gwarno i cuchnąco jak zawsze, ale tym razem Harry'emu udało się zastać O'Keefe'a. Po chwili dostrzegł w tłumie i kuzyna Francisa. Siedział w towarzystwie pijanych kompanów. Harry wyminął go, odwracając twarz, i usiadł naprzeciwko O'Keefe'a, plecami do kuzyna.

- Dużo tu ludzi - powiedział. - Możemy iść gdzie indziej?

- Nie będą przeszkadzać, są pijani - odparł O'Keefe. - Poza tym zaraz się stąd zabiorą na walki psów. Potrzebuję Więcej prawdziwych monet. Co mi przyniosłeś?

- Nic. Chcę zobaczyć, co się z nimi potem dzieje. Może znowu coś znajdę do twojego warsztatu?

- Jeszcze nie pokazałeś, co jesteś wart.

- Mnie się zdaje inaczej - powiedział Harry, pilnując plebejskiego akcentu. - Przecież zatrzymałem powóz i przyniosłem wam sakiewkę prawdziwych złotych krążków. Narażam się, a nic z tego nie mam. Dopuść mnie! Chcę takiego samego udziału, co inni.

- Nie moja decyzja.

- A czyja?

- Nie bądź taki ciekawy. Dostaniesz kilka gotowych krążków. Zobaczymy, ile przyniesiesz reszty. Spotkamy się za dwa dni w południe. Przynieś też więcej prawdziwych, a zobaczę, co da się zrobić. - Wsadził rękę do kieszeni i wyjął sakiewkę, która zadzwięczała, gdy rzucił ją na blat. - Masz tu dziesięć i, za cholere, nie pomieszaj ich z dobrymi.

- Chcesz zobaczyć, co za nie kupię?

- Nie, tylko kupuj tanie rzeczy. Im więcej reszty, tym lepiej.

Harry schował sakiewkę i wstał. Hałaśliwe towarzystwo, w którym był Francis, tymczasem poszło szukać nowej rozrywki. Z ulgą ruszył do domu. Postanowił włożyć fałszywki do sejfów.

Stwierdził, że jego życie stawało się coraz bardziej skomplikowane, odkąd w Londynie była Rosamunda, której musiał towarzyszyć na balach i przyjęciach. Niczego jednak nie żałował. Podobała mu się, podziwiał ją i tylko sposób, w jaki nakłonił ją do małżeństwa, budził u niego wyrzuty sumienia. Powinien zwrócić jej wolność, ale ta myśl przygnębiała go wprost niewyobrażalnie. Rosamunda stała się ważną częścią jego życia.

- O'Keefe chce mieć więcej prawdziwych monet, ale nie mogę drugi raz na siebie napaść - powiedział Harry Ashowi następnego ranka.

Siedzieli jak zwykle w Trentham House i czekali na resztę członków Klubu Dżentelmenów z Piccadilly. Relacjonował postęp w sprawie, ale informacje o Chalmersie zostawił dla siebie. To musi załatwić sam.

- Dopóki nie przyniosę następnych, nie zawiezie mnie na farmę. - Harry urwał. - Czy miałbyś coś przeciwko temu, żeby Gus Housman napadł tym razem na ciebie?

Ash parsknął śmiechem.

- Nic a nie, ale oni na pewno już ci ufają... Możesz darować sobie cały ten teatr.

- Nie. Oni są cwani. Ktoś musi być świadkiem i opisać zbója. Po to noszę tę śmieszna chustkę w grochy.

- Wiesz, że narażasz się na aresztowanie? I co wtedy powiedziałaaby twoja żona? - Przyjrzał się Harry'emu badawczo. - Chyba że to nie ma dla ciebie znaczenia?

Harry spojrzał w oczy przyjacielowi. Ciekaw był, czy Ash odgadł, jak głęboka stała się ich zażyłość, ale uznał, że lepiej nic na ten temat nie mówić.

- Muszę zaryzykować, jeszcze ten jeden raz. Jestem o krok od celu. Niebawem mnie przyjmą.

- Niech będzie, ale na twoją odpowiedzialność - zgodził się Ash. - Gdzie i kiedy ma być ten napad?

- Musi być nocą, bo tylko wtedy mogę wyjść z domu w przebraniu niezauważony.

- Dlaczego nie powiesz jej prawdy?

- Nie mogę.

- Dlaczego? Ona na pewno nie wygada. I nie jest wątłym kwiatuszkiem, nie zemdleje z wrażenia, prawda?

- Prawda, ale mam swoje powody, żeby jej nie mówić. Może kiedyś... - Na chwilę zamilkł. - Kiedy będzie ci wygodnie?

Ash wybuchnął śmiechem.

- Nigdy nie słyszałem o zbójcy pytającym ofiarę, kiedy chce zostać obrabowana.

- Powagi, Ash. Jutro jest koronacja, więc będę wieczorem na balu lorda Trenthama.

Ash przestał się śmiać.

- Zrób to właśnie wtedy. Będę szedł na Piccadilly, na przyjęcie ku czci admirała, pod którym służyłem w marynarce. To niedaleko stąd. Przyjadę powozem dokładnie o dziewiątej i zostawię sakiewkę na siedzeniu. Przypomnę sobie o niej i wrócę po nią pięć minut później. Ty ją tymczasem zabierzesz i znikniesz, a ja narobię hałasu, że mnie okradziono.

- Będzie ze mną Rosamunda...

- Nie musisz cały czas jej towarzyszyć. To nawet nietypowe, żeby tak się zajmować własną żoną. - Poczekał, aż Harry skinie głową, i ciągnął: - Jego lordowska mość znajdzie ci miejsce, w którym będziesz mógł się przebrać, potem wymkniesz się tylnymi drzwiami i wrócisz, zanim ktoś zauważy, że cię nie ma. W ten sposób będziesz nawet miał alibi, gdyby O'Keefe okazał się sprytny i wywęszył, kim naprawdę jest Housman.

- Może masz rację... - przyznał Harry i wyciągnął z kieszeni sakiewkę. - Weź tę. Nie chcę, żebyś tracił swoje pieniądze.

- Ty też nie powinieneś tracić swoich, przyjacielu. Ile te poszukiwania już cię kosztowały?

- To nie ma znaczenia. Stać mnie na to, a warto zapłacić parę gwinei za widok O'Keefe'a dyndającego na stryczku.

Ash schował sakiewkę do kieszeni i właśnie w tej chwili nadszedł James, a za nim inni dżentelmeni. Lord Trentham oznajmił, że z przyjemnością wyrwał się z domu, bo w

związku ze zbliżającym się balem wszystko tam stoi na głowie. Omówili z nim plan, a potem zajęli się innymi sprawami.

Rosamunda znowu odwiedziła pana Tetleya. Ulżyło jej, gdy dowiedziała się, że Harry jeszcze z nim nie rozmawiał, choć z drugiej strony trudno było przewidzieć, co jej mąż właściwie zamierza. Adwokat słuchał jej z powagą.

- Ależ, milady - powiedział, gdy skończyła swój wywód. - Nie mogę odmówić lordowi Portmanowi informacji, jeśli takową posiadam...

- Przecież zapewniał mnie pan, że niczego więcej nie wie.

- Nie wiem, ale gdyby jego lordowska mość przyszedł do mnie i poprosił o dokumenty związane z udziałami w spółce, nie mogę mu odmówić. Jako pani mąż ma do tego prawo.

- Wiem, ale gdyby je pan zniszczył...

- Milady, po co pani mnie o to prosi? Czyżby odkryła pani coś nowego w sprawie spółki Barnstaple Mining?

- Nie. - Zawahała się. - Mam jednak przeczucie, że gdybym coś odkryła, nie posłuży to dobremu imieniu ojca, a obawiam się...

- Myśli pani o tych sfalszowanych monetach? Przenikliwy człowiek, pomyślała.

- Tak - przyznała. - Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że te dwie sprawy są połączone.

- O ile wiem, sir Maksymilian miał za moją radą przekazać te monety urzędnikom skarbowym.

Wolała nic na ten temat nie mówić.

- To jednak nie zdejmuje winy z mojego ojca, prawda? Jestem przekonana, że został oszukany, ale nie sądzę, by ktokolwiek mi uwierzył.

Pan Tetley popatrzył na nią podejrzliwie.

- Czyli nie chce pani, abym dalej zbierał informacje o O'Keefie i spółce Barnstaple Mining?

- A zbiera je pan? - spytała zaskoczona, bo poprzednio wydawał się nie mieć na to najmniejszej ochoty.

- Tak, milady. Jeśli złamano prawo... - Wzruszył ramionami. - Trzeba się postarać, żeby przestępcy trafili w ręce wymiaru sprawiedliwości.

Usłyszawszy oświadczenie Tetleya, Rosamunda pożałowała, że przyszła. Nie dość, że nic nie wskórała, to jeszcze rozbudziła zainteresowanie adwokata. Podziękowała mu więc i wyszła. Była zdecydowana udusić Maksa gołymi rękami!

Wsiadła do powozu całkiem nieświadoma tego, że zbliżają się Harry z Ashem i że ją widzieli.

- Tu cię zostawię - powiedział nagle Harry. - Mam sprawę do załatwienia.

Ci, którym dano przywilej uczestniczenia w koronacji, musieli zająć swoje miejsca na wiele godzin przed rozpoczęciem uroczystości, więc Janet zbudziła Rosamundę bladym świtem. Podała jej filiżankę czekolady i przyniosła wodę do mycia. Mimo wczesnej godziny słychać było już ruch na ulicy.

- Dobry dzień na takie święto - oświadczyła z uśmiechem Janet, wykładając suknię.

Rosamunda miała we krwi nawyk oszczędności, więc wybrała niebieską jedwabną kreację ozdobioną atlasowymi kokardami i wstawkami z koronki. Jednak gdy pokazała ją Harry'emu, ten gwałtownie zaprotestował.

- To jest zwykła codzienna suknia - powiedział. - Widzę, że muszę iść z panią na zakupy.

Natychmiast zamówił powóz i zawiózł ją do jednej z najdroższych krawcowych w mieście. Ku zdumieniu Rosamundy, kobieta wychodziła z siebie, by zadowolić Harry'ego. Poprosiła ich, żeby usiedli, a potem zaczęła przynosić dziesiątki bel jedwabiu, atlasu, brokatu, gazy i koronki we wszystkich kolorach tęczy.

Harry dotykał ich z miną znawcy, chciał oglądać wzory i przy każdym czynił uwagi. Ten był mało twarzowy, tamten za bardzo wyszczupłał, jeszcze inny był lepszy, ale nie dość wytworny. Rosamunda słuchała tego i czuła, że kręci jej się w głowie. Ponieważ jednak bardzo chciała zadowolić Harry'ego, przystała w końcu na jego wybór.

Teraz, gdy włożyła przygotowaną przez Janet kreację, zrozumiała, że podjęła słuszną decyzję, mimo że Harry wydał nieprawdopodobnie dużo pieniędzy. Brokatową suknię z jedwabnym haftem w kolorach srebrnym, różowym, bladozielonym i błękitnym, nakładało się na atlasową halkę na rogówce. Bawet był uszyty z kremowego atlasu

zdobionego plecionką. Gdy Janet zasznurowała gorset, Rosamunda ledwie mogła odetchnąć.

- Na miłość boską, poluzuj trochę, bo zemdleję! - krzyknęła.

Janet, uśmiechając się pod nosem, spełniła życzenie pani, po czym podała jej stanik sukni będący w tym samym kolorze co spódnica. Jego kwadratowy dekolt był znacznie śmielszy niż te, do których przywykła Rosamunda, ale samopoczucie poprawiła jej chusta zarzucona na ramiona i przypięta, otrzymaną w prezencie od Harry'ego, broszką z diamentem i ametystami. Wąskie do łokci rękawy sukni kończyły się burzą ażurowych falban.

- Pięknie - szepnęła Janet. - Teraz fryzura.

Rosamunda poddała się zabiegom służącej, która zaczesła jej włosy z przodu na wełniane poduszeczki, formując kształtne loki. Resztę upięła w węzeł na czubku głowy, pozwalając, by końce wiły się swobodnie przy uszach. Całość została przybrana kwiatami z jedwabiu i piórami. Gdy przejrzała się potem w lustrze, nie była zachwycona, ale bez wątpienia fryzura odpowiadała godności lady Portman.

Wzwała atlasowe pantofelki, wzięła wachlarz i torebkę, po czym statecznym krokiem przeszła do salonu, gdzie czekał na nią Harry. Był ubrany w kremowe jedwabie. Spodnie miał przewiązane pod kolanami czerwonymi tasiemkami, a jego szustokor i kamizelkę zdobiły złote i srebrne hafty. Co niezwykle, włożył tego dnia białą perukę z trzema puklami po każdej stronie, z tyłu związaną na wielką kokardę ze wstążki. Wykonał dworski ukłon i przyjrzał jej się przez monokl:

- No no, madame - powiedział wyćwiczonym tonem fircyka i zaczął przesuwac monokl nad jej ciałem. - Pani będzie dziś olśniewać towarzystwo.

Mimo zdenerwowania roześmiała się.

- Harry, niech pan nie udaje bawidamka. Jest pan na to o wiele zbyt mądry i rozsądny.

- Och, taki mój wizerunek - odrzekł, obchodząc ją drobnymi kroczkami, by obejrzeć plecy sukni. - A dzisiaj każdy będzie nas baczenie obserwować...

- Wolę pana prywatnie - odparła.

- Naprawdę, moja droga? Bardzo mi przyjemnie. - Znowu stał przed nią, monokl zwisał mu z szyi na tasiemce. - Zachowamy to jednak dla siebie, dobrze? Co powiedziałyby towarzystwo, gdybym nagle zmienił się nie do poznania?

- Czy to miałyby jakiegokolwiek znaczenie? Nie wydaje mi się, żeby pan przywiązywał wagę do tego, co mówią o nim ludzie.

Zamyślił się. Mógł jej powiedzieć, że taki strój miał ukryć cierpienie i poczucie winy po śmierci Beth, ale od czasu, gdy zaczął współpracować z Klubem Dżentelmenów, zyskał on nowe uzasadnienie. Między wymuskany fircykiem a brudnym Gusem Housmanem nie było jednak żadnego podobieństwa.

Wyznałby prawdę, gdyby nie opowieści kuzyna o Chalmersie i spiłowanej gwinei oraz uniki pana Tetleya. Harry wiedział, że musi zgłębić tę sprawę do końca, a to znaczyło, że zostanie członkiem bandy fałszerzy. Modlił się tylko, żeby Rosamunda okazała się niewinna. Bo jeśli nie... Wolał nie myśleć o konsekwencjach.

- Ludzie mogliby uznać, że zmieniłem się pod wpływem małżeństwa - powiedział z półuśmiechem na wargach. - Na to nie możemy pozwolić, prawda?

Nie odpowiedziała, uświadomiła sobie bowiem, że jest już trzech Harrych Portmanów: stojący przed nią fircyk, czuły, troskliwy mąż i ojciec, którego znała z Bishop's Court, i podejrzany osobnik wykradający się nocami z domu i przyprawiający ją o ciarki.

- Nie... - przyznała z uśmiechem. - Rozumiem, że to byłby zabójczy cios dla pańskiej godności.

Nie odpowiedział, tylko okrył jej ramiona ciężkim aksamitnym płaszczem. Następnie sam włożył wierzchnie okrycie i podał jej ramię.

- Chodźmy, moja droga. Powóz czeka.

Tłumy ustawiające się wzdłuż trasy procesji witały entuzjastycznie każdy powóz, nawet jeśli nie znały przejeżdżających. Rosamunda nie zwracała jednak uwagi na ludzi, była bowiem spięta ze zdenerwowania.

W opactwie zaprowadzono ich na miejsca i zapowiedziano długie oczekiwanie. Wiele osób przyniosło z sobą jedzenie i napitki, a oczekiwanie na pojawienie się pary królewskiej skracano sobie konwersacją i wymianą plotek. Rosamunda z

zainteresowaniem przyglądała się barwnej ciżbie dostojników kościelnych i arystokratów, prosiła też Harry'ego, by powiedział jej, kto jest kim. Ponieważ zaś niemal o każdym Harry coś wiedział, zabawiał ją w ten sposób aż do chwili, gdy wiwaty na zewnątrz wyraźnie się nasiliły. Kilka minut później przybyła królewska para.

Przeszli główną nawą, by zająć miejsca na tronach koronacyjnych i rozpoczęło się nabożeństwo. Arcybiskup przedstawił monarchę zebrany, którzy odpowiedzieli chóralnym okrzykiem: „Niech żyje król!”. Potem złożono przysięgę. Jerzy zdjął do niej szkarłatny płaszcz i został w prostej białej tunice. Gdy zasiadł na tronie, by przyjąć namaszczenie, chór zaintonował hymn. Następnie ubrano go w złotą szatę, wręczono mu regalia, a na ceremonialną czapkę z gronostajów nałożono koronę św. Edwarda. Król powrócił na tron i przyjął hołd od poddanych w kolejności ściśle określonej przez hierarchię. Potem ukoronowano królową, a na zakończenie rozrzuciono wśród zebranych srebrne medale koronacyjne. Harry zdołał jeden z nich złapać i potem, trzymając w ręku, zastanawiał się, ile czasu minie, nim ktoś podrobi i te.

Po komunii świętej nowo koronowany monarcha i jego żona przeszli do kaplicy św. Edwarda. Król włożył tam szatę z purpurowego aksamitu, aby z jabłkiem w jednej dłoni i berłem w drugiej wyruszyć do zachodniego krańca opactwa. Uroczystość dobiegła końca i wszyscy zgromadzeni wyszli śladem procesji, by świętować dalej, każdy na swój sposób. Harry i Rosamunda wrócili do Portman House, gdzie w spokoju zjedli posiłek, choć z zewnątrz przez cały czas dobiegały ich śpiewy, wiwaty i huk sztucznych ogni. Z pozoru oboje wydawali się zadowoleni, każde miało jednak swoje sekrety, które bardzo utrudniały im rozmowę. W końcu poszli do swoich pokoiów odpocząć przed balem u lorda Trenthama.

Harry chciał jak najszybciej pokazać się wszystkim znajomym, żeby potem nikt nie zwrócił uwagi na jego nieobecność. Musiał też coś wymyślić, żeby Rosamunda nie zaczęła go szukać. Na szczęście większość dżentelmenów z Piccadilly przyszła z żonami, wkrótce więc Louise i Amy zajęły ją konwersacją. Amy rzadko przyjeżdżała do Londynu, zdecydowanie wolała wiejski dom w Norfolk, ale koronacja była tak szczególnym wydarzeniem, że razem z Jamesem przyjęli zaproszenie Jonathana i Louise i zamieszkali w Chaston Hall, kilka mil za miastem.

Muzyka zagrała i goście zaczęli łączyć się w pary. Rosamunda tańczyła z Jamesem, a Amy z Jonathanem. Harry skłonił się ekstrawagancko przed Louise i podał jej ramię. W pewnej chwili udało mu się zrobić skręt w złą stronę, czym ściągnął na siebie powszechną uwagę.

- Bardzo przepraszam, lady Leinster - powiedział głośno wysokim głosem fircyka.

- Sam nie wiem, co pochłoneło moje myśli.

Uśmiechnęła się.

- Zapewne pańska urocza małżonka.

- Naprawdę jest urocza, czyż nie? - spytał cicho.

- Czy ona wie?

- O swoim uroku? Nie sędzę. Jest zbyt skromna.

Louise wybuchnęła śmiechem.

- Och, miałam na myśli dżentelmenów z Piccadilly.

- Nie wie. To niebezpieczne.

- Ale ja wiem, podobnie jak i Amy - powiedziała.

- To co innego.

- Dlaczego?

Musiał się zastanowić, jak jej odpowiedzieć.

- Z uwagi na śmierć jej ojca - wyjaśnił pod wpływem nagłego olśnienia. - Zginął w bardzo podejrzanych okolicznościach.

- I pan je bada?

- Między innymi - dodał wymijająco.

Taniec dobiegł końca. Odprowadził Louise do Jonathana. Zatańczył jeszcze z Amy, a potem stanął z boku i przyglądał się z tolerancyjnym uśmiechem, jak Rosamunda, odprężona i roześmiana, tańczy z kilkoma młodszymi partnerami. Zerknął na zegarek. Nadszedł czas.

- Mam spotkanie - rzekł do mężczyzn stojących obok.

- Bardzo przepraszam.

Skłoniwszy się, uciekł z sali. Zerknął jeszcze, czy nikt za nim nie idzie, i szybko wszedł do pokoju przydzielonego mu przez lorda Trenthama. Znajdował się on w głębi

domu na parterze, niedaleko tylnego wyjścia. Jack Sylvester już tam czekał ze strojem Gusa Housmana.

Służący, jak zwykle, nie próbował ukryć swojego niezadowolenia. Strój był jeszcze brudniejszy i bardziej śmierdzący niż ostatnio, a jego lordowska mość nie pozwalała go wyczyścić.

- Nie wiem, po co panu włożyć się w takich łachmanach - wypowiedział stałą kwestię, otrzepując kapotę.

Harry ściągnął białą perukę i zaczął pozbywać się eleganckiego stroju.

- Mam swoje powody, Jack, a ty nie musisz ich znać - odparł ugodowo, wkładając ohydne spodnie. - Mam nadzieję, że pamiętałeś o szmince teatralnej. Nie uśmiecha mi się mazanie twarzy prawdziwym błotem.

- Pamiętałem, milordzie.

Harry skończył się przebierać, upačkał sobie twarz i ręce i włożył nieco wyskubaną brązową perukę.

- Może być? - spytał, nakrywając głowę wygniecionym kapeluszem. - O niczym chyba nie zapomniałem, jak sądzisz?

- Nie poznałaby milorda jego własna matka - rzekł Jack ze śmiertelną powagą. - Czerwone trzewiki na obcasie wydają mi się jednak trochę nie na miejscu.

- Boże!

Harry, który po wdzianiu brudnych spodni odruchowo włożył swoje balowe obuwie, szybko dokonał zmiany i zerknął na zegarek pozostawiony na stoliku razem z resztą dobytku.

- Jak późno! Nie waż się stąd ruszyć, zanim nie wrócę. Będę cię potrzebował.

Zostawił Jacka, wydającego pomruki niezadowolenia, i wyjrzał na korytarz, żeby sprawdzić, czy droga jest wolna. Wkrótce znalazł się na Piccadilly. Odetchnął z ulgą, widząc faeton Asha przed domem admirała. Co niezwykle, nikt go nie pilnował. Natychmiast wczuł się w rolę i ukradkiem podszedł do powozu. Na ulicy wciąż był ruch. Mijali go, i piesi, i lektyki, prowadzone przez chłopców z pochodniami, z dala nadjeżdżały dwie bryczki.

Przechylony przez burzę szperał w powozie, gdy pojawił się Ash. Nie było rady, Ash musiał złapać złodzieja.

- Spóźniłeś się - syknął, gdy pozorowali szarpaninę. - I co mam teraz zrobić?
- Przewróć się, kiedy będziesz mnie gonił!

Ash usłuchał, ale inni też widzieli rabunek i rzucili się w pościg. Tego plan Harry'ego nie przewidywał, ale nie pozostało mu nic innego, jak gnać ile sił w nogach. Jeden z mężczyzn dopadł go jednak i powalił twarzą na bruk. Desperacja dodała Harry'emu sił, więc po krótkiej walce zdołał się wyswobodzić, zerwać z ziemi i uciec. Stracił w tej potyczce tylko chustkę w grochy. Jego niedawny przeciwnik zawrócił do Asha, który gromadził wokół siebie świadków i głośno lamentował z powodu straconej sakiewki.

Harry nie mógł wrócić do domu lorda Trenthama, póki nie upewnił się, że nikt go nie goni. Skręcił w Tyburn Lane i zaryzykował spojrzenie za siebie.

Pusto.

Jeszcze jeden skręt, by znaleźć się przy stajniach lorda Trenthama. Wkrótce wślizgnął się do domu i spotkał z Jackiem.

- Co się milordowi stało? - spytał służący, wyraźnie wstrząśnięty jego wyglądem.

Harry był tak zasapany, że musiał usiąść, i dopiero po chwili odpowiedział:

- Nic ważnego.

- Omal pana nie złapali, prawda? - powiedział Jack. - Wiedziałem, że z tego nic dobrego nie będzie.

- Z czego? - spytał Harry, ściągając kapotę. Nagle zauważył na niej krew. - Skąd to się wzięło?

- Z nosa milorda. Milord wygląda, jakby się bił. - Jack westchnął i zamoczył szmatę w misce z wodą, przygotowaną do zmycia szminki, po czym zaczął tamować krew. - Założę się, że chodziło o zakład. Mam nadzieję, że było warto, chociaż nie dałbym złamanego szylinga za to, co powie lady Portman, kiedy milorda zobaczy.

- Au! Boli...

- Muszę usunąć krew, milordzie, i zmyć tę brązową szminkę, ale trzeba będzie użyć jaśniejszej, żeby przykryć siniak. Zakładam, że milord chce wrócić do towarzystwa.

- Naturalnie. - Odsunął służącego i przejrzał się w ręcznym lusterku, które miał w swoim pudełku z przyborami do charakteryzacji. - Wielki Boże, nie wiedziałem, że jest aż tak źle. - Ostrożnie pomacał czubek nosa. - Takie są skutki, kiedy człowiek nie patrzy, dokąd idzie, i wpada na drzwi.

- Niemożliwe... - powiedział ironicznie Jack, podając mu szminkę.

Harry mógł go za to surowo skarcić, zajęty maskowaniem siniaka, uznał jednak, że nie warto. Skończywszy, zdjął resztę garderoby Housmana i ubrał się znowu w zniewieściały strój lorda Portmana. Włosy schował pod peruką i wzuł czerwone trzewiki. Zegarek schował do kieszonki kamizelki, zawiesił monokl na szyi i wsunął pierścienie na palce. Tak odświeżony zostawił Jacka, żeby złożył łachmany i zabrał wszystko do Portman House.

- Dokąd poszedł Harry? - spytał Francis, prowadząc Rosamundę wzdłuż podwójnego rzędu tancerzy. - Już panią porzucił, prawda?

- Gdzieś tu jest. Nie dalej jak dwie minuty temu widziałam go na parkiecie. - Minęło od tej pory na pewno więcej niż dwie minuty, ale Rosamunda nie zamierzała wyjawiać Francisowi, że nurtuje ją dokładnie to samo pytanie. - Może poszedł pograć w karty.

- No tak - powiedział Francis z mydlakowatym uśmiechem. - On lubi hazard.

Dlaczego wszystko, co mówił kuzyn Harry'ego, brzmiało tak, jakby było aluzją? Rosamunda nie mogła tego dociec.

- Nie różni się pod tym względem od innych mężczyzn. Mam nadzieję, że za dużo nie ryzykuje.

- Och, ryzykuje, i to bardzo - odparł enigmatycznie Francis.

- Nie bardzo rozumiem, co miałby ryzykować.

- Nie? - Cofnął się i przeszedł wzdłuż podwójnej linii tancerzy aż na jej czoło, gdzie ponownie spotkał Rosamundę. Skłonił się i ujął ją za rękę. Razem weszli pod arkadę z wyciągniętych ramion. - Małżeństwo z panią było wielkim ryzykiem, a mieszanie się do pani spraw jeszcze większym - powiedział tak cicho, żeby tylko ona mogła usłyszeć.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Wszystko przez to zamiłowanie do aktorstwa, które tak go pochłaniało, zanim odziedziczył spadek. Zdaje mu się, że jest drugim Davidem Garrickiem. Nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby ograniczył grę do sceny, ale on uwielbia się przebierać w szmaty i zadawać z podejrzanym towarzystwem w domach uciech.

- Jestem pewna, że pan się myli - rzekła, mając przed oczami Harry'ego wymykającego się z domu. Była już pewna, że to wszystko ma coś wspólnego z jej ojcem, spółką górniczą, Maksem i zmniejszonymi monetami.

- Sam go widziałem. Zabawne, że akurat niedługo po tym, jak pani brat dał mi złą gwineę.

- Przecież pan wie, że to było nieporozumienie.

Chciała, by jej słowa zabrzmiały przekonująco, ale nie miała pewności, czy jej się udało.

- Och, bez wątplenia nieporozumienie - rzekł beztrąsko.

- Nawet wielkie nieporozumienie.

Urwał nagle, okazało się bowiem, że na końcu rzędu czeka na nich Harry.

- Włączam się do tańca - oznajmił Francisowi i wyciągnął ręce do Rosamundy. - Znajdź sobie inne zajęcie - polecił kuzynowi.

Francis wycofał się pokonany.

- Milordzie... - powiedziała, wykonując kolejne kroki. - To było nieuprzejme.

Powtórzył jej kroki.

- Jestem przekonany, że Frank opowiadał pani same banialuki.

- Nie zwracałam uwagi na to, co mówi - odparła.

- To dobrze.

Taniec się skończył, więc Harry skłonił się przed partnerką, a ona dygnęła. Jednak gdy wyciągnął do niej rękę, by pomóc jej wstać, spojrzała na jego twarz i zauważyła spuchnięty nos.

- Harry, co się stało?

- Coś się stało, moja droga? No tak, zatańczyłem z panią. Wiem, że nie wypada tańczyć z własną żoną, ale nie obchodzi mnie zwyczaj, skoro mam taką żonę, że cały Londyn jest zielony z zazdrości.

Zeszli z parkietu i stanęli pod ścianą.

- Powiedziała coś niemądrego - przyznała zachwycona komplementem. - Nie miałam takiego zamiaru.

- Tak? - spytał, unosząc brew.

- Wygląda pan tak, jakby się bił - szepnęła.

- Bił się, moja droga? Ja? - Udał zaskoczenie. - Jestem największym tchórzem świata. Poza tym zniszczyłbym sobie ubranie.

Rzeczywiście, strój miał nieskazitelny.

- Ma pan spuchnięty nos i wydaje mi się, że widzę siniaka.

- Ach, to - powiedział nonszalancko. - Byłem nieostrożny i wpadłem na drzwi. Pewnie trochę za dużo wypilem.

Nie uwierzyła mu, ale kłamcą nazwać nie mogła. Była jednak pewna, że coś zaszło pod jego nieobecność. Towarzystwo było zbyt zajęte sobą, ale ona po prostu za nim zateęskniła. Nieobecność Harry'ego nie niepokoiła jej, dopóki Francis Portman nie zaczął karmić jej niepewności insynuacjami. A teraz ten rozbity nos! - pomyślała.

- Może powinniśmy wrócić do domu, zanim inni też to zauważą - zaproponowała. - Natrę to stłuczenie maścią. Nie może pan chodzić po sali balowej, wyglądając tak, jakby miał za sobą walkę bokserską, i w dodatku przegraną!

- Gdybym walczył, nie przegrałbym na pewno - zażartował. - Ma pani jednak rację, przepróśmy gospodarzy i jedźmy do domu.

Gdy żegnali się z lordem Trenthamem i jego żoną, posłano po powóz. James i Jonathan udawali, że wierzą w historię o drzwiach, i naigrawali się bezlitośnie. Harry z ulgą ich opuścił.

Wracali do domu w milczeniu. Rosamunda, zafrasowana, wciąż zadawała sobie pytania, skąd u Harry'ego wziął się ten siniak i rozbity nos oraz co miał na myśli Francis, mówiąc o wtrącaniu się Harry'ego do jej spraw? Czyżby Maks był tak głupi, by wyjawić mu prawdę o monetach?

Po przyjeździe do domu Harry chciał iść prosto do swoich pokojów, ale Rosamunda chwyciła go za rękę i zaprowadziła do buduaru, gdzie niemal siłą posadziła na krześle.

- Proszę chwilę poczekać, zaraz znajdę maść. Moja matka używała jej na wszystkie skaleczenia i rany Maksa. Robię ją według oryginalnej receptury i wszędzie zabieram ze sobą.

- Nie ma potrzeby - powiedział, przyglądając się, jak podchodzi do toaletki, moczy i wyżyma szmatkę, a potem wyjmuje słoiczek. - To drobiazg, do rana ślad zniknie.

- Przeciwnie, dopiero się powiększa. Przedtem siniak był ledwie widoczny, teraz jest już ciemniejszy. Musiał pan dosłownie staranować te drzwi. - Zaczęła delikatnymi dotknięciami obmywać wrażliwe miejsce. Szmatka zabarwiła się szminką. - Och, Harry, czy pan musi stosować to paskudztwo? Jest zupełnie niepotrzebne. Pan ma bardzo ładną cerę.

- Za ładną - odparł z uśmiechem. - W modzie jest bladość.

- Co mnie obchodzi moda? W Bishop's Court pan się tak nie tapetuje...

- To co innego.

- Wolę pana bez tych upiększeń.

- Naprawdę, moja droga? - spytał cicho.

- Tak. - Ostrożnie rozsmarowała mu maść na nosie. Gdy zbliżyła dłoń do jego ust, chwycił ją wargami za palec. Zaskoczona cofnęła dłoń. - Harry, nie mogę pana opatrzeć, jeśli pan nie będzie grzeczny.

- Nie jestem pewien, czy wiem, co to znaczy... - Objął ją ramieniem w talii i posadził na kolanie.

Słoiczek wypadł jej z ręki. Usłyszała brzęk szkła, ale nie mogła nic na to poradzić. Harry już ją całował. Wszystkie jej troski nagle uleciały. A jednak mnie pragnie, pomyślała. Serce jej drgnęło, wypełnione nadzieją.

Nagle Harry zadrżał i jakby zbudził się z głębokiego snu. Wstał i postawił ją na podłodze. Znowu przykre rozczarowanie!

- Dziękuję pani za maść, moja droga - powiedział. - Rano będę jak nowy.

Cmoknął ją w czoło i znikł, zostawiając we łzach. Znowu stali się sobie obcy, ale tym razem Rosamunda postanowiła coś z tym zrobić.

Harry ledwie dowlókł się do swoich pokoi. Musiał być bardziej pijany, niż mu się zdawało. Boże, westchnął, omal nie uległem pokusie. Rosamunda tak zachęcająco

rozchyłała wargi, kiedy na niego patrzyła. Ile razy znajdowali się sam na sam, czuł, jak dręczy go pragnienie, którego nie mógł zaspokoić.

Najpierw należało wyjaśnić sprawę z O'Keefe'em. Czy była to tylko naiwność ojca Rosamundy? Tak twierdził pan Tetley. Harry nawet uwierzyłby mu, gdyby adwokat nie wspomniał, że wśród rzeczy zmarłego znaleziono woreczek ze spiłowanymi monetami. Według Tetleya Maks przekazał go urzędnikom skarbowym, ale Harry co do tego miał wątpliwości. Musiał zachować otwarty umysł, żeby nie tylko rozwikłać tę sprawę, lecz również zapewnić żonie bezpieczeństwo.

Następnego ranka zbudził się bardzo wcześnie, a ponieważ nie mógł jeszcze nikomu złożyć wizyty, zabrał ze stajni konia i pogalopował przed siebie. Potem, zamiast wrócić do domu, postanowił odwiedzić Asha w jego kawalerskich apartamentach na Lincoln's Inn Fields.

Ash, który srodze cierpiał wskutek nadmiernej ilości trunków spożytych na przyjęciu u admirała, powitał go w pikowanym szlafroku i z kompresem na czole. Zaproponował wczesnemu gościowi filiżankę kawy i obaj usiedli, by omówić sytuację.

- Narobiłem takiego hałasu, że całe miasto powinno o tym mówić - powiedział Ash. - Według świadków omal nie złapałem cię na gorącym uczynku, ale jesteś oślizgły jak węgorz i zdołałeś się wymknąć, mimo że ściagała cię połowa mieszkańców Londynu. To zabawne, jak ludzie ubarwią, opowiadając między sobą. - Z zainteresowaniem przyjrzał się nosowi przyjaciela. Siniak był wyraźnie widoczny, fioletowy, czerwony i żółty w zależności od miejsca. - To nie moja robota, prawda?

- Nie. Gonił mnie chłopak noszący pochodnię przed lektyką. Przewrócił mnie na bruk, niech go diabli.

- Jak wyjaśniłeś to swojej uroczej żonie?

- Wpadłem na drzwi po pijanemu. Ash parsknął śmiechem.

- Ty pijany? Nigdy nie spotkałem człowieka, który ma mocniejszą głowę. Uwierzyła ci?

- Nie jestem pewien...

- Mam szczerą nadzieję, że ostatni raz robisz coś takiego. Omal cię nie złapano. Jamesowi nie spodobałoby się to na pewno. Wiesz, że jest zwolennikiem skrupulatnego

trzymania się prawa. Nie byłby szczęśliwy, gdyby musiał cię bronić i do tego przyznać, że pracowałeś dla Klubu Dżentelmenów z Piccadilly. To źle wpłynęłoby na naszą opinię w towarzystwie.

- Wiem i nie prosiłbym go o coś takiego. Nie pomogłoby to zresztą w złapaniu fałszerzy.

- I co dalej?

- Idę z powrotem do Nag's Head. Mam nadzieję, że tym razem zabiorą mnie na farmę.

- Pójdę z tobą.

- Nie. Muszę być sam. Możesz jednak iść za mną i obserwować na wypadek, gdyby coś ułożyło się nie po mojej myśli. - Na chwilę zamilkł. - Trzymaj się jednak z dala ode mnie i nie mieszaj bez wyraźnego sygnału.

- Nie zdołasz sam jeden wszystkich aresztować.

- Nawet nie zamierzam próbować. Aresztowanie ludzi jest zadaniem dla detektywów z Bow Street, poza tym nie chcę ujawnić swojego przebrania. Jest za wygodne i może się jeszcze kiedyś przydać. Kiedy znajdę tę farmę i przekażę wiadomość sir Johnowi Fieldingowi, wywiążę się ze swojego zadania.

Wtedy będziesz mógł wreszcie skupić się na swoich małżeńskich problemach.

- A skoro mowa o przebraniu... - powiedział znowu Harry. - Nie mogłem wyjść w dzień z Portman House jako Gus Housman, więc przywiozłem tu jego ubiór. Byłbym ci wdzięczny, gdybym mógł się gdzieś przebrać.

Ash parsknął śmiechem.

- Mógłbyś wzbudzić niemałe zdziwienie. Poślę służącego do krawca po odbiór kamizelki, a ty tymczasem przebierzesz się w mojej garderobie.

Wkrótce Harry wyłonił się z garderoby zmieniony nie do poznania. Brakowało mu tylko chustki w grochy, która jednak spełniła już swoje zadanie i nie była więcej potrzebna. Mocniej nacisnął zatłuszczony kapelusz na głowę i wrócił do Asha, który tymczasem ubrał się w mundur oficera marynarki.

- W dzień wyglądasz jeszcze bardziej odrażająco - powiedział Ash, marszcząc nos.

- I bardzo dobrze. - Harry nasypał sobie do kieszeni drobnych monet, które przywiózł z sobą. - Lepiej już pójde.

- Zostaw konia w moich stajniach - zaproponował Ash. Nie wolno nam powtórzyć poprzedniego błędu, bo ktoś mógłby tym razem nas rozpoznać.

- Konia? - zaśmiał się Harry. - Gusa Housmana nie stać na konia. On chodzi piechotą. Nie zaszkodzi jednak, gdybyś miał Hectora pod ręką. Na wypadek, gdyby konieczny był szybki odwrót.

O'Keefe czekał na niego tam, gdzie zwykle. Na stole przed nim stał kufel. Bez pośpiechu popijał piwo i czekał, aż jego kompani ustalą, czy za Housmanem nikt nie idzie. Dopiero potem pozwolono Harry'emu się do niego zbliżyć.

- Omal cię nie capnęli, co? - zarechotał, widząc jego twarz. - Słyszałem, słyszałem. Dobrze ci tak. To kara za pracę w pojedynkę.

Harry dotknął nosa i usiadł na ławie naprzeciwko O'Keefe'a.

- Lubię tak pracować.

- I co mi przyniosłeś?

Harry opróżnił jedną z kieszeni. Miał w niej półgwinee, szylingi i sześciopensówki, a także kilka miedziaków. O'Keefe wziął je od niego i wszystkie uważnie zbadał, przygryzając poczerńiałymi zębami.

- W porządku - powiedział i schował monety do skórzanej sakiewki przy pasie. - Ale prosiłem cię i o złote krążki.

Harry włożył rękę do drugiej kieszeni i wyciągnął sakiewkę, która przy poruszeniu metalicznie brzęczała.

- Tu jest pięćdziesiąt, ale nie za darmo.

- Mógłbym ci zabrać.

- Mógłbyś - przyznał Harry i popadł w zadumę. - Ale nie zabierzesz, prawda? Za dużo wiem.

To było ryzykowne. Te draby mogły go zabić bez mrugnięcia okiem. Nie sądził jednak, by spróbowali tego w biały dzień w szynku. Poza tym miał nadzieję, że Ash jest niedaleko.

- Prawda - powiedział O'Keefe i dopił piwo. - No, to w drogę.

Harry wyszedł za nim z szynku. Wkrótce dotarli nad rzekę, gdzie nędzarze zwani srokami błotnymi brodzili na bosaka w przybrzeżnym szlamie i zbierali rupiecie niesione przez rzekę, takie jak kawałki drewna lub węgla. Sprzedawali potem swoje zdobycze za kilka pensów, żeby mieć na jedzenie.

Tamiza to ważna dla Londynu rzeka, a ruch na wodzie zawsze jest duży. Pływają tędy wychodzące w morze statki handlowe, mniejsze łodzie żaglowe, barki i dziesiątki łodzi wiosłowych.

O'Keefe zszedł na brzeg, gdzie dwaj mężczyźni siedzieli w łodzi wsparci na wiosłach. Widząc nadchodzącego przywódcę, wystawili wiosła za burtę i zaczęli spychać łódź. O'Keefe wsiadł i dał znak Harry'emu, żeby do niego dołączył.

Portman nie spodziewał się podróży łodzią. Jeżeli Asha nie było w tej chwili w pobliżu, łatwo mógł ich zgubić. Tymczasem dwaj wiosłarze, korzystając z morskiego przypływu i cofki, zaczęli płynąć w górę rzeki. Harry udawał, że nic go nie obchodzi, jednak leniwie śledził zabudowania na brzegu, licząc na to, że zauważy Asha. Niestety, przyjaciela nigdzie nie było. Harry wiedział, że jest zdany wyłącznie na własne siły.

- Ten obwieś znowu napadł - powiedziała Janet, pomagając się ubrać swojej pani.

Na dworze rozpoczynał się kolejny słoneczny dzień, ale w sercu Rosamundy słońca nie było. Wciąż zamartwiała się o Harry'ego i swoją przyszłość.

- Jaki obwieś? - spytała od niechcienia.

- No, ten zbójca, który obrabował jego lordowską mość na wrzosowisku. Znowu się pojawił, tym razem w Londynie. Wczoraj wieczorem, kiedy na ulicach pełno było świętujących ludzi. Napadł sir Ashleya Saundersa.

- Kto ci to powiedział? - spytała Rosamunda, nagle znacznie bardziej czujna.

- Pani West, która przychodzi u nas prac. Słyszała to od swojego syna, który niósł wczoraj pochodnię przed lektyką na Piccadilly. Nawet gonił tego draba i go przewrócił, ale tamten uciekł.

Rosamunda mimo woli pomyślała o Harrym wykradającym się z domu w środku nocy w obrzydliwych łachmanach, ale przecież poprzedniego wieczoru był razem z nią w Trentham House wystrojony jak lew salonowy, za którego wszyscy go mieli. Tylko dlaczego Harry miałby kogoś napaść, a zwłaszcza swojego przyjaciela?

- Skąd wiesz, że to ten sam człowiek? - spytała. - Przecież to mógł być każdy rzezimieszek.

- Z opisu - powiedziała służąca. - To samo ubranie i ta sama chustka w kropki. Chustkę ma teraz straż. Strażników naturalnie nigdy nie ma tam, gdzie najbardziej potrzeba, ale jeśli ten obwieś dalej będzie napadał, wkrótce go złapią. Tak powiedział jego lordowska mość.

- Jego lordowska mość? - zainteresowała się Rosamunda. - Kiedy z tobą o tym rozmawiał?

- Przyszedł do kuchni poprosić o wczesne śniadanie, a kiedy kucharka mu powtórzyła, o czym rozmawialiśmy, powiedział, żeby się nie obawiać, ale na wszelki wypadek uważać i nie wychodzić z domu w pojedynkę.

Ciekawe, dlaczego Harry wstał wcześniej i wyszedł, zastanowiła się. Czy on w ogóle nie potrzebuje snu?

- Czy jego lordowska mość powiedział, kiedy wróci?

- Nie, milady.

- W co był ubrany?

- Jak to? W strój do jazdy konnej. Wziął konia.

Odetchnęła. Zadała głupie pytanie. Jej mąż za nic nie wyszedłby w dzień ubrany jak włóczęga. Dokąd jednak się wybrał? Po co te wszystkie sekrety?

Ostatnią osobą, którą podejrzewałaby o wiedzę na ten temat, był Francis Portman. Młody człowiek przyszedł z wizytą w chwili, gdy Rosamunda usiłowała zdecydować, czy wpaść na chwilę do lady Trentham, aby podziękować za gościnę poprzedniego wieczoru, czy poczekać z tym na Harry'ego, by jej towarzyszył. Francis był niezwykle ugrzeczny, ale gdy tylko wszedł do saloniku, Rosamunda wyczuła, że omal nie pęknie z niecierpliwości.

- To dość wczesna pora na wizyty - powiedziała na powitanie. - Poza tym przykro mi, ale jego lordowskiej mości nie ma w domu.

- Wiem - odparł z nieukrywaną satysfakcją. Nie skorzystał z krzesła, które mu wskazała, lecz stanął tuż przed nią. - Moim zdaniem zaplątał się w takie kłopoty, z których łatwo się nie wyplącze.

- O czym pan mówi? - Zacisnęła dłonie na fałdach spódnicy, żeby trochę opanować ogarniające ją przerażenie. - Co się stało?

- Widziałem go niecałe pół godziny temu z bardzo podejrzanym osobnikiem w szynku Nag's Head. Wręczył tamtemu stosik monet, a potem razem wyszli.

- Mówi pan stosik monet? - odrzekła, z trudem ukrywając zaniepokojenie. - Chce pan powiedzieć „gwinei”?

- Nie widziałem, stałem za daleko, ale to możliwe. Jeśli pani nie chce, żeby jej męża powieszono za zdradę stanu, niech pani lepiej szybko coś z tym zrobi. W końcu wpakował się w te kłopoty z jej powodu.

- Z mojego powodu? - powtórzyła, choć obawiała się, że kuzyn Francis ma rację.

- Tak. On zawsze był wrażliwy na damy w kłopotach. Czuje się kimś w rodzaju błędnego rycerza, ale nigdy nie sądziłem, że posunie się w tym tak daleko, by jedną z tych dam poślubić. Naturalnie mógłbym pozwolić mu samemu wypić to piwo, którego nawarzył. Jeśli on zawiśnie, to ja będę dziedziczył. Mam jednak wzgląd na dobro rodziny.

Jej stanowcze postanowienie, by nie dawać posłuchu oszczerstwom kuzyna, nagle zupełnie się załamało.

- Czy pan wie, dokąd poszedł z tym człowiekiem?

- Tak. Słyszałem tego osobnika, jak rozmawia z kompanami, zanim Harry nadszedł. Wspomniał coś o łodzi do Chiswick. - Urwał, żeby ocenić, jaki efekt wywarł tą informacją. Rosamunda pobladła, a Francis uśmiechnął się z satysfakcją. - Jeśli się pospieszymy i pojedziemy do Chiswick konno, dotrzemy tam przed łodzią. Rzeka jest kręta.

Nie zapytała go nawet, co zrobią ani dlaczego jego zdaniem to ona może Harry'ego ocalić. Myśl o tym, że jej mąż jest w towarzystwie przestępców, całkiem odebrała jej rozsądek. Była gotowa zrobić wszystko, byle mu pomóc. Wstała.

- Pójdę się przebrać. Proszę iść do stajni i polecić, żeby osiodłano moją klacz, dobrze?

- Z przyjemnością. - W pół drogi do drzwi jednak przystanął. - I proszę nie ubierać się zbyt elegancko. Chyba nie chce pani narobić Harry'emu kłopotów?

Dziesięć minut później siedziała w siodle, ubrana w starą, wypłowiałą suknię. Zamierzała wyrzucić te ubrania zaraz po ślubie, ale zachowała je na wypadek, gdyby Harry zachciał odesłać ją do rodziny i anulować małżeństwo.

Jechali najszybciej, jak mogli, ale na drodze panował duży ruch. Spotykali wozy, wózki, bryczki, powozy i lektyki, przekupniów ze straganami na kółkach, dzieci toczące przed sobą obręcze, psy biegające bez ładu i składu, a raz czy dwa nawet krowę pędzoną do Green Parku.

Rosamunda wiedziała, że muszą zdążyć do Chiswick przed łodzią. Nie miała tylko pojęcia, co zrobią dalej. Wszystko zależało od Harry'ego.

TLR

Rozdział dziesiąty

Łódź przepłynęła pod mostem Westminsterem, zabudowa na brzegu stała się rzadsza, a bardziej okazałe budynki były otoczone ogrodami, schodzącymi nad samą wodę. Kiedy mijali chaty rybackie i gospodarstwa produkujące warzywa i owoce na sprzedaż, cofka przestała im pomagać.

- Jak daleko jeszcze? - zapytał Harry, przerywając ciszę.

- O nic nie pytaj, niedługo sam zobaczysz - odpowiedział O'Keefe.

Harry zamilkł. Zastanawiał się, czy nie zostanie za chwilę zabity dla pełnej monety sakiewki. Gdyby wrzucili jego ciało do rzeki, odnaleziono by je po wielu dniach a nawet tygodniach i powiększyłyby liczbę niezidentyfikowanych ofiar, wylawianych codziennie ze szlamu Tamizy. Rosamunda zostałaby piękną i bardzo bogatą wdową, więc zalecaliby się do niej wszyscy kawalerowie i wdowcy w całym królestwie. A ten idiota Francis odziedziczyłby majątek.

Opanował gonitwę myśli. Wciąż żył i robił wszystko, by nie dopuścić do ponurego końca. Zaczął obmyślać plan. Tymczasem pokonali kolejny zakręt rzeki i znaleźli się w pobliżu wsi Chiswick. Minęli wieśniaków zbierających trzciny i przybili do pomostu na północnym brzegu rzeki. O'Keefe z Harrym wysiedli, a łódź odpłynęła.

O'Keefe przeprowadził go przez wieś i wyszedł na drogę.

Harry usiłował odgadnąć, czy rzeczywiście są już niedaleko farmy, czy dał się zwieść. Zastanawiał się nawet, czy nie uciec, co na ruchliwej drodze nie byłoby trudne, uznał jednak, że niepotrzebnie zniweczyłby miesiące pracy. Skoro zaszedł tak daleko, nie było odwrotu.

Wyszli na tyły zajazdu, gdzie na podwórzu stał staroświecki powóz, zaprzężony w parę kiepsko dobranych koni. Wkrótce z wnętrza wyszli Job Smithall i Thomas Quinn z kuflami w dłoni.

- Nie ma czasu na picie - powiedział O'Keefe. - Wylejcie to chłopcy. Tom, powozisz.

Quinn przełknął resztę piwa, odstawił kufel na parapet okna i wspiał się na kozioł. O'Keefe, Smithall i Harry wsiedli do pudła. Dwie minuty później pojazd toczył się na

zachód. Tę drogę Harry doskonale znał, jechał nią mnóstwo razy w obie strony, podróżując między Bishop's Court a Londynem. Żałował, że nie ma żadnego sposobu, by dać o tym znać Ashowi. O'Keefe wyraźnie bardzo się starał, by nikt za nimi nie jechał.

Nie zajechali daleko, gdy O'Keefe otworzył sakiewkę i podał Smithallowi garść drobnych, które dostał od Harry'ego jako resztę z przyciętych gwinei.

- Myślisz, że to dobra zapłata za naszą pracę? - spytał.

Smithall przeliczył pieniądze. Harry nie zwracał na nich uwagi, przez cały czas wyglądał przez okno i starał się zorientować, którądy jadą.

- Wystarczy - oznajmił Smithall, zwracając mu pieniądze.

- W porządku. On ma jeszcze przy sobie pięćdziesiąt złotych krążków. Da je nam, kiedy dojedziemy.

- Pozwolisz mi popatrzeć, jak pracujemy? Czy to nie za duże ryzyko?

- Nie, bo on nie będzie miał pojęcia, gdzie jest. - Wysunął głowę przez okno i krzyknął do powożącego: - Zatrzymaj przed skrzyżowaniem.

Przystanęli przed wjazdem na podwórze farmy. O'Keefe zeskoczył na ziemię i pokazał Harry'emu, by zrobił to samo. Harry rozejrzał się dookoła. Trudno mu było uwierzyć, że na tej farmie odbywa się fałszowanie pieniędzy. Była za blisko ruchliwej drogi, którą zresztą Harry znał jak własną kieszeń. Na skrzyżowaniu przed nimi można było skręcić do Hounslow w jedną stronę i do Bishop's Court w drugą. Był niecałe pięć mil od domu. Czyżby fałszerze odkryli jego tożsamość? Może chcieli go zawieźć do Bishop's Court i narobić tam zamieszania? W majątku była teraz tylko Annabelle pod opieką panny Gunstock i garstka służby dla ochrony. Pierwszy raz Harry zrozumiał, co to znaczy spocić się ze strachu.

- Job, przynieś jakiś mocny sznur - polecił O'Keefe.

Smithall wyciągnął z kosza powozu kawałek liny, którym skrepowali Harry'emu ręce za plecami.

- Po co to robicie? - spytał zirytowany. - Nie przyjechałem tutaj uciekać.

- Nie, ale nie chcemy, żebyś zobaczył więcej, niż powinienes. Zasłonimy ci teraz oczy. - Z tymi słowami zdjął z szyi czarną chustkę. Obwiązawszy nią głowę Harry'ego, dźgnął go w plecy. - Wsiadaj z powrotem do powozu.

Harry wykonał polecenie i znów ruszyli. Nie mógł już obserwować, więc siedział w kącie i wytyczał słuch, usiłował też zachować poczucie kierunku. Musiał wiedzieć, dokąd jada, jeśli miał potem wskazać to miejsce detektywom z Bow Street.

Konie zwolniły. Wyczuł, że skręcają na Hounslow i będą jechać przez wrzosowisko. Po chwili powóz znowu skręcił i zaczął jeszcze bardziej podskakiwać na wybojach. Harry usłyszał wściekłe ujadanie psa i poczuł zapachy gospodarstwa. Zdawało mu się, że słyszy również płacz dziecka i rugającą je kobietę, ale przejechali dalej. Po kilkudziesięciu minutach przystanęli.

O'Keefe zeskoczył na ziemię.

- Wyłaż - zawołał i chwycił Harry'ego za ramię.

- Dobra - powiedział, niezgrabnie opuszczając powóz. - Rozwiążcie mnie. Przecież nie widzę, dokąd idę.

- Jest tak, jak ma być - odparł O'Keefe. Opuść głowę, drzwi są niskie. - Pchnął Harry'ego przed siebie i znaleźli się w budynku. Wewnątrz było nieznośnie duszno i gorąco. Falszerze rozwiązali mu ręce i zdjęli opaskę z oczu. Nie zdziwiło go, że znajduje się w kuźni, zdębiał jednak całkowicie, gdy ujrzał przed sobą Alfreda Chappella. Byli na farmie Feltham!

Wiedział, że przywieźliby go tutaj, gdyby falszerze znali jego tożsamość. Teraz musiał wznieść się na wyżyny swoich umiejętności aktorskich. Był chciwym i ciekawskim Gusem Housmanem. Rozejrzał się dookoła z nieukrywanym zainteresowaniem. Kuźnię urządzono w dawnej stodole. W ceglany palenisku buzował ogień. Stał na nim kocioł, w którym bulgotała ciecz. W pomieszczeniu było też kilka stołów, a każdy służył do innego procesu: wybijania wzoru, wypłowywania ząbków, cyzelowania. Na stole ustawionym najbliżej paleniska Bert Ironside przygotowywał formy na stopione złoto. Przy innym stole siedział mężczyzna, w którym Harry poznał brata Alfreda, Boba. Przycinał on prawdziwe gwinee i zbierał skrawki do naczynia. Widać było, że pracuje w wielkim skupieniu, ale po wejściu Harry'ego podniósł głowę.

- Alf, Bob, to jest Gus Housman, o którym wam opowiadałem - powiedział O'Keefe. - Chce dostarczać nam surowiec, jeśli dopuścimy go do udziału. - Zwrócił się do Harry'ego. - Alf jest tu szefem, a Bob to jego brat.

- Uszanowanie - powiedział Harry.

- Nikt was nie śledził? - spytał Alf na powitanie.

- Na pewno nie. Obserwowałem drogę, a on przez ostatnie pięć mil miał zasłonięte oczy.

- Chciałeś obejrzeć, jak to robimy - odezwał się Alf. - Nie każdemu to pokazujemy, więc chyba jesteś zadowolony?

Harry wydał wieloznaczne mruknięcie. Tymczasem Thomas Quinn pomógł Ironside'owi przelać złoto do form. Obok leżały matryce z wzorami monet.

- Skąd macie matryce? - spytał, podchodząc bliżej, by jedną dokładnie obejrzeć.

- Tu obecny Thomas pracował kiedyś w mennicy - wyjaśnił O'Keefe. - Są autentyczne.

- Gdzie są złote krążki? - Bob wstał ze swojego miejsca i podszedł do Harry'ego. - Przydałyby się, bo właśnie zużyłem ostatnie. Ile masz?

- Pięćdziesiąt.

- No, to dawaj. - Bob wyciągnął rękę.

- Najpierw chcę wejść do spółki - powiedział Harry.

- Za głupie pięćdziesiąt gwinei! Chyba żartujesz?

- Nie za pięćdziesiąt. Dałem wam więcej, kiedy zatrzymałem powóz lorda Portmana. Było prawie sto gwinei i trochę drobnicy. Mogę dostarczyć więcej.

- Lorda Portmana?! - O'Keefe radośnie parsknął. - Omal nie pękłem ze śmiechu, kiedy to zobaczyłem. Ucieszne, słowo daję.

- Co takiego dziwnego jest w Portmanie? - spytał Harry szczerze zainteresowany. - Nie różni się specjalnie od innych arystokratów. Tyle że z niego kawał tchórza. Łatwy cel.

Bob Chappell roześmiał się.

- Jego lordowska mość od wielu lat regularnie dostarcza nam surowca. Co miesiąc pięć gwinei. Zsikałby się ze złości, gdyby o tym wiedział.

- Jak to? - spytał Harry, choć naturalnie doskonale znał odpowiedź.

- Na utrzymanie jego bachora. Jemu się wydaje, że na wykarmienie takiego chuchra potrzeba pięć gwinei miesięcznie!

Alf Chappell chrząknął.

- Szkoda, że tej małej już nie ma. Zabrała ją nowa żona.

- Ciekaw jestem, czy on wie, z kim się ożenił - powiedział O'Keefe. - Ona pewnie byłaby gotowa sporo zapłacić za to, żeby się nie dowiedział.

- Co? - spytał Harry, omal nie zapominając, że jest w tej chwili Gusem. Szybko jednak dodał z charakterystycznym akcentem: - Macie coś na nią?

- Nie twoja sprawa.

Harry miał szczerą nadzieję, że jeśli fałszerze spróbują szantażu, Rosamunda nie będzie im potulnie płacić, tylko zwróci się do męża. Zależało to jednak od tego, co ukrywała.

Tymczasem O'Keefe opróżnił kieszenie z drobniaków i usypał z nich stertę przed Alfem.

- Tu jest reszta z zakupów Gusa. Uczciwa.

- Daj to Tilly - polecił mu Alf.

- Ile was tu jeszcze jest? - spytał Harry, bo imię Tilly było dla niego nowe.

- Tilly tylko tutaj mieszka, bo jej tatuś, mamusia i mąż trzy miesiące temu wpadli za srebrne krążki i mają zadyndać. Jest dobra w szylingach i sześciopensówkach, ale gdzie jej tam do starego.

Harry nadstawił uszu. Trzy osoby skazane na szubienicę za fałszowanie srebrnych monet. Wykonanie wszystkich wyroków wstrzymano z okazji koronacji. Oficjalnie uważano, że nie należy mieć publicznej radości ceremonią wieszania. Być może zresztą obawiano się, że wieszanie dałoby tłumom lepszą rozrywkę. Tak czy inaczej, najważniejsze pytanie w tej chwili brzmiało, czy Tilly to Matilda Watson.

Matilda przysięgła zemstę donosicielowi. Gus Housman nigdy z nią nie rozmawiał, po prostu obserwował ją i jej męża w Nag's Head, a potem śledził ich, gdy wracali do domu. Reszty dokonali detektywi z Bow Street. Należało się jednak liczyć z tym, że Matilda mogła zwrócić uwagę na człowieka siedzącego w kącie szynku i skojarzyć fakty, dlatego musiał zachować zdwojoną ostrożność.

Właśnie w tej chwili pies zaczął ujadać jeszcze głośniejszym głosem niż przedtem, coś się przewróciło i pani Chappell zaczęła krzyczeć. Alf wyszedł na dwór sprawdzić, co się

dzieje. Ponieważ zostawił otwarte drzwi, Harry ujrzał drogę prowadzącą na farmę i bok budynku. Na podwórzu stała Rosamunda, a naprzeciwko niej pani Chappell z psem trzymanym na krótkim postronku. Nie ulegało wątpliwości, że kobieta jest gotowa w każdej chwili puścić bestię, która warczała i obnażała kły. Harry'emu serce podeszło do gardła. Co tu robi jego żona?!

Alf chwycił ją za ramię i odciągnął od psa, któremu przy okazji wymierzył soczystego kopniaka.

- Milady nie powinna podchodzić do tego zwierzęcia - powiedział, wciąż ją trzymając. - Co milady tutaj robi?

Rosamunda zauważyła Harry'ego w drzwiach stodoły. Nie poznałaby go, gdyby wcześniej nie widziała w tym okropnym przebraniu, ale tak ją ten widok wzburzył, że zupełnie nie umiała wytłumaczyć, po co przyszła.

Francis zgodnie z zapowiedzią towarzyszył jej do Chiswick, bawiąc ją po drodze opowieściami o chłopięcych wybrykach Harry'ego i jego skłonności do bratania się z ludem.

- Najbardziej lubił wspinać się na drzewa z chłopakami ze wsi. Zrywali kasztany, które potem piekli w ognisku. I chodzili na ryby, łowili płocie i węgorze - mówił. - Zapraszał chłopaków ze wsi do dworu i potem pływali nago w jeziorze.

- Pan też z nimi bywał?

- Ja? Wtedy jeszcze uczyłem się chodzić. Raz ich zobaczyłem, kiedy byłem na spacerze z piastunką. Bardzo ją to oburzyło i zaraz kazała mi iść dalej.

- A oni po prostu dobrze się bawili.

Francis skwitował tę uwagę pogardliwym parsknięciem i ściągnął wodze, ponieważ dojechali do skrzyżowania w Chiswick. Mieli właśnie skręcić nad rzekę, gdy z podwórza zajazdu wytoczył się powóz. Francisowi mignęła przed oczami twarz O'Keefe'a.

- Tam są! - zawołał triumfalnie, gdy powóz znikł w chmurze pyłu.

Podążali w sporej odległości za nim. Rosamunda już się zastanawiała, czy Harry nie wiezie swoich kompanów do Bishop's Court, gdy nagle powóz skręcił. Na szczęście

nie stracili go z oczu i wkrótce, ku wielkiemu zaskoczeniu Rosamundy, przekonali się, że jedzie na farmę Feltham. W tym momencie Francis uznał, że jego misja się skończyła.

- Niech pani jedzie - powiedział, a sam zawrócił wierzchowca. - Zaczekam na nią w Bishop's Court.

- Co mam zrobić?

- To pani sprawa. Ja tylko pokazałem, gdzie on jest. Jeśli nie przyjedzie pani do Bishop's Court przed piątą, zawiadomię konstabla w Hounslow, że popełniono przestępstwo. Do piątej są dwie godziny.

Z tymi słowami odjechał.

Przeklinając go pod nosem, Rosamunda przywiązała konia do drzewa i resztę drogi pokonała piechotą. Tak bardzo była skupiona na tym, by dotrzeć do Harry'ego, że zupełnie zapomniała o psie. No, i w ten sposób znalazła się rękach mężczyzny, który ścisnął ją boleśnie i wcale nie zamierzał puścić. Ze stodoły wyszło jeszcze kilku innych mężczyzn, wśród nich jej mąż.

- Proszę mnie natychmiast puścić! - powiedziała stanowczo. - Czy dama nie może złożyć wizyty, nie narażając się na obłapianie?

- Wizyty? - zaśmiał się Alfred. - Ostatnio kiedy milady złożyła nam wizytę, uciekła z bachorem jego lordowskiej mości i pozbawiła moją żonę dochodu.

- Bardzo mi przykro z tego powodu - odparła. - Nie wiedziałam, jak bardzo były wam te pieniądze potrzebne. Chciałabym to wynagrodzić.

Harry słuchał tego i nie wierzył w ani jedno słowo, ale bał się prawdy. Uznał, że czas na jego interwencję.

- Czy dobrze słyszę, że nazwałś tę kobitę damą? - zwrócił się do Alfa. - To nie jest żadna dama.

- Nie jest - przyznał Alf. - Ale wyszła za lorda Portmana i teraz musimy jej czapkować.

- Wyszła za lorda Portmana?! - zawołał zdumiony Harry i popatrzył prosto na Rosamundę, mając nadzieję, że przekona ją tym spojrzeniem do współpracy. - A więc to sobie obmyśliłaś, Rosie. A nie mogłem zrozumieć, dlaczego przestałem cię widywać. Jak ci się udało złapać tego wielkiego pana?

- Znasz ją, Gus? - spytał O'Keefe, zerkając to na jedno, to na drugie.

- Och, Rosie i ja znamy się od dawna. - Tu zwrócił się do Rosamundy. - Jak długo, motylku?

Rosamunda przełknęła ślinę. Nigdy nie zamierzała zostać aktorką, ale okoliczności ją do tego zmusiły.

- Wolałabym tego nie pamiętać - oświadczyła wyniośle.

- Szkoda. Dobrze było - powiedział Harry.

- Ten twój elegancki mąż mógłby nam dużo zapłacić, żeby twoja przeszłość nie wyszła na jaw, nie sądzisz? - spytał ją O'Keefe.

Harry mimo woli się roześmiał, ale nikt nie zwracał teraz na niego uwagi. O'Keefe zwrócił się do pozostałych mężczyzn.

- Jej tata, mimo swoich arystokratycznych zwyczajów, był jednym z nas, dopóki nie zabrakło mu odwagi. Potem, niestety, próbował nas oszukać.

- Nie wierzę ci! - syknęła Rosamunda.

- Nieważne, czy wierzysz. Ważne, czy twój mąż uwierzy. Jak sądzisz?

Spojrzała błagalnie na Harry'ego, ale on nie chciał spojrzeć jej w oczy.

- Na pewno nie - powiedziała. - Mój ojciec był dżentelmenem.

O'Keefe zarechotał, a inni szeroko się uśmiechnęli. Harry dołączył do tych objawów radości, przez cały czas jednak gorączkowo myślał, jak wyciągnąć ich z tej sytuacji.

- Znałem niejednego draba, którego nazywano dżentelmenem - dodał.

- Przyszłam tutaj z uczciwym zamiarem - powiedziała z udanym oburzeniem. - I co mnie za to spotkało? Szyderstwa i obłapianie. - Szarpnęła ramieniem, wciąż pozostającym w uścisku Alfa Chappella. - Puść mnie.

- Nie wiem, czy możemy - włączył się Bob. - Za dużo wiesz.

- Niczego nie wiem - krzyknęła, zrozumiawszy, że to właśnie ci ludzie dali jej ojcu spiłowane gwinee. Co gorsza, Harry wydawał się jednym z nich. Czyżby w swoim czasie znał jej ojca? - I nie chcę wiedzieć.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział Harry. - Zamknij oczy i udawaj, że nigdy cię tutaj nie było. Wtedy twój mąż nie będzie musiał dowiedzieć się prawdy o twoim tacie, wiesz?

- A jeśli ona coś piśnie? - spytał Ironside.

- Nie zrobi tego - szybko odpowiedział Harry. - Za dużo ma do stracenia.

- Może nawet moglibyśmy cię puścić - powiedział do Rosamundy zadumanym tonem Alf. - Musielibyśmy jednak przekonać się, że naprawdę masz dobre zamiary. Mogłabyś na przykład przywrócić comiesięczną wypłatę dla mojej żony. Pięć złotych krążków, naturalnie prawdziwych.

Zawahała się, zanim jednak zdążyła podjąć decyzję, znów odezwał się Harry.

- Lepiej się zgódź, moja miła Rosie - powiedział. - Twój stary nie trzyma cię na krótkiej smyczy, prawda?

- Nie. Jest bardzo hojny - odparła.

- Miło to usłyszeć - Harry zwrócił się do Alfa. - Mogę być pośrednikiem. Rosie płaci mnie, a ja przynoszę to do was razem z całą resztą, którą zdobędę. - Roześmiał się obleśnie. - Nie mam nic przeciwko odnowieniu znajomości z tą... damą. Kiedyś nam było dobrze.

Alf zastanawiał się podejrzanie długo. Harry wiedział, że banda wciąż mu nie ufa. W końcu jednak mężczyzna puścił Rosamundę.

- Co ci przyszło do głowy, że mam ochotę odnowić naszą znajomość? - spytała ze złością Harry'ego, rozcierając ramię.

- Myślę, że potrafię cię do tego przekonać - odpowiedział ze złowrogim uśmiechem.

Niespodziewanie chwycił ją w objęcia i zaczął namiętnie całować. Wyrывała się, ale trzymał ją mocno, powoli przesuwając dłonie na jej pośladki. Ku swej irytacji poczuła, że jej ciało reaguje na tę napaść. Wszystkie jej mięśnie osłabły. W tej chwili usłyszała jednak ochryply rechot otaczających ich drabów i powróciła do rzeczywistości. Odskoczyła, uwolniła ramiona i zaczęła młócić go pięściami po piersi.

- Wspaniale, dziewczyno! - ucieszył się Harry. - Zawsze lubiłem kobiety z ikrą.

Otarła dłonią nabrzmiąle wargi i spiorunowała go wzrokiem.

- Jesteś brudasem i brutalem. Nienawidzę cię!

- Szkoda - powiedział, niezrażony jej wybuchem. - Bo mnie się widzi, że mielibyśmy ze sobą jeszcze dużo wspólnego, gdyby twój mąż nie przeszkadzał.

- Do pięć mu nie dorastasz jako mężczyzna!

Sama już nie wiedziała, co jest prawdą, a co grą. Było zupełnie tak, jakby znała dwóch różnych Portmanów.

Harry uświadomił sobie, że im dłużej się kłóca, tym łatwiej zdradzić się z czymś, co pogrzy ich oboje.

- Do diabła z nim - powiedział. - Skąd się tu wzięłaś?

- Przyjechałam. Z Bishop's Court - odparła, ale nie miała pojęcia, czy Harry zrozumie.

- Zabierz już tę kobietę - powiedział Alf, któremu skończyła się cierpliwość. - Mam ważniejsze sprawy, niż słuchać waszych kłótni. Przynieś pieniądze do Nag's Head pojutrze. Jeśli nie... - Zawiesił głos.

- Wiem, wiem - przerwał mu Harry i chwycił Rosamundę za łokieć. - Chodź, kwiatuszku. Nic tu po tobie.

Poddała się. Początkowo szli wolno, ale gdy znaleźli się dalej od farmy, Harry przyspieszył kroku i niemal ją ciągnął.

- Po co tu pani przyszła? - syknął ze złością. - Mogliśmy zginać przez jej lekkomyślność.

- Mogłabym pana spytać o to samo - odparła. Widziała, że fałszerze nie znają prawdziwej tożsamości Harry'ego. Za kogo jednak go brali? Za łotra podobnego do nich samych. - Pański kuzyn miał rację...

- Mój kuzyn?

- Pan Portman.

- A co powiedział?

- Że jeśli nie wrócimy w ciągu dwóch godzin do Bishop's Court, zawiadomi konstabla w Hounslow.

- O czym?

- Że knuje pan coś podejrzanego. Powiedział, że zadaje się pan z przestępcami i może nawet zawisnąć na szubienicy... - Sapnęła. - Czy musimy iść tak szybko?

- Tak. Im szybciej stąd się oddalimy, tym lepiej.

Minę miał ponurą. A więc Francis jednak poznał go w Nag's Head. Przeklinał się za nierozwagę.

- Gdzie pani zostawiła klacz? - spytał.

- Przy drodze.

Znaleźli wkrótce Honey, spokojnie skubiącą trawę. Harry odwiązał ją i podsadził Rosamundę na siodło, a potem usiadł za nią, objął ją i wziął do rąk wodze.

Gdy jechali, czuła na karku ciepło jego oddechu, ale uścisk nie robił wrażenia przyjaznego. Harry był sztywny ze złości, ona zresztą też. Wciąż nie mogła zrozumieć, po co jej mąż narażał siebie i cały swój dom? Czyżby Francis miał rację i Harry robił to dla niej? Ale przecież kiedy pierwszy raz widziała go w łachmanach, jeszcze nie wiedział o Maksie i spiłowanych gwineach. Tak czy inaczej, nie wątpiła, że Francis jest gotów sprowadzić konstabla. Chciał przecież zdyskredytować Harry'ego i przejąć Bishop's Court. Musieli się pospieszyć.

Byli już blisko Bishop's Court, gdy Harry nagle skręcił. Na teren majątku wjechał od tyłu.

- Dokąd pan mnie wiezie? - spytała, wykręcając głowę. - Musimy jak najszybciej wrócić do domu, bo inaczej pański kuzyn spełni swoją groźbę.

- Nie mogę przyjechać w takim stroju - szepnął jej do ucha, wywołując tym przyjemny dreszczyk. Wciąż budził w niej pożądanie, mimo wszystkiego, co zaszło. Zatrzymał klacz i zeskoczył z jej grzbietu.

- Niech pani wraca i ułagodzi kuzyna. Dołączę najszybciej, jak będę mógł, tylko najpierw się przebiorę.

- Dokąd pan idzie?

- Do szopy na łodzie. Trzymam tam trochę zapasowych ubrań.

Ruszyła więc naprzód, ćwicząc w myślach to, co należało powiedzieć Francisowi. Była wściekła na Harry'ego, ale to nie znaczyło, że może pozwolić na jego aresztowanie.

Chciała, żeby miał okazję się wytłumaczyć, i chciała mu uwierzyć, mimo że wydawało się to niemożliwe.

Zostawiła klacz w stajni i szła właśnie do tylnych drzwi, gdy rzuciła jej się w ramiona Annabelle.

- Mama! Wróciłaś!

Rosamunda uściskała dziecko, a po twarzy popłynęły jej łzy.

Gdy Harry dotarł do szopy, zastał tam czekającego nań Asha. Dwa konie pasły się w pobliżu.

- Dzięki Bogu! - powiedział. - Kiedy zobaczyłem milady z kuzynem Francisem, obawiałem się najgorszego.

- Tak. Trudna sytuacja. Wóz albo przewóz - odpowiedział Harry, wyciągając worek z rzeczami ze schowka. - Jak ci się udało mnie wyśledzić?

- Zobaczyłem, że wychodzisz z Nag's Head, a zaraz potem wyszedł kuzyn Francis uśmiechnięty od ucha do ucha. Poszedł za tobą, a ja za nim. Kiedy wsiadłeś do łodzi, twój kuzyn zawrócił. Nie mogłem śledzić łodzi, więc postanowiłem pilnować Francis'a. Założyłem, że wie, dokąd cię zabierają. A on pojechał do Portman House i wkrótce potem wyruszył w drogę w towarzystwie twojej żony. Gdzie ona jest, nawiasem mówiąc?

- Odesłałem ją do domu. Francis zamierza zawiadomić straż o moich bezprawnych działaniach. Muszę temu zapobiec.

- A znalazłeś warsztat fałszerzy?

- Tak. Przez moją drogą żonę mogło to się jednak źle skończyć.

- Co się stało?

Harry zaczął opowiadać, odgrywając co ciekawsze fragmenty. Ash wybuchnął śmiechem.

- Dobrze ci się śmiać - powiedział Harry. - Mnie nie było do śmiechu. Myślałem, że już po nas. Na szczęście Rosamunda zachowała zimną krew.

- Nie wpada w panikę, co?

- Nie.

- Czy to znaczy, że już wie, co robiłeś?

- Nie. Myśli, że jestem jednym z fałszerzy i odkryłem, że jej ojciec był z nimi w zмовie, a zginął prawdopodobnie wtedy, gdy chciał się wycofać. W dodatku jej brat prawie na pewno rozprawiał spiłowane monety. Jak mogę jej teraz powiedzieć, że robię wszystko, żeby złapać tę bandę? Pomyśli, że chcę się nią posłużyć, bo to przecież ona wspomniała przy mnie nazwisko O'Keefe'a.

- Ona go zna? - spytał zaskoczony Ash.

- Nie sędzę. W każdym razie na to nie wyglądało. Może jednak być lepszą aktorką, niż mi się zdawało.

- Powinieneś to wiedzieć.

- Kłopot w tym, że nie wiem.

- Nie możesz pozwolić, żeby tej bandzie się upiekło. James by na to nie pozwolił.

- To oczywiste, ale jak mam ochronić żonę?

- Wierzysz w jej niewinność?

- Musi być niewinna. Była szczerze wstrząśnięta, gdy O'Keefe powiedział, że jej ojciec należał do grupy.

Skończył się przebierać, przeczesał palcami włosy, związał je z tyłu tasiemką i nasadził na głowę trójgraniasty kapelusz. Strój Gusa Housmana zmiął w kulę i wcisnął do schowka.

- Muszę iść - powiedział. - Będziesz mi towarzyszył?

- Nie, dziękuję. - Ash roześmiał się. - Pewna dama oczekuje mnie dziś wieczorem w swoim domu przy Leicester Square. Jeśli zaraz wyruszę, to jeszcze zdążę.

- Mam nadzieję, że jutro wrócę do Londynu, ale muszę najpierw załatwić prywatne sprawy - dodał Harry. - Wyświadczyłbyś mi przysługę, gdybyś zaalarmował resztę dżentelmenów i detektywów z Bow Street i powiadomił ich, gdzie można tę bandę znaleźć. Im szybciej, tym lepiej. Pojutrze mam znowu zanieść pieniądze do Nag's Head i stanowczo wolałbym tego nie robić.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział Ash i wskoczył na konia. - Do zobaczenia w Londynie.

Harry również dosiadł wierzchowca i, pełen obaw, ruszył w stronę Bishop's Court.

Tymczasem w domu Annabelle zasypywała Rosamundę pytaniami.

- Dlaczego wróciłaś tak wcześnie? Panna Gunstock powiedziała, że zostały jeszcze dwa dni. Prowadzę dzienniczek i skreślam w nim każdy dzień. A gdzie jest tata? Widziałaś króla i królową w koronie?

- Tak.

Rosamunda zastanawiała się, czy Francis wciąż czeka na nią w salonie, mimo to cierpliwie zaspokajała ciekawość dziewczynki. Powiedziała jej, że bardzo tęskniła za domem, więc kiedy wybrała się na przejażdżkę, po prostu skręciła w stronę Bishop's Court.

Kiedy nieco później Rosamunda powiedziała dokładnie to samo pani Rivers, gospodyni nie dała się tak łatwo nabrać.

- Ależ, milady - odparła. - Czy jego lordowska mość nie będzie się niepokoił?

Jeśli nawet zastanawiało ją, dlaczego pani wybrała się w Londynie na przejażdżkę w sukni, która widziała lepsze czasy, to nie dała temu wyrazu. Nie zwróciła jej też uwagi, że droga między Londynem a Bishop's Court jest zbyt długa, by damie wypadało przebyć ją samej.

- Och, on mnie szybko dogonił - zapewniła Rosamunda ze śmiechem. - I przyjechał tutaj ze mną. Tylko zatrzymał się jeszcze we wsi, żeby porozmawiać z kowalem. - Urwała. - Czy widziała pani pana Portmana? Jego lordowska mość chciał się z nim spotkać.

- O ile wiem, siedzi teraz w bibliotece, milady. Przyjechał już dość dawno i kręci się po całym domu, jakby go co gryzło.

Rosamunda odesłała Annabelle do pani Gunstock i poszła poszukać Francisca. Zdjął z półek kilka książek i rozłożył je na stole. Zauważyła, że wszystkie dotyczą Bishop's Court, historii dworu i jego właścicieli. Gdy weszła, szybko wstał.

- Gdzie on jest? - spytał, nawet nie siląc się na powitanie. Zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Jak pan się miewa, kuzynie Francisie? Mam nadzieję, że służba dba o pańskie potrzeby w należyty sposób.

- O tak, dziękuję - powiedział. - Znalazła pani Harry'ego?

- Naturalnie. Pojechał w odwiedziny do Chappellów. Jeśli pan sobie przypomina, to właśnie Chappellowie przez wiele lat sprawowali opiekę nad Annabelle. Harry chciał zapytać o pewien szczegół związany ze zdrowiem dziewczynki. Zaraz tu będzie, zatrzymał się jeszcze we wsi, żeby porozmawiać z kowalem.

- Składa wizyty ubrany jak kominiarz? Trudno mi w to uwierzyć.

- Pan się myli, Francis - odparła bez mrugnięcia okiem. - Obawiam się, że pański wyśmienity gust czyni pana ślepym na to, co noszą inni. Harry jest ubrany tak, jak zwykle. O, widzę, że pan zabijał czas, poznając historię Bishop's Court. Fascynujący temat, nie sądzi pan? Pan Bishop był doprawdy interesującą postacią...

Odetchnęła z ulgą, bo właśnie w tej chwili usłyszała wchodzącego Harry'ego.

- Ty tutaj, Frank? - spytał, jakby go to zaskoczyło. - Wkrótce zacznę chyba stawiać sobie pytanie, czemu nagle stałem się taki popularny. Zanim się ożeniłem, nie odwiedzałeś mnie tak często. Może to moja żona budzi twoje zainteresowanie.

- Nie, skądże. - Francis spłonął rumieńcem. - Naturalnie nie chciałem powiedzieć, że milady nie jest atrakcyjna. Przeciwnie, tylko że...

Harry parsknął śmiechem.

- Widzę, kuzynie, że jesteś biegły w komplementach.

Rosamunda czuła się coraz bardziej zażenowana.

- Właśnie mówiłam kuzynowi Francisowi, że pojechał pan do Chappellów zapytać, jak było ze zdrowiem Annabelle, gdy mieszkała na farmie. Czy zaspokoili pańską ciekawość?

- Częściowo - powiedział beznamiętnie. - Myślę jednak, że jeszcze wrócę do tej sprawy.

- Bardzo przepraszam, ale muszę się przebrać - usprawiedliwiła się, szukając drogi ucieczki. - Panie Portman, czy zostanie pan na noc?

- Jeśli można - odpowiedział i skłonił się głęboko.

Rosamunda opuściła mężczyznę zadowolona, że nie wszystkie suknie przewiozła do Londynu. Żałowała tylko, że nie ma Janet, od której mogłaby się spodziewać nie tylko konkretnej pomocy, lecz i duchowego wsparcia. Czuła się przeraźliwie samotna, a najgorsze dopiero ją czekało.

Podczas kolacji Harry wymieniał z nią jedynie nic nieznaczące uprzejmości, a atmosfera była chłodna. Trudno było odgadnąć, czy Francis to zauważył, w każdym razie niczego nie komentował. Sumiennie podtrzymywał konwersację, a Rosamunda wtrącała tylko „tak” lub „nie” w odpowiednich miejscach i dużo się uśmiechała. Harry z kolei był bardziej jowialny niż zwykle i traktował kuzyna z wyszukaną uprzejmością.

- Jestem bardzo zmęczona po podróży - powiedziała Rosamunda, gdy tylko kolacja się skończyła. - Myślę, że pójde się położyć. Dobranoc, kuzynie Francisie.

Uciekła do swojego pokoju, ale nie rozebrała się. Usiadła na krześle przy oknie i zaczęła obserwować stadko danieli w parku. Zapadał już wieczór, drzewa w oddali stopniowo czerniały, a na tle nieba rysowała się wyraźna sylweta wieży kościoła. Na dworze panowała idealna cisza, jeśli nie liczyć pohukiwania sowy w stodole i szczekania psa.

Odwróciła się, słysząc trzask otwieranych drzwi. Do pokoju wszedł Harry.

- Teraz porozmawiamy, droga żono, jeśli łaska - powiedział, zanim zdążyła zaprotestować. Wziął krzesło i usiadł obok niej pod oknem. - I proszę nie wymawiać się zmęczeniem. Ja też jestem zmęczony, ale to nie może czekać, aż się pani wyśpi.

- Nie chcę czekać, zresztą nie mogłabym zasnąć. I proszę nie patrzeć na mnie z taką wściekłością. Nie boję się pana i nie zrobiłam niczego złego. - Zamilkła, po czym sama przeszła do ataku: - Za to pan zrobił... - Zająknęła się, zbita z tropu jego niezłomnym spojrzeniem.

- Ja? - zdziwił się.

Ani na chwilę nie spuścił wzroku z jej twarzy. Wiedział, że jeśli będzie próbowała kręcić, oczy ją zdradzą.

- Tak, pan - potwierdziła, z trudem utrzymując panowanie nad sobą. - Przystąpił pan do bandy wyrzutków i dostarczał im monety do spiłowywania. Za nic nie mogę zrozumieć, dlaczego pan to robił i dlaczego pozwalał swojej córce pozostawać w tej jaskini zła. Czy właśnie w ten sposób pan się z nimi zetknął? Przez Annabelle?

- Nie. I proszę Annabelle do tego nie mieszać.

- Jak to możliwe? Pańskie postępowanie siłą rzeczy będzie miało na nią wpływ.

- Ona nie musi o niczym wiedzieć.

- Dowie się, jeśli pana za to powieszają.

Roześmiał się szorstko.

- Słowo pani daję, że to się nie zdarzy.

- Francis jest innego zdania. Czy zdołał go pan przekonać, żeby nie dzielił się swoimi rewelacjami ze strażą?

- On nie ma się czym dzielić. Podśluchuje pod drzwiami... - Nagle wstał, szeroko otworzył drzwi, spojrział w głąb korytarza, potem w drugą stronę, zamknął drzwi i wrócił na miejsce. - No nie. Słyszysz połowę historii i dorabia resztę...

- Czyżby? Chyba musiał usłyszeć więcej niż połowę, żeby wiedzieć, że płynie pan łodzią do Chiswick. Złapałam pana na gorącym uczynku, Harry.

- A ja złapałem panią. Po co pani przyszła na farmę? Chciała pani wziąć więcej spiłowanych gwinei dla brata, prawda?

Nie miał pojęcia, dlaczego obudziła się w nim nagle taka zadziorność. Musiał jednak poznać prawdę, a to oznaczało, że trzeba zepchnąć Rosamundę do obrony. Aby ją chronić, musiał wiedzieć wszystko.

Wstrząśnięta stwierdziła, że Harry wie, co zrobił Maks.

- Oczywiście, że nie - odparła, starając się panować nad złością. - Nie miałam pojęcia o tym, co dzieje się na farmie. Przyjechaliśmy za panem z Chiswick.

- Francis wypiera się tego, że tam panią zabrał. Według niego zgodził się, bo pani nie miała przyzwoitki, ale pomyśl, żeby skrócić na farmę, pochodził od pani, a on nie chciał stać się współnikiem, więc przyjechał prosto do Bishop's Court.

- Przykro mi to mówić, ale pański kuzyn jest kłamcą. Nie musi pan zresztą mocno się głowić, by zrozumieć przyczynę. On robi wszystko, żeby zniszczyć nasze małżeństwo.

Z tym musiał się zgodzić.

- Po co więc pani tam poszła? - spytał ze smutnym uśmiechem. - I proszę nie mówić, że chodziło o wynagrodzenie czegokolwiek pani Chappell, bo nie uwierzę.

- To oczywiście nie była prawda, ale musiałam coś powiedzieć. Przeżyłam duży wstrząs, widząc, dokąd pan jedzie, ale nawet wtedy nie wiedziałam jeszcze, że to ma cokolwiek wspólnego z fałszowaniem monet. Bo oni to robili na farmie, prawda?

- Pani dobrze o tym wie. Naturalnie zachowała pani dość bystrości, by nie poznać O'Keefe'a, gdy go zobaczyła...

- O'Keefe'a? - spytała. - A on tam był?

Czy jej zdziwienie było szczere? Sophie Charron mogłaby to zagrać, ale ona?

- Nie wiedziała pani?

- Nigdy go nie spotkałam. Który to był?

- Ten, który próbował panią szantażować jej romanssem z Gusem Housmanem.

Uśmiechnęła się.

- Tak pan się nazywa w przebraniu? Ja powoli zaczynam widzieć w panu dwóch ludzi, w dodatku różnych. Kłopot w tym, że jestem żoną obu.

- I żadnego z nas szczególnie pani nie lubi.

- Tego nie powiedziałam - sprzeciwiła się. - Z pewnością nie lubię pana Housmana i chciałabym, żeby znikł, zanim zacisną mu pętlę na szyi.

- Może zniknie - powiedział cicho. - Kiedy wykona swoją pracę.

- Pracę dla tej okropnej bandy! - odparła, zbyt wzburzona, by zauważyć zmianę tonu. - Niszczenie gospodarki nielegalną działalnością, zarabianie pieniędzy na biedzie innych. Jestem pewna, że ci ludzie ponoszą odpowiedzialność za śmierć mojego ojca...

- Czy nie po to mnie pani poślubiła, Rosamundo? - spytał obojętnie. - O ile wiem, chciała pani się pozbyć oprawców sir Joshui.

- Nie. I z pewnością nie prosiłam pana, żeby się do nich przyłączył.

- Postanowiłem załatwić sprawę właśnie w ten sposób.

- Dla mnie? - spytała zaskoczona. Czyżby jednak Francis miał rację?

- Częściowo. Częściowo zaś po to, by oddać przestępców w ręce sprawiedliwości.

To było tylko drobne kłamstwo, w dodatku usprawiedliwione okolicznościami.

- Ale ja zmieniłam zdanie.

- Właśnie wtedy w panią zwątpiłem. W dodatku moje wątpliwości zdawały się potwierdzać, kiedy odkryłem, że pani brat rozprowadza spiłowane monety. Ciekaw jestem, dokąd go to zaprowadzi.

- Nie mam pojęcia.

- Dżentelmen nigdy nie powie, że dama kłamie - powiedział obojętnie. - Zwłaszcza jeśli ta dama jest jego żoną. Nie mam jednak pojęcia, co powiedzieć w tej chwili o pani.

Rosamunda zorientowała się, że jest za późno, by uratować sytuację, nie obciążając Maksa. Przecież gdyby go aresztowano, wkrótce poszłaby w jego ślady, ponieważ wiedziała o monetach.

- Myślę, moja droga - powiedział Harry - że doszliśmy do końca drogi. Poczynię kroki, żeby doprowadzić do anulowania naszego małżeństwa...

Popatrzyła na niego z niechęcią.

- Żeby mógł mnie pan aresztować i zeznawać przeciwko mnie?

- To dziwne, ale nawet o tym nie pomyślałem - wycedził. - Zakładałem, że pani mówi mi prawdę, wypierając się, że cokolwiek wie.

- Mówiłam prawdę.

- Wobec tego nie ma już o czym mówić. Nie wyrzucę pani bez złamanego szylinga. Będzie pani miała własny dom i dość pieniędzy, by móc bez kłopotu się utrzymać. Z czasem na pewno znajdzie pani sobie nowego męża. Takiego, któremu będzie umiała zaufać.

- Przykro mi, że pana oskarżyłam - powiedziała. Nie mogła przyjąć takiej propozycji, mimo że właściwie jej się spodziewała. - Nie wiedziałam... I przykro mi z powodu Maksa. Rozumiem, że nie chce pan mieć związków z taką rodziną jak nasza.

- Niewłaściwie mnie pani zrozumiała.

- To możliwe - przyznała znużonym tonem. - W zasadzie nie rozumiem niczego, co ma z panem związek. - Wstała. - Chyba już położę się do łóżka.

- Dobrze.

Wstał. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Zdawało się, że przepaść między nimi jest nie do zasypania, choć jednocześnie wystarczyło wyciągnąć ramiona, by mogli spleść się w objęciach. Żadne jednak nie wydawało się gotowe do zrobienia choćby małego kroku naprzód.

Harry pocałował ją w rękę.

- Dobranoc, moja droga.

Z tymi słowami wyszedł, a ona rzuciła się na łóżko i zaczęła szlochać.

Rozdział jedenasty

Harry poszedł do pokoju i ciężko opadł na łóżko. Nie tak zaplanował rozmowę z Rosamundą. Tylu wzajemnych pretensji i oskarżeń zupełnie się nie spodziewał. Jak to się stało? Czy naprawdę wierzył w to, że Rosamunda w białych rękawiczkach wspierała fałszerzy, których on tak długo tropił? Ani trochę! W winę jej brata też nie wierzył. Ten głupiec po prostu wykorzystał sytuację, na którą nie miał żadnego wpływu. Harry wiedział, że powinien był okazać żonie zrozumienie, a nie udawać złość.

Początkowo rzeczywiście był na nią wściekły, bo omal nie zniszczyła kilku miesięcy pracy. Na farmie oboje mogli stracić życie. Jednak gdy wiózł ją do Bishop's Court, mając w nozdrzach miły zapach jej włosów, złość go powoli odstępowała. Gdyby nie wizyta kuzyna, pewnie udałoby im się porozmawiać od razu, bez oskarżeń. Uznałby, że miała święte prawo postąpić tak, jak postąpiła, i powiedziałby jej, że może zażądać unieważnienia małżeństwa, jeśli tego chce. On tymczasem wyładował na niej swoją złość na Francisa i doprowadził do konfrontacji. Wyglądało na to, że nie ma już dla nich odwrotu. Z jękiem ukrył twarz w dłoniach.

Następnego ranka Rosamunda zeszła na śniadanie z podkrążonymi oczami, ubrana w tę samą starą suknię, którą nosiła poprzedniego dnia. Usiadła naprzeciwko Harry'ego, który wstał na jej powitanie od grzanek i jajka na miękko. Powiedziała mu „dzień dobry” i zaczęła nakładać sobie jedzenie na talerz.

- Rosamundo - powiedział, gdy usiadł. - Pani wciąż jest moją żoną. Nie musi się pani ubierać jak służąca. Wolałbym widzieć ją w stroju bardziej odpowiednim dla pani domu.

- Taka suknia w zupełności wystarczy do snucia się po Bishop's Court w oczekiwaniu na wyrok - powiedziała posepnie.

- Na wyrok?

- Tak. Czy nie zostanę odsądzona od czci i wiary? Wyśmiana? Zesłana na banicję?

- Wielki Boże, nie! - Przykrył jej dłoń swoją dłonią. - Bardzo przepraszam za swoje zachowanie wczoraj wieczorem. Było okrutne i niesprawiedliwe. Powinienem był

znaleźć właściwsze słowa dla tego, co chciałem powiedzieć. Nigdy nie sądziłem, że zobaczy mnie pani w stroju Gusa Housmana.

- Jestem tego świadoma.

Trudno było udawać spokój, gdy ciepło jego dłoni rozlewało się po całym jej ciele, a serce biło dwa razy szybciej niż normalnie.

- Proszę mnie wysłuchać. - Odczekał chwilę, ale ponieważ nie odpowiedziała, ciągnął: - Czy kiedyś słyszała pani o dżentelmenach z Piccadilly?

- Tak. Według pańskiego kuzyna jest to klub hazardzistów i birbantów, którzy urozmaicają sobie czas nedorzecznymi zakładami. Przypuszczam, że udawanie Gusa Housmana było właśnie wynikiem takiego zakładu.

Mógł powiedzieć, że tak, miał szansę znowu zrobić unik, ale skoro zdecydował się wyznać prawdę, musiał doprowadzić zamierzenie do końca.

- Nie. I w klubie wcale nie o to chodzi. Pełna nazwa to Towarzystwo na rzecz Ujawniania i Ujmowania Przestępców. Jestem jednym z członków, a przebrania Gusa Housmana używam, gdy śledzę przestępców.

- Pan jest łapaczem złodziei! - zawołała.

Taka możliwość nie przyszła jej wcześniej do głowy.

- W pewnym sensie, ale dżentelmeni z Piccadilly nie są zwykłymi łowcami głów. Nie robimy tego dla pieniędzy, lecz po to, by mieszkańcy naszego kraju czuli się w nim bezpieczniej. Dopóki pani nie opowiedziała mi o związku sir Joshui z O'Keefe'em, nie miałem o tym pojęcia. Zainteresowało mnie to bardzo, bo już od dłuższego czasu sam tropiłem O'Keefe'a.

- Dlaczego mi pan nie powiedział?

- Tak było bezpieczniej.

- Czy wiedział pan, że fałszerze pracują na farmie Feltham?

- Dowiedziałem się dopiero wczoraj. A kiedy pani znienacka się tam pojawiła, mogłem myśleć jedynie o tym, żeby bezpiecznie ją stamtąd zabrać. Potem O'Keefe powiedział, że sir Joshua należał do bandy...

- Nie należał. Tego jestem pewna.

- Ale miał spiłowane monety, a pani brat je rozprowadzał.

- Tak. Maks znalazł monety w gabinecie. Powiedział, że ojca oszukano, bo te pieniądze powinny być prawdziwe, więc nie rozumie, dlaczego mamy w ten sposób tracić.

- Dał pani część?

- Nie. Nigdy nie miałam ani jednej. Nie miałam też i nich żadnej korzyści. -
Roześmiała się ponuro. - Chyba że pan policzy wino na naszym ślubie...

Roześmiał się i pierwszy raz od dłuższego czasu zrobił to szczerze.

- Ja też go trochę wypilem.

- Wobec tego jesteśmy współwinni.

- Myślę, że możemy o tym zapomnieć.

- Rozumiem pańskie trudne położenie - powiedziała powoli. - Nie może pan pozwolić, aby aresztowano pańskiego szwagra i pańską żonę. To byłaby dla pana bardzo niezręczna sytuacja, woli pan więc pozbyć się żony.

- Och, Rosamundo, czy naprawdę ma mnie pani za tak małostkowego człowieka? Zaproponowałem unieważnienie małżeństwa, bo sądziłem, że takie jest pani życzenie, że chce pani uwolnić się od człowieka, który nie wywiązuje się z roli męża.

- Czy nie moglibyśmy o tym porozmawiać?

Otworzył usta, ale nie zdążył niczego powiedzieć, bo w tej chwili do pokoju wszedł uśmiechnięty Francis.

- Dzień dobry, milady. Dzień dobry, Harry. - Nie czekając na odpowiedź, podszedł do kredensu i obejrzał dania śniadaniowe. - Szynka, klopsiki, gorące makaroniki. Zazdroszczę ci kucharki, kuzynie.

- Wstałeś dzisiaj z kurami - powiedział radośnie Harry. - Czy to znaczy, że zamierzasz wcześniej wyjechać do Londynu?

Rosamunda zastanawiała się, czy nadejście Francisa nie było Harry'emu na rękę.

- Jedziesz ze mną? - spytał Harry'ego Francis.

- Na razie nie. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia przed wyjazdem. Nie będę cię jednak zatrzymywał.

Wstał, przesłał żonie uśmiech i wyszedł z pokoju. Francis wrzucił ramionami.

- Obawiam się, że popsuły nam się stosunki z kuzynem - powiedział i ze smakiem zaczął zajadać śniadanie. - Nie chodziło mi o to, żeby odkryła pani jego mroczny sekret, chciałem ją tylko ostrzec. Mam nadzieję, że nie wywołałem kłótni...

Rosamunda nie miała żadnych wątpliwości co do jego intencji.

- Nie, kuzynie. Wbrew swoim nadziejom nie wywołał pan kłótni. Przepraszam, ale muszę iść.

Z tymi słowami opuściła pokój i ruszyła na poszukiwanie Harry'ego. Nie zamierzała tak łatwo mu odpuścić.

Znalazła go w stajniach z Annabelle. Ogier i kucyk były już osiodłane.

- Pojedziesz z nami, mamó? - spytała podniecona dziewczynka.

- Jeśli przyjmiecie mnie do towarzystwa...

- Tak! Prawda, tato?

- Naturalnie.

Służba zaczęła siodłać Honey, a Rosamunda poszła przebrać się w kostium jeździecki i wkrótce do nich dołączyła. Jechali przez park.

- Skąd Hector wziął się w stajni? - spytała Rosamunda, gdy zostali nieco za Annabelle. - Nie przyjechał pan na nim z Londynu.

Uśmiechnął się.

- Siedzących mnie było więcej niż tylko pani i Francis. Zaraz za wami jechał sir Ashley z moim wierzchowcem.

- Czy i on jest dżentelmenem z Piccadilly?

- Tak, a poza tym sprawdzonym przyjacielem. Wczoraj wieczorem pojechał do Londynu sprowadzić na farmę detektywów z Bow Street. Jeśli fałszerze jeszcze nie są za kratami, to dzisiaj będą.

- Myśli pan, że spróbują pana oskarżyć?

- Phi, a o co? - spytał lekceważąco. - Jestem tylko głupim fircykiem, którego tamci wystrychnęli na dudka.

- Mam na myśli pańskie drugie wcielenie, Gusa Housmana. Banda domyśli się, kto na nich doniósł, i jeśli komuś uda się uniknąć aresztowania, będzie chciał się zemścić.

- Obawiam się, że Gus musi zejść z tego świata - powiedział, dobrze bowiem pamiętał o groźbie Matildy Watson. Nie chciał jednak niepotrzebnie martwić Rosamundy. - Szkoda, bo był bardzo przydatnym kompanem. Ale są jeszcze jego znajomi, to przecież niejedyna rola w moim repertuarze.

Harry żartował, Rosamunda wiedziała jednak, że nie odzyska spokoju, póki cała banda nie trafi za kratki.

- Co się stanie z panią Chappell i jej dziećmi? Nie mogę powiedzieć, żebym ją polubiła, ale biedaczka nie powinna cierpieć za grzechy męża.

- Zajmę się nią. - Roześmiał się nagle. - Pani ma przecież wypłacać jej pięć gwinei miesięcznie w zamian za dochowanie brudnego sekretu. Tylko że będziemy jej wypłacać drobniejsze monety, bo gwinee stanowią zbyt wielką pokusę. W każdym razie na opiekę nad dziećmi wystarczy.

- W tym się z panem zgadzam. - Urwała, a po chwili odezwała się znowu. - Chciałabym się dowiedzieć, jak mój ojciec wszedł w posiadanie tych monet. Nie wierzę, że był członkiem tej okropnej bandy.

- Na pewno ma pani rację - powiedział spokojnie.

- Myśli pan, że Will O'Keefe go wymieni?

- Jaki mógłby mieć po temu powód? - Uśmiechnął się do niej krzepiąco. - To nie pomoże mu uniknąć kary. Proszę się tym nie trapić.

- Tato, mamó, patrzcie na mnie - zawołała Annabelle i skoczyła na kucyku nad płytkim rowem.

- Brawo! - zawołał Harry, gdy dziewczynka triumfalnie zatrzymała kucyka, by na nich poczekać.

- Harry... - zaczęła Rosamunda, zdobywszy się na odwagę. - Pokochałam pańską córkę, jakby była moja własna. Pękłoby mi serce, gdybym musiała się z nią rozstać.

Popatrzył na nią. Oczy jej lśniły, wargi miała nieco rozchylone, wiatr strącił na jej czoło samotny kosmyk, który odgarnęła niecierpliwym gestem. Jak mógłby pozwolić, żeby od niego odeszła, zastanowił się. Przecież stała się częścią jego życia, wniosła do Bishop's Court życie i światło, odzyskała dla niego córkę. Czy z czasem będzie umiała również pokonać jego demony?

- Nie miałem pojęcia, że zamierza pani wyjechać - powiedział.

- Nie zamierzam, ale myślałam, że pan... Pan zachowuje się tak, jakby zapomniał o naszej umowie.

- To był głupi pomysł. Bardzo żałuję, że na niego wpadłem.

- Och... To znaczy, że muszę odejść.

- Czy tego pani chce?

- Nie, pan wie, że nie. Jestem tu szczęśliwa.

- Mimo że jestem dla pani kimś mniej niż mężem? - spytał cicho, biorąc ją za rękę.

- Tak, bo wiem, że ma pan do tego ważny powód. I wierzę, że mi pan o nim powie.

Wiedziała już, że musi przejąć inicjatywę, bo inaczej Harry nigdy nie zdecyduje się na tę rozmowę.

- Tak. - Cofnął rękę. - Wracamy?

Podczas gdy jeździli konno, Francis wyruszył w drogę powrotną do Londynu. Zjedli posiłek z Annabelle, potem dziecko wróciło pod opiekę guwernantki, a oni usiedli razem na kanapie w saloniku. Nadszedł czas wyjaśnień.

- Nie wiem, od czego zacząć - powiedział Harry.

- Najlepiej od początku.

- Kiedy poznałem sir Maksymiliana i powiedział mi o pani...

- Nie. Wcześniej. Dużo wcześniej - zaproponowała cicho. Koniecznie chciała zrozumieć, dlaczego jest właśnie taki, jaki jest. - Musi pan wrócić do czasów młodości, do Beth.

Westchnął.

- Kochałem ją. Kiedy się pobraliśmy, miałem dwadzieścia cztery lata, a ona szesnaście. Znałem ją od małego. Nasi rodzice popierali ten związek, wszyscy pragnęli mieć wnuki. Kiedy o tym myślę teraz, sądzę, że nie byliśmy jeszcze gotowi. Ona była drobna, prawie jak lalka, jej ciało jeszcze nie było w pełni ukształtowane. Kiedy poczęła, wszyscy się cieszyli... - Głos mu się załamał, więc wzięła go za rękę i delikatnie ją uścisnęła, żeby go pokrzepić.

- Wszystko układało się dobrze aż do porodu - kontynuował po chwili i zadrżał. - To były akurat jej siedemnaste urodziny. Śmiałyśmy się razem i cieszyliśmy, że dziecko

będzie wspaniałym prezentem. Żadne z nas nie spodziewało się, jakie to będzie trudne. Beth zawsze rozpieszczano, nie była przyzwyczajona do bólu, a doktorzy nie mieli do niej cierpliwości. Jeszcze teraz słyszę, jak ją strofowali. Mnie odesłali, chodziłem po ogrodzie, ale nawet tam ją słyszałem. Przeklinała mnie, Rosamundo. Przekleła mnie w swoich ostatnich słowach. Powiedziała, że Bóg mnie pokarze za to, co jej zrobiłem.

- Ona nie panowała nad sobą, Harry. Na pewno tak nie myślała.

- Rzeczywiście, poniosłem karę. Jej duch mnie prześladowuje. Nie umiem znowu pokochać. Jak mógłbym skazać kobietę, którą darzę czułością, na takie męki?

- To nie są męki dla kogoś, kto pragnie dziecka, Harry - odpowiedziała ucieszona, że prawie wyznał jej uczucie. - Co znaczy trochę bólu w porównaniu z radością, jaką daje trzymanie dziecka na rękach? Gdyby Beth przeżyła, jestem przekonana, że powiedziałyby to samo. Gdyby odzyskała siły i wzięła Annabelle na ręce, poczuła ją przy piersi, pożałowałyby gniewnych słów i poprosiła o wybaczenie.

- Dziękuję, moja droga. I tak jednak popełniłem błąd, zawierając z panią taką umowę. Nie mogę sobie tego wybaczyć. To pani brat opowiedział mi o pani kłopotach i wbił mi ten pomysł do głowy. Myślałem, że jeśli ożenię się z obcą kobietą i spłodzę z nią dziecko, niczego do niej nie czując, to zwyciężę duchy przeszłości. - Urwał, ale gdy spodziewane słowa potępienia nie padły, mówił dalej: - Kiedy panią lepiej poznałem i doceniłem jej zalety, cały ten pomysł wziął w łeb. Za to bardzo panią przepraszam i w zamian daję pani możliwość odzyskania wolności.

- A jeśli wcale nie chcę jej odzyskać?

Ujrzał jej uśmiech.

- Ale ja mogę nigdy...

- Jestem na to przygotowana...

Ujął ją za rękę i spojrzał jej w oczy bijące szczerością. Pochylił się i pocałował ją delikatnie w czoło.

- Och, moja droga, nie zasługuję na ciebie... - wyszeptał. - Ale jeśli będziesz cierpliwa...

Wrócili do Londynu następnego ranka i zastali panią Crossley w biegu. Gospodyni próbowała dopiąć na ostatni guzik wszystko, co wiązało się z balem, zastanawiając się

jednocześnie, czy nie należy go odwołać, jeśli państwo domu się nie pojawią. Janet była absolutnie pewna, że jej panią zamordowali zbójcy, i tonęła we łzach. Harry uspokoił więc panią Crossley, a Rosamunda zapewniła Janet, że jest cała i zdrowa. Kiedy potem przebrali się i zjedli razem obiad, Harry wyszedł złożyć meldunek klubowi.

Dawno już nie był w tak radosnym nastroju. Kamień spadł mu z serca, gdy dowiedział się, że żona rozumie jego problem, choć wyznanie, że nie jest w stanie zdobyć się na to, co każdemu innemu mężczyźnie przychodzi bez trudu, było bardzo kłopotliwe. Teraz jednak mogli już być towarzyszami życia na dobre i na złe, nie dzieliły ich żadne sekrety. Bardzo się cieszył, że opowiedział Rosamundzie o towarzystwie.

Lady Portman usiadła w saloniku z książką, ale nie umiała się skupić na lekturze, i szybko zatonąła w rozmyślaniach. Doszli z Harrym do porozumienia, ale niestety nic więcej. Żadne z nich nie wspomniało ani słowem o miłości. Podejrzewała, że Harry wciąż kocha Beth, i dlatego wciąż prześladowa go myśl o jej śmierci. Co z tego, że gdy był blisko niej, ugięły się pod nią kolana, a jego dotyk wyzwalał bardzo miłe odczucia? Wciąż nie miała pojęcia, ile traci. Jeszcze nie obudziła w Harrym pożądaną, nie wymieniali pieśczęt. Harry nie powiedział jej, że ją kocha.

Z westchnieniem otworzyła znowu książkę, ale przeczytała ledwie kilka zdań, gdy przyszedł lokaj z wiadomością, że przyjechał Travers i chce rozmawiać z jego lordowską mością.

- Travers? - zdziwiła się. - Czy coś się stało w Bishop's Court?

- Nie wiem, milady. Powiedziałem mu, że jego lordowska mość dokądś pojechał, więc Travers poprosił zamiast tego o rozmowę z milady.

- Przyślij go tu natychmiast.

Chwilę później Travers wszedł do pokoju i niedbale się uklonił.

- Milady, panią Annabelle znikła. Szukaliśmy wszędzie, w całym domu i wszystkich zakamarkach wokół. Ani śladu. Jej kucyk też zniknął.

Rosamunda zerwała się na równe nogi. Dziewczynka odziedziczyła po tacie odwagę, więc mogła uznać samotną przejażdżkę za wielką przygodę. Widocznie spadła i teraz leży w jakimś rowie. Nie chciała nawet myśleć, że mogło się stać coś gorszego.

- Jak tu przyjechałeś?

- Powozem, milady. Pomyślałem, że milady będzie chciała z niego skorzystać.

- Wrócę razem z tobą.

Wydała polecenia, by natychmiast sprowadzić Harry'ego z domu lorda Trenthama. Nie wiedziała, ile czasu to zajmie. Czy powinna wyruszyć natychmiast, czy poczekać na męża? Szybko zdecydowała, że nie ma czasu do stracenia. Napisała więc liścik i wzięwszy z sobą Janet, wyruszyła.

Półtorej godziny ciągnęło się bez końca. Zanim dotarli do celu, zapadł zmrok. Rosamunda wyskoczyła z powozu, zanim ktokolwiek zdążył rozłożyć schodki, i wbiegła do domu. Pani Rivers i panna Gunstock stały w sieni razem z ogrodnikami i chłopcami stajennymi. Najwyraźniej naradzali się, co robić.

- Znaleźliście ją? - spytała, przesuwając wzrokiem po ich zaniepokojonych twarzach.

- Nie, milady - odpowiedziała panna Gunstock. - Ale wrócił kucyk...

- Musiała z niego spaść - krzyknęła Rosamunda, uznawszy, że nie czas rugać guwernantkę za zaniedbanie w opiece ani stajennych za wypuszczenie dziecka bez dorosłego. - Nie mogła zajechać daleko. Musimy szukać dalej. Jeśli coś sobie zrobiła i jest sama...

- To jeszcze nie wszystko, milady - powiedział jeden ze stajennych. - Kucyk miał to przyczepione do siodła. - Podał Rosamundzie kawałek papieru.

Rosamunda obejrzała kartkę i przeczytała: „Lordzie Portman, pańska córka jest na razie bezpieczna. Proszę przywieźć na farmę Feltham tysiąc gwinei, to wróci do domu i nic jej się nie stanie. Ma pan przyjechać sam”.

A więc potwierdziły się jej najgorsze przeczucia. Nie wszystkich fałszerzy aresztowano. Ktoś pozostał i chciał się zemścić. Podała list Traversowi.

- Proszę nie wyprzęgać koni. Potrzebuję powozu. Jego lordowska mość może pojechać za mną, kiedy tu dotrze.

- Milady, nie jestem pewien, czy powinienem usłuchać tego polecenia - odpowiedział masztalerz. - Jego lordowskiej mości nie spodoba się, że milady się naraża. Jest ciemno, droga nierówna, a milady nie wie, co ją czeka.

- Annabelle potrzebuje mnie teraz! Nie zamierzam czekać do świtu. - Wyszła z domu, a za nią cała służba. - Travers, trzech mężczyzn wsiada do powozu ze mną, a jeden do ciebie na kozioł.

Masztalerz westchnął, wybrał najbardziej krzepkich ludzi, kazał im wziąć broń i chwilę potem powóz potoczył się w stronę wrzosowiska Hounslow.

Spotkanie klubu skończyło się wcześniej niż zwykle i Harry pojechał stamtąd lektyką do więzienia Newgate, aby porozmawiać z Michaeliem O'Keefe'em. Na farmie Feltham aresztowano całą bandę, złapaną na gorącym uczynku przy wyrobie fałszywych monet. Jeszcze w tym miesiącu należało się spodziewać ich procesu i przejazdu na miejsce straceń w Tyburn. Dżentelmeni mieli w związku z tym poczucie odniesionego sukcesu, ale Harry'emu zależało na wyjaśnieniu do końca jednej sprawy. Chciał to zrobić dla Rosamundy.

O'Keefe'a przyprowadzono na jego życzenie do biura naczelnika więzienia. Falszeryz stanął przed Harrym w wyzywającej pozie.

- Czego ode mnie chcesz? - spytał. - Ciekawski jesteś i szukasz zabawy kosztem nieszczęsnego więźnia? Mam sypać, żeby zasłużyć na kolację, tak?

- Tak - powiedział Harry. - Właśnie o to mi chodzi. Opowiedz mi o sir Joshui Chalmersie.

- Nigdy o takim nie słyszałem. Kto to jest?

- Był ojcem mojej żony.

- Ach, już wiem. Ty jesteś lord Portman, którego miesiąc temu obrabowali na wrzosowisku Hounslow. Straż złapała tego łotra, milordzie? - spytał i szeroko się uśmiechnął.

- Obawiam się, że nie. Znasz go? O'Keefe wzruszył ramionami.

- Myślisz, że powiedziałbym ci, gdybym znał?

- To nie ma znaczenia. Mnie bardziej interesuje sir Joshua.

- Dlaczego myślisz, że coś o nim wiem?

- Spółka Barnstaple Mining. Jesteś zarejestrowany jako jej właściciel. Co wydobywaliście? Złoto, tak?

O'Keefe zarechotał.

- Można tak powiedzieć.

- Co się stało? O'Keefe stał w milczeniu.

- Nic nie tracisz, jeżeli mi powiesz - odezwał się znów Harry. - Jest dosyć dowodów, żeby cię powiesić, a na spotkanie ze Stwórcą lepiej się wybrać z czystym sumieniem. Z drugiej strony gdybyś okazał się uparty, nie zależy mi szczególnie na tym, żebyś wrócił do celi w takim stanie, w jakim z niej wyszedłeś.

O'Keefe zaśmiał się z pogardą.

- Co ty gadasz? Przewróciłby cię byle podmuch wiatru. Harry chwycił go za ramię i wykręcił mu je na plecach, aż

O'Keefe krzyknął z bólu.

- No widzisz, O'Keefe. Nie jest ze mną tak źle. Mocniej podciągnął jego wykręconą rękę.

- Puść. Będę mówił.

Harry odsunął się od niego, a O'Keefe zaczął rozcierać ramię.

- Spotkałem sir Joshuę w Cocoa Tree. Tam się załatwia różne interesy...

- Wiem. Do rzeczy.

- Narzekał, że źle mu idzie, inwestycje się nie udają, więc powiedziałem mu o spółce górniczej. Kupił udziały...

- Za złote monety, jak rozumiem.

- Tak. Nie wiem dlaczego, ale zaczął coś podejrzewać i wtedy poprosił swojego zaprzyjaźnionego adwokata, żeby przyjrzał się spółce. Adwokat odkrył, że ona istnieje tylko na papierze. Sir Joshua zażądał zwrotu pieniędzy.

- Na to nie mogłeś się zgodzić, jak rozumiem.

- Oczywiście. On jednak zagroził mi strażą, więc zaproponowałem mu połowę tego, co zainwestował...

- W przyciętych monetach - wtrącił Harry.

- Tak. Chyba nie sądzisz, że byliśmy na tyle głupi, żeby dać mu inne? Zresztą te dobre były nam potrzebne.

- Czy zauważył, że są zmniejszone?

- Sam mu to powiedziałem, to była nasza propozycja. Miał rozprowadzać te monety. Byłby dobrym paserem, bo obracał się w eleganckim towarzystwie, gdzie gwinee nikogo nie dziwią. Jednak odmówił i chciał oddać monety władzom. Na to nie mogliśmy pozwolić. No, i zdarzył mu się wypadek w drodze do domu. Kłopot polegał na tym, że nikt nie wiedział, gdzie on wsadził te monety. Musieliśmy na chwilę przycupnąć, żeby upewnić się, że nikt nas nie szuka. Potem sami zamierzaliśmy poszukać u niego w domu, ale ta dama się wyprowadziła i zabrała monety z sobą.

Harry nie sprostował. Wziął rękawiczki, kapelusz i podszedł do drzwi.

- Wasza lordowska mość wstawi się za mną u sędziego? - zawołał za nim O'Keefe.

Harry obrócił się.

- Jedyne dobre słowo, które można powiedzieć na twój temat, O'Keefe, to „powieszony”.

Wezwał strażnika, który czekał na zewnątrz, i odszedł. Wracając do Portman House, cicho podśpiewywał. Spieszyło mu się, by powiedzieć Rosamundzie, co usłyszał od O'Keefe'a. Nie zamierzał jednak wyjawić, że jej ojca zamordowano. To byłaby dla niej niepotrzebna zgryzota.

Zaczynał dochodzić do wniosku, że Rosamunda miała rację co do Beth. Ona pewnie rzeczywiście przeklinała go w chwili wielkiego cierpienia. Gdyby dane jej było żyć dalej, może odwołałaby te słowa. Czy kobiety naprawdę godzą się na ból podczas porodu? Czy jest z nimi podobnie, jak z mężczyznami idącymi do bitwy? Każdy z nich wie, że może zostać ranny, ale chce mieć udział w zwycięstwie. Harry zrozumiał, że gdyby zaczął myśleć w ten sposób, to może...

Zostawił konia w stajni i wciąż pochłonięty rozważaniami, nie zauważył braku powozu. Zapomniał nawet o swoim kroku fircyka i wszedł do domu wielkimi susami. Jego żony jednak nie było, a w domu aż huczało. Dopiero po dłuższej chwili udało mu się zorientować, co zaszło. Natychmiast kazał osiodłać Hectora i odjechał galopem w stronę Kensington Road, ignorując gniewne okrzyki lektykarzy i pieszych, którzy musieli uskakiwać z drogi.

Mały oddział Rosamundy opuścił powóz, zanim dojechali na farmę i ruszył dalej piechotą. Został tylko Travers na koźle, żeby dowieźć panią na miejsce. Pies jak zwykle

ujadał na łańcuchu, więc pani Chappell stanęła w drzwiach w porę, by zobaczyć, jak Rosamunda wysiada z powozu i starannie okrąża budę.

- Pani Chappell, proszę uciszyć tego psa! - zawołała Rosamunda. - Nie możemy rozmawiać, kiedy tak szczeka.

Pani Chappell wyszła na podwórze i dała psu po pysku, żeby schował się do budy.

- Co milady tutaj robi? - spytała gniewnie. - On ją przysłał, bo bał się przyjść sam, tak?

- Skądże znowu. - Wiedziała, że musi zachować spokój i poczekać, aż nadejdzie wsparcie. - Jego lordowskiej mości nie ma w domu. Obiecałam pani wynagrodzenie za utracone dochody i dostanie je pani, ale pod warunkiem, że Annabelle wróci do mnie cała i zdrowa. - Spojrzała na dom. Tylko z otwartych drzwi sączyło się światło. - Gdzie ona jest? Pani Chappell wzruszyła ramionami.

- Zobaczymy najpierw kolor tych pieniędzy.

- Nie. Najpierw zobaczę Annabelle.

Kobieta wskazała głową stodołę, w której banda wyrabiała pieniądze. Rosamunda nie miała pojęcia, ilu członków bandy, którzy uniknęli aresztowania, jeszcze zostało, ale myśl o Annabelle popychała ją naprzód. Energicznym krokiem podeszła do drzwi. Otworzyły się same i w wątlym świetle pojawiła się w nich sylwetka drugiej kobiety.

- Przyszła nas odwiedzić wielka pani - powiedziała i karykaturalnie dygnęła. - Lady Portman, miło mi poznać. A może powinnam raczej powiedzieć „pani Housman”?

Rosamunda z trudem opanowała zaskoczenie.

- Nie wiem, o co pani chodzi. Przyszłam w dobrych zamiarach. Chcę wynagrodzić panią Chappell i zabrać pasierbicę do domu.

- Niestety - powiedziała kobieta, chwytając Rosamundę za ramię. - Chcemy tu mieć jego lordowską mość. Dopóki nie przyjdzie, milady i dziewczynka zostaną tutaj.

Wciągnęła Rosamundę do stodoły i zaryglowała drzwi.

Lady Portman rozejrzała się dookoła. Lampa na stole roztaczała krąg światła, poza tym we wnętrzu panowała ciemność. Ogień był wygaszony, nikt by nie powiedział, że jeszcze niedawno fałszowano tutaj pieniądze. W stodole było jednak dużo dzieci,

wszystkie ubrane w postrzępione ubrania. Najstarsze mogły mieć dziesięć, jedenaście lat. Otoczyły ją w milczeniu.

- Annabelle! - zawołała. - Annabelle!

Zduszony odgłos dobiegł ją z kąta. Dziecko leżało tam związane na kilku workach. Rosamunda przeszła obok dzieci i podeszła do małej. Wyciągnęła jej szmatę z ust i zaczęła walczyć z więzami.

- Już dobrze, kochanie - powiedziała, obejmując dziewczynkę. - Mama jest z tobą.

- I zostanie tutaj, póki nie dostaniemy tego, czego chcemy - dodała przyglądająca im się kobieta. - Jeśli Portman sądzi, że ujdzie mu na sucho wysłanie mojego starego na szubienicę, to grubo się myli. Teraz mam dwie zakładniczki zamiast jednej.

- Lord Portman jest w Londynie - powiedziała Rosamunda. - Nie przyjdzie dziś wieczorem, tego pani może być pewna.

- Poczekam. Na znalezienie tego dziada straciłam trzy miesiące, więc kilka godzin nie robi różnicy.

- Jego lordowska mość przed nikim się nie chowa - zapewniła Rosamunda, chcąc jak najdłużej podtrzymać rozmowę. - Z pewnością nie trzeba było aż trzech miesięcy, żeby go znaleźć.

- Nie o niego chodzi. O Gusa Housmana. Nazwisko dał mi szynkarz w Nag's Head, ale on zniknął. Nie wiedziałam, że Micky O'Keefe go zna.

- Co to ma wspólnego z lordem Portmanem?

- Tego i ja nie wiedziałam jeszcze dwa dni temu. Właśnie jechałam tutaj, kiedy zobaczyłam, że milady odchodzi z Housmanem. Pierwszy raz mi się napatoczył, odkąd wzięli moich, więc za wami pojechałam. Milady wróciła do dworu, a on poszedł do szopy nad jeziorem. Musiał się przebrać w środku, bo wyszedł z niej jego lordowska mość, dżentelmen co się zowie.

- Czego pani od niego chce? - spytała.

Kołysała Annabelle w ramionach i pilnie nasłuchiwała, czy z zewnątrz nie dobiegną jej jakieś odgłosy. Nie chciała, żeby mężczyźni zaczęli strzelać, bo mogliby trafić jakieś dziecko. Niestety, nie miała pojęcia, jak ich ostrzec.

- Za to, że wysłał mi całą rodzinę na szubienicę? A jak milady myśli? Chcę ułaskawienia dla wszystkich.

- Myli się pani, jeśli sądzi, że mój mąż może zmienić wyrok sędziego.

Pies znowu zaczął wściekle ujadać. Kobieta natychmiast ustawiła dzieci wokół Annabelle i Rosamundy i poleciła im, żeby się nie ruszały.

- Tylko tchórze zasłaniają się dziećmi - odparła Rosamunda.

- Siedź cicho! Muszę posłuchać.

Podeszła do drzwi i przyłożyła do nich ucho.

- Tilly! Tilly! - wołała pani Chappell. - Przyszedł i jest sam. Wypuść dzieci, na miłość boską. Nie zrobiły ci żadnej krzywdy.

Tilly powoli odciągnęła rygiel i uchyliła odrobinę drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje na podwórzu. Ktoś z tamtej strony natychmiast gwałtownie je pchnął. Tilly z impetem zatoczyła się do tyłu i uderzyła w ścianę, a do stodoły wpadł Harry.

- Biegnijcie do mamy - zawołał do dzieci.

Maluchy uciekły, szczęśliwe z odzyskanej wolności, a w stodole zaroilo się od mężczyzn z oddziału zebranego przez Rosamundę. Wpadli akurat w chwili, gdy Tilly rzuciła się na Harry'ego. Ten zręcznie uniknął ciosu i chwycił ją za ramiona.

- Zwiąż ją, Travers - powiedział cicho. - Dołączy do swojej rodziny.

Zobaczył Rosamundę z Annabelle i opadł przy nich na kolana. Czule pocałował najpierw jedną, potem drugą.

- Coś wam się stało? - spytał, patrząc na nie z trwogą.

- Nic - zapewniła go Rosamunda. - Annabelle się przestraszyła...

- Ale już się nie boję. Przyszedł tata - powiedziała dziewczynka. - I mama była taka dzielna.

- Tak, mama jest dzielna - potwierdził Harry, uśmiechając się do żony. - Nie znam drugiej tak dzielnej kobiety. - Wstał. - Chodźcie do domu.

Później, gdy Annabelle już leżała w łóżku, Harry i Rosamunda zeszli na dół do saloniku, gdzie usiedli razem, żeby porozmawiać o ostatnich wydarzeniach. Wkrótce oboje wszystko sobie wyjaśnili i zapadło milczenie. Wyczuwalne było napięcie, jakby coś miało się zdarzyć.

- Nie spodziewałam się, że tak szybko pan przyjedzie - odezwała się w końcu.

- Ja też nie. - Ujął jej rękę i przyłożył ją sobie do piersi na wysokości serca. - Przeraziłem się, kiedy służba mi powiedziała, że pani pojechała szukać Annabelle. Omal nie zajeździłem Hectora na śmierć. Przecież to ja was naraziłem. Można ryzykować własne życie, ale cudze... - Uniósł do ust jej dłoń i pocałował. - Nie wyobrażam sobie życia bez pani. Byłoby puste i pozbawione znaczenia. Kocham panią, Rosamundo Portman. Kocham panią bezgranicznie. Dzień naszego ślubu przyniósł mi największe szczęście w życiu. Za nic nie powinienem był proponować unieważnienia małżeństwa.

- Myślałam, że już z tego zrezygnowaliśmy - szepnęła.

- Tak. I jeśli jest pani pewna, nigdy więcej o tym pomyśle nie wspomnę. Wcale tego nie chcę.

- Cieszę się - powiedziała, uśmiechając się do niego przez łzy. - Moglibyśmy pozbawić się powodu do unieważnienia...

Spojrzał jej w oczy i bez trudu zrozumiał, co kryje się za jej słowami. Wstał i podał jej rękę.

- Udamy się na górę?

Skinęła głową i z zadowoleniem obiecała sobie, że będzie dobrze. Już ona się o to postara!

Następnego dnia wrócili do Londynu na wydawany przez siebie bal koronacyjny, który okazał się najwspanialszy w sezonie. Był też wyjątkowo radosny, ponieważ i pan, i pani domu byli wyraźnie sobą oczarowani. Harry rozbił dwie bandy fałszerzy i między innymi dzięki temu koronacja przebiegła bez większych zakłóceń. Dla niego jednak liczyło się przede wszystkim to, że zdobył miłość najbardziej uroczej, najmądrzejszej i najdzielniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek spotkał. W dodatku Rosamunda była wspaniałą matką dla Annabelle, która ją uwielbiała. Wcale się temu nie dziwił. Podzielał to uczucie.

- Szczęśliwiec - powiedział Ash, gdy podszedł do niego i spojrzał na uszczęśliwioną Rosamundę, rozmawiającą z gośćmi. - To jasne, że wreszcie przezwyciężyłeś swoje obawy.

- Teraz twoja kolej.

- Nie ma mowy!

- Zmienisz zdanie, kiedy spotkasz odpowiednią kobietę. Idę o zakład!

- Zakład przyjęty!

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

TLR

Epilog

Dziewięć miesięcy później Harry nerwowo przechadzał się tam i z powrotem pod pokojem Rosamundy. Obudziła go o świcie, by spokojnie mu oznajmić:

- Myślę, Harry, że dziecko wybiera się na świat.

Zerwał się z łóżka, ogarnięty paniką. Nie udało mu się jednak opanować, postawił więc na nogi Janet, następnie panią Rivers, potem jednego ze stajennych posłał na Hectorze po doktora, a innego, z gigiem, po akuszerki. Chciał zrobić wszystko, co w jego mocy, byle ulżyć żonie w cierpieniach. Potem jednak nie pozostało mu już nic innego, jak czekać.

Tak samo jak przed laty został wyproszony z pokoju rodzącej, tym razem jednak nie zszedł do ogrodu, lecz został na korytarzu. Doktorowi zapowiedział całkiem jednoznacznie, że w razie konieczności, należy ratować matkę kosztem dziecka. Lady Portman jest najważniejsza.

Mijały kolejne godziny, a on wciąż słyszał przez drzwi tylko niewyraźny szmer głosów. Nie rozumiał, dlaczego Rosamunda nie krzyczy i dlaczego doktor i akuszerki nie każą jej przenieść. Chyba nie umarła? Gdyby zabił Rosamundę tak samo, jak wcześniej Beth, nie potrafiłby tego znieść.

Był przy samych drzwiach, gdy usłyszał stłumiony krzyk. Tego było za wiele! Wpadł do pokoju... i stanął jak wryty. Dziecko już się urodziło. Było owinięte w płótno i właśnie podawano je mamie. Rosamunda uśmiechała się, spoglądając na ich syna, i wyglądała na bardzo zadowoloną. Była piękna. Harry opadł na kolana przy łóżku i patrzył na nich oboje przepelniony szczęściem. Zachwyty odebrał mu mowę.

- Myślałem... myślałem... W ogóle nie było cię słychać - wyjąkał w końcu.

- Nie - przyznała, zdecydowana jak najszybciej zapomnieć o tym, ile trudu kosztowało ją tłumienie krzyków. Wiedziała przecież, że Harry jest tuż za drzwiami i umiera ze strachu. - Powiedziałam ci przecież, że to łatwe, prawda?

- Henry James Ashley - ogłosił uroczyste, a potem roześmiał się i pocałował żonę.

Nagle do pokoju wkradła się Annabelle i stanęła za Harrym.

- Chcę zobaczyć braciszka - powiedziała.

Rosamunda nieco odwinęła kocyk i odsłoniła różową twarzyczkę z intensywnie niebieskimi oczami, które zdawały się spoglądać prosto na Annabelle.

- Jest śliczny - uznała dziewczynka.

- Pamiętaj, żeby nie powtórzyć tego, gdy dorośnie, młoda damo - powiedział z udawaną surowością Harry. - Nie podziękuj ci wtedy za tak niewieście określenie. Wyrósł na krzepkiego mężczyznę. Krzepkiego i przystojnego.

- Jak jego ojciec - dodała Rosamunda, tuląc do policzka dłoń męża. - Harry Portmanie, kocham cię.

- A ja cię uwielbiam, moja lady Portman.

Wreszcie pogodził się z przeszłością. Ważne jest to, co przed nimi. Ujął Rosamundę za rękę i pocałował w nadgarstek.

- Mam rodzinę. Prawdziwą, kochającą rodzinę. Czy ktoś zaznał kiedyś więcej szczęścia?

